

Autor nieznany

OPOWIEŚCI PIELGRZYMA

[Wprowadzenie](#)

[Próba przedmowy](#)

[Nota tłumacza](#)

Część I

[Opowieść pierwsza](#)

[Opowieść druga](#)

[Opowieść trzecia](#)

[Opowieść czwarta](#)

Część II

[Spotkania z pielgrzymem. Czyli rozmowy o modlitwie](#)

[Spotkanie pierwsze: piąta opowieść pielgrzyma](#)


[Spotkanie drugie](#)

[Spotkanie trzecie](#)

[Spis treści](#)

OPOWIEŚCI PIELGRZYMA

Dla uczczenia wielkiego daru Chrztu Świętego,
przyjętego w Kijowie przed tysiącem lat,
który dał początek wierze i życiu chrześcijańskiemu
wielu ludów i narodów na Wschodzie

Wprowadzenie 

Prawdopodobnie nigdy nie będzie wiadomo, kto jest autorem Opowieści pielgrzyma. Nigdy nie dowiemy się, czy są to istotnie wyznania kogoś rzeczywiście żyjącego w Rosji dziewiętnastowiecznej, czy raczej mamy do czynienia z utworem literackim posługującym się fikcyjną postacią Pielgrzyma.

Jakkolwiekby to było, Opowieści pielgrzyma są niezaprzeczalnym wykwitem duchowości rosyjskiej tamtej epoki. Jednakże nie sądzmy, że takie umiejscowienie w czasie jest zawężeniem przekazu tej książki. Pomimo niemałego bogactwa narracji pamiętajmy, że służy ono jedynie jako aktualizacja zasadniczego tematu będącego powszechnym i ponadczasowym wezwaniem człowieka do miłości Boga. Miłości, która ma wydawać owoce życia prawdziwie chrześcijańskiego.

Jest więc to opowieść o wiernej odpowiedzi na wezwanie Boże. Stąd też wywodzi się nieprzemijająca wartość przesłania tej książki.

Jeżeli ten tekst tworzą rzeczywiście osobiste wyznania konkretnego Pielgrzyma, to możliwe, iż był nim niejaki Nemytowa, chłop z guberni orelskiej. Był on znany w klasztorze Optino, gdzie wielokrotnie odwiedzał "starca" Makarego.

Rękopis Opowieści pielgrzyma był jakoby w posiadaniu pewnej mniszki z okolic tego klasztoru, penitentki "starca" Ambrożego, następcy Makarego. Pierwsze wydanie Opowieści ukazało się w Kazaniu w 1870 roku, drugie (uważane za podstawowe) uzupełnił i przygotował do druku biskup Teofan zwany Pustelnikiem. Ukazało się ono w roku 1884.

Ponieważ autentyczny rękopis już zaginął, nie wiadomo, jak dalece tekst jest wyretuszowany przez jego powtórnego wydawcę.

Po śmierci "starca" Ambrożego znaleziono w jego papierach drugą część Opowieści. Dziś prawie jest pewne, że te trzy opowieści nie są dziełem autora pierwszej części. Jest to literatura zbyt spekulatywna i teologizująca, zbyt sucha w ogólnym nastroju, aby mogła być kontynuacją pierwszych czterech opowieści, nacechowanych zniewalającą prostotą i spontanicznością.

Na podstawie pewnych danych zawartych w samym tekście, można przyjąć, że Opowieści pielgrzyma powstały między zakończeniem wojny krymskiej (1855) a zniesieniem pańszczyzny (1861).

Był to okres szczególnie ponury w dziejach Rosji. Wielka przegrana militarna, coraz bardziej dochodzące do głosu żądania demokratyzacji, działania przeciw jedyńwładztwu carów, nastrój nihilizmu i deprawacji moralnej w życiu społecznym i osobistym. Zresztą taka atmosfera będzie trwała w Rosji jeszcze długo.

Tym bardziej więc zdumiewa ogromna świeżość i optymizm Opowieści, które, jak najbardziej umiejscowione w rzeczywistości, równocześnie patrzą na nią z perspektywy najważniejszej sprawy: relacji Bóg - człowiek. I to bez wątpienia stało się przyczyną ich trwającej, a nawet rosnącej wielkiej popularności.

Prawosławne chrześcijaństwo Rosji XIX wieku zawierało dwa nurty. Jeden, oficjalny, wciąż pozostawał w ramach reform Piotra Wielkiego. Monarcha ten skutecznie postarał się o zamknięcie praktyki wiary w granicach liturgii i wystudzonej teologii, będącej często pod wpływem niemieckiego protestantyzmu. Hierarchia, zawsze czołobitna wobec władzy według najlepszych wzorów Bizancjum, i niedouczone niższe duchowieństwo ograniczone w swoim działaniu prawie wyłącznie do liturgii.

Drugi nurt, starszy od pierwszego, przeważnie ludowy, zgodny z dawną tradycją Cerkwi, już od końca XVIII wieku wyrwał się z uspienia i spowodował wielkie ożywienie religijne we wszystkich warstwach społecznych. To ożywienie, a nawet odrodzenie religijne, sięgało swoimi korzeniami aż do duchowości mnichów pustyni egipskich i palestyńskich, do mnichów bizantyńskich i tradycji własnych świętych.

Chrześcijaństwo rosyjskie, mimo że zaszczerpione przez Greków, bardzo szybko nabrało cech specyficznych, wynikających z uwarunkowań historycznych a nawet geograficznych. Już dawno zauważono, że np. ruch pielgrzymi, mimo swych założeń duchowych, był także w jakiejś mierze wynikiem obcowania z "bezkresną równiną" stanowiącą imperium rosyjskie.

Długotrwały ucisk najeźdźców i niewola, bieda ludu, na którą nie było ratunku w systemie samodzierżawia, spotęgowały element bierności wobec "losu", wobec władzy, bierności i tak już zawartej w prawosławiu bizantyńskim.

To głównie w Rosji ujawniły się szczególne typy świętości mało znane gdzie indziej, a jakoś wywodzące sięz tej bierności, zakorzenione w cierpieniu, bliskie cierpieniu Jezusa, a jednak nie cierpiętnicze.

To przecież w Rosji umierali święci "strastoterpcy", których trudno byłoby uznać za męczenników sensu stricto, gdyż zadano

im śmierć nie z nienawiści do wiary i Kościoła, ale z pobudek politycznych czy rabunkowych. Ich świętość stanowiło świadome i dobrowolne przyjęcie śmierci, na wzór Chrystusa nie stawiającego oporu swoim katom. I w Polsce mamy przykład takiej świętości: Pięciu Braci Męczenników.

Innym typem świętości dawnej Rosji są "jurodiwi", czyli szaleńcy dla Chrystusa, a nawet dosadniej: "głupki" dla Chrystusa. To ci, którzy z miłości dla poniżonego Pana sami się unieżyli do końca, symulując obłęd lub debilizm. W Kościele zachodnim też zdarzali się tacy święci, jak np. przynajmniej częściowo, św. Filip Neri.

Jeszcze inni, to "starcy", którzy wywodzą się w prostej linii od Ojców Pustyni, a więc z IV wieku. Kościół prawosławny właściwie nie zna różnorodności form życia zakonnego. Są tylko mnisi i pustelnicy, bez zwykłej działalności duszpasterskiej czy społecznej. "Starzec" to mnich lub eremita, żyjący początkowo w całkowitym odosobnieniu wobec "świata" i spraw jego, szczególnie umartwiony asceta. Nikt się nie stawiał "starcem" z własnego wyboru. Był wybrany przez Boga jako charyzmatyczne narzędzie Jego działania. Bóg obdarzał tych przedziwnych ludzi łaską znajomości dusz, umiejętnością kierowania i radzenia, a nawet czasami światłem proroctwa. Uciekali od świata, lecz świat ich szukał jako przewodników, lekarzy i orędowników, jako tych, którzy mieli też rozeznanie spraw doczesnych i będących prawdziwymi autorytetami moralnymi.

Byli poszukiwani nie tylko przez "gmin", ale także przez inne warstwy społeczne. U nich szukali światłai pokoju literaci i intelektualiści: Leskow, Niekrasow, Dostojewski, Tołstoj, słowianofile i zbuntowani postępowcy.

Źródłem ich wielkości i wpływu było bez wątpienia bezkompromisowe przyjmowanie wymogów Ewangelii. A ten wpływ był ogromny. Można powiedzieć, że właściwie prawosławna duchowość rosyjska była w przeważającej mierze stworzona przez "starców". W Opowieściach pielgrzyma wyraźnie ukazano rolę "starca" jako ojca duchownego, wprowadzającego na drogę życia wewnętrznego i modlitwy.

Wreszcie ostatni typ świętości czy powołania: pielgrzymi. Portret autentycznego pielgrzyma jest ukazany w tej książce. Jest coś bardzo przejmującego w ludziach, którzy dosłownie opuścili wszystko, żeby pójść za Jezusem ubogim i bezdomnym. Tu nie chodziło jedynie o odbywanie pielgrzymek do miejsc świętych, ale o stan życia, ciągły. A było to życie, zewnątrznie sądząc, jakby zmarnowane, bez widocznego celu, bez ukierunkowania na jakąkolwiek karierę. Jednak w istocie swojej było to życie o ogromnym bogactwie wewnętrznym, wynikającym ze stałego obcowania z Bogiem w modlitwie i z poczucia całkowitej wolności radosnego przynależenia tylko do Niego samego.

W Kościele zachodnim też były tego rodzaju powołania, np. św. Benedykt Józef Labre, pielgrzymujący nędzarz (XVIII wiek).

Pomimo swej warstwy epickiej, mocno osadzonej w epoce drugiej połowy XIX wieku, Opowieści pielgrzyma są w istocie prostym i bardzo dostępnym traktatem o modlitwie. W ich przypadku jest to modlitwa Jezusowa.

Modlitwa Jezusowa jest krótką formułą, powiadzielibyśmy "aktem strzelistym", będącym wezwaniem Jezusa miłosiernego przy równoczesnym wyznaniu swej własnej grzeszności. Formuła ta przechodziła różne przemiany - najpierw była tylko wymawianiem imienia Jezus, potem dodano wezwanie i prośbę o zmiłowanie. Już od końca IV wieku przybrała ostateczną postać: "Panie, Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną (grzesznym)".

Modlitwa Jezusowa ma bardzo dawny rodowód; wywodzi się od Ojców Pustyni z IV wieku. Na jej temat napisano wiele traktatów i stworzono niemało teorii. W każdym razie trzeba pamiętać, że choć jest tylko jedną z form modlitwy, stała się dla wielu ludzi narzędziem prawdziwej przemiany duchowej i moralnej.

Jej praktyka polega na stałym powtarzaniu tej formuły. Początkowo ustnie w ograniczonej liczbie, aby wreszcie stać się modlitwą całkowicie wewnętrzną i ciągłą. Już bardzo dawno zauważono, że jako f o r m a stanowi pożywkę dla intelektu podczas koncentracji całej osoby ludzkiej na obecności Bożej (Diadoch, biskup Photike, IV wiek). Według niektórych jej teoretyków (np. Grzegorz Palamas, XIV wiek) wymawianie formuły należy połączyć z oddychaniem. Jednakże nie chodzi tu o jakiegokolwiek praktyki nawiązujące do zwyczajów Dalekiego Wschodu.

W związku z modlitwą Jezusową należy pamiętać jeszcze o jednym: początkowe stadium jej praktykowania jest bardzo trudne, powoduje znużenie, a nawet zniechęcenie. Wyraźnie wspomina o tym Pielgrzym.


Uprawianie tej formy modlitwy powinno być absolutnie połączone z autentyczną pracą nad sobą, z dążeniem do całkowitej czystości sumienia strzeżonej przez odpowiednią ascezę. Nie każda psychika nadaje się do stosowania modlitwy Jezusowej, a podjęcie jej powinno się odbywać pod kontrolą jakiegoś doświadczonego ojca duchownego, "starca".

Pielgrzym wielokrotnie wspomina Filokalię (Dobrotolubije), książkę, z którą się nie rozstawał, tak jakz Biblią. Otóż Filokalia jest zbiorem krótkich tekstów ojców, które mówią o modlitwie Jezusa. Zbiór bardzo dawny, poszerzany wielokrotnie, a udostępniony Rosjanom przez Paisija Wieliczkowski, wielkiego odnowiciela życia monastycznego w drugiej połowie XVIII wieku. Po śmierci "starca", który wprowadził Pielgrzyma w życie wewnętrzne, tylko Filokalia była jego mistrzynią na drodze zjednoczenia z Bogiem.

Dzisiaj, kiedy człowiek jest bardzo poddany dezintegrującym skutkom nieuporządkowanej i w wielkim stopniu zmaterializowanej cywilizacji, kiedy spostrzega on, że jego życie upływa w dużej mierze pod naciskiem prowokacyjnej powierzchowności, mody i interesownej propagandy, Opowieści pielgrzyma jawią się jako wezwanie do odważnego uwolnienia się od tych różnorodnych pogwałceń jego istoty i celu ostatecznego dążenia.

Gdyby Opowieści należało zaopatrzyć w jakiś podtytuł, to chyba brzmiałby on "Wolność w Bogu!".

Placyd Galiński OSB

Próba przedmowy 

– Ta książeczka w mojej torbie? Właściwie nie wiem, zwyczajna książeczka, pod tytułem "Opowieści pielgrzyma"...

– Kto to napisał?

– Nie wiem – niedbale odpowiedziała Franny.

– Podobno jakiś rosyjski chłop... Nie wymienia ani razu swojego nazwiska...

J. D. Salinger, Franny i Zooey

Kluczem tej książki jest wezwanie: Módlcie się nieustannie. Odnajdujemy je już w pierwszych jej zdaniach. Powinno nas ono zatrzymać, choć łatwo przeoczyć te słowa św. Pawła z Listu do Tesaloniczan (5,16). Łatwo bowiem wejść w lekturę opisów wędrówki, spotkań, przygód, zachwycić się barwnym korowodempostaci i... niewiele z tej książki zrozumieć.

Może nie jest to słowo odpowiednie w miejscu przedmowy, ale lepiej w ogóle nie rozpoczynać lektury, niż ulec pozorom łatwości modlitwy, o której ta książka traktuje.

Na modlitwie można przecież w różny sposób stawać przed Bogiem: trwać przed Jego obliczem, słuchając Jego głosu, albo stawać przed Nim, to znaczy przyznawać mojemu "ja" pierwsze miejsce, zajmować miejsce Boga, czyniąc z każdej modlitwy sposób "przymuszania" Go, by pomagał w realizowaniu moich planów, mojej woli. Bez zastanowienia powiemy w modlitwie: "Bądź wola Twoja", prosząc o spełnienie woli własnej. Wzywamy więc Jezusa, który powiedział: "Moim pokarmem jest wypełnić wolę Tego, który mnie posłał, i wykonać Jego dzieło" (J 4,34), prosimy też Tę, która na słowa Zwiastowania, po ludzku rzecz biorąc przekreślając tak wiele w życiu Jej i Józefa (wystarczy wczuć się w to zmaganie Mt 1,18-19), odpowiedziała: "Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według twego słowa" (Łk 1,38). I my jako chrześcijanie mamy żyć "według Boga", według Jego myśli i zamiaru, według Jego woli, jak to przedstawia, cytując słowa ze Starego Testamentu, św. Paweł: "Znalazłem Dawida, syna Jessego, człowieka po mojej myśli, który we wszystkim wypełni moją wolę" (Dz 13,22).

Mamy tu do czynienia z sytuacją w najostrejszy chyba sposób demonstrującą, że wiara i religijność nie zawsze są tym samym, choć można odnieść wrażenie, że różnicy tej nie dostrzega się w codziennej praktyce, a zwłaszcza nie wyprowadza z faktu jej istnienia dostatecznie dalekich (ale za to bliższych życiu) konsekwencji.

Jan Paweł II w swych rozmowach z Andrzejem Frossardem powie, że wiara to nie tylko przyjęcie istnienia Boga, oznacza ona bowiem zasadnicze przekroczenie takiego poglądu - "jest Odpowiedzią na słowo Boga żywego" (Rozmowy, s. 53).

Ojcem wszystkich wierzących nazywany jest przez św. Pawła Abraham (Rz 4,11). On uwierzył obietnicy Boga, był posłuszny wezwaniu. "I nie okazał wahania ani niedowierzania co do obietnicy Bożej, ale się wzmocnił w wierze. Oddał przez to chwałę Bogu i był przekonany, że mocen jest On również wypełnić, co obiecał" (Rz 4,20).

W naszej codziennej praktyce modlitwowej rzadko chyba pamiętamy, że istnieje jakiś pełen miłości plan Boga, jakieś wezwanie, jakaś obietnica w stosunku do nas i do całego świata i że o pomoc w ich odnalezieniu, odczytaniu pośród życiowych wydarzeń mamy wołać w modlitwie przede wszystkim: "Daj mi poznać drogi Twoje, Panie, i naucz mnie Twoich ścieżek" (Ps 25,4). Skąd bierze się owo zapomnienie? Co powoduje, że nie czujemy, by w naszym życiu realizowała się jakaś Boża obietnica, nie pędzimy "ku wyznaczonej mecie, ku nagrodzie, do jakiej Bóg wzywa w górę w Chrystusie Jezusie" (Flp 3,14)? Przeciwnie: ustalamy własne cele, usiłujemy je osiągnąć, przekonujemy się, że wciąż nie przynosi to nam zadowolenia... i zaczynamy od początku, szukamy nowego celu. Nawet w środowiskach, uważających się za bardzo chrześcijańskie i pobożne, usłyszymy życzenia "pomyślności", życzenia, by wszystko układało się "po myśli" człowieka, którego spotykamy. Strach pomyśleć, jak wyglądałby świat, gdyby realizowały się nasze najskrytsze marzenia, często przecież nie uświadomione, albo takie, jakich nie wyjawilibyśmy nawet najlepszemu przyjacielowi.

Dlaczego wciąż poruszamy się w zaczarowanym kręgu naszego "ja"? Zbyt rzadko dostrzegamy, że odwrotną stroną naszego skupienia się na "ja" jest niewiara w Boga, który jest Miłością. To ona każe zachowywać się nam tak, jakby Boga nie było, jakby nie mogło do naszego codziennie ranionego, niszczonego, zabijanego "ja" płynąć od Niego nowe życie. Żyjemy bowiem tak, jakby gdzieś głęboko w naszym wnętrzu zakodowane było jedno przekonanie, jakby słyhać tam było głos mówiący: jesteś sam, broń swego życia, jest krótkie, zginiesz, umrzesz, Bóg cię nie kocha, nie ma Go. Dlatego wciąż gotowi jesteśmy bronić swego życia, praw, rzeczy, walczyć o nie, o opinię, uznanie, pieniądze, zebrać o miłość... Dlatego tak trudno przebaczać.

Ojciec Święty 8 czerwca 1987 roku w Warszawie mówił o tym, jak ważne jest, by "wciąż przewycięzać w sobie to widzenie świata, które towarzyszy dziejom człowieka od początku, widzenie takie. «jakby Bóg nie istniał», jakby «nie był Miłością». I dalej: "Słowa z Księgi Rodzaju: «Będziecie jako bogowie» (por. 3,5) łączą się z zaprzeczeniem prawdy o Bogu, który jest Miłością. Łączą się z postawieniem Stwórcy w stan podejrzenia ze strony stworzeń, w stan oskarżenia. Jak bliscy bywamy tej pokusy". Dlatego tak bardzo potrzebna jest nam poważnie potraktowana droga powrotu do Boga, droga odkrywania Jego miłości, nauki, poszukiwania Jego woli, słuchania Jego głosu (bycia Mu posłusznym), konfrontowania moich planów ze Słowem Bożym otrzymywanym jako pokarm (stół Słowa Bożego!), droga zapewniająca stałe karmienie się sakramentami Kościoła, i to we wspólnocie z innymi, co służy tak bardzo konfrontowaniu postaw wobec Słowa i "przycinaniu" różnych postaci indywidualizmu, także religijnego.

Nie jest to łatwe do spełnienia, ale gdy nie potrafimy dostrzec wołania Boga, pozostajemy skazani na słuchanie naszego "ja", indywidualnego czy zbiorowego. Jak więc będzie możliwe "pozostawienie naszej barki na brzegu", z kim i na jaki "nowy łów" wyruszymy? Pozostanie rezygnacja, wyrażana często ludowym: "Trudno, wola Boża", pozostanie bunt, szemranie i ucieczka w alkohol, narkotyki, seks, może w najlepszym przypadku w jakiś rodzaj religijnego sentymentalizmu, pozostanie zdziwienie, dlaczego jest tak źle.

Dopiero na powyższym tle można właściwie przedstawić problem modlitwy, naszej postawy na modlitwie. Rzecz w tym, że wspomniane na wstępie wezwanie do modlitwy nieustannej nie jest jedną więcej, może bardziej "egzotyczną", formą przymuszania Pana Boga do pomocy w realizacji moich wyobrażeń, jakimś pobożnym ćwiczeniem, służącym budowaniu naszego "ja", naszemu "byciu zadowolonym z siebie". Echem tego wezwania jest Piotrowe "Czuwajcie!" (1 P 5,8), a wołanie, którego uczy się pielgrzym, odpowiedź na tę zachętę do czuwania, słowa bliskie słowom ślepcy spod Jerycha (Łk 18,38) i świadomego swej grzeszności celnika (Łk 18,13): "Panie, Jezu Chryste, ulituj się nade mną, grzesznikiem!" są wielkim wyznaniem, uznaniem naszej niesamowystarczalności, ograniczoności naszego rozumu i serca; wskazują one na Tego, który chce nas, także poprzez to bolesne doświadczenie słabości, doprowadzić do pełni radości. Jakże jest uno bliskie wezwaniu tak często występującemu w Liturgii godzin (breviarzu): "Boże, wejrzyj ku wspomżeniu memu! Panie, pospiesz ku ratunkowi memu!" Jak łatwo, za tą trochę już archaiczną formą językową, zgubić dramatyczny wymiar wołania: Panie, pomóż, ratuj! Można by zapytać, czy dziś, gdy brewiarz został nazwany "codzienną modlitwą ludu Bożego", mamy tę świadomość, która kazała naszym przodkom w wierze tak właśnie wołać do Boga. Jak łatwo też przeoczyć, że brewiarz, o czym przypomniał Sobór Watykański II (KL 86), to także rodzaj modlitwy nieustannej, w dodatku, dzięki Psalmom, przenoszący nas w czasy Starego Testamentu.

Ale przecież nie tylko Psalterz, brewiarz... To samo nieustanne wołanie rozlega się w Godzinkach, tym małym brewiarzu, tak szybko i naraz, wprost wbrew swojej istocie, odśpiewywanych: "Przybądź nam miłościwa Pani, ku pomocy, a wyrwij nas z potężnych nieprzyjaciół mocy". A Anioł Pański, czy nie jest echem nieustannej modlitwy? Jest też przecież i w różańcu wciąż powtarzane wołanie do Maryi, do Tej, która uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Jej od Pana (Łk 1,45), by modliła się z nami "teraz i w godzinę śmierci naszej",

czyli... zawsze. A tak strzeliste, a litanie ze swym "Kyrie eleison", "Panie, zmiłuj się", i wydaje się nieraz w nieskończoność powtarzanymi "zmiłuj się nad nami", "módl się za nami", czyż nie należą do tej samej "rodziny modlitw"? A benedyktyńskie "ora et labom"? Byłaby zatem Jezusowa modlitwa szczytem tego wołania. Trzeba jednak pamiętać, że "nie wybieramy modlitwy Jezusowej. Zostajemy do niej wezwani i doprowadzeni przez Boga, gdy On uznaje to za słuszne. Oddajemy się jej na mocy posłuszeństwa szczególnemu powołaniu... Imię Jezusa jest... filtrem, przez który przejść mają tylko myśli, słowa i uczynki zgodne z boską i żywotną rzeczywistością, symbolizowaną przez to Imię. Rozrost imienia Jezusa w naszej duszy zakłada odpowiadające mu umieranie naszego rozdwojonego ja, codzienną śmierć egoizmu, tego źródła każdego grzechu" (Mnich Kościoła Wschodniego).

Wszystko to stało się udziałem pielgrzyma z kart tej książki. Okres jego życia poprzedzający spotkanie z modlitwą Jezusową jest żywą ilustracją słów Jezusa: "Jeśli kto przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem. [...] Tak więc nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem" (Łk 14,26-33). Przeszedł bowiem ową drogę ogołocenia ze wszystkiego: osierocony, samotny, bo nie mający dzieci, po śmierci bliskich (dziadków, żony), okaleczony i zostawiony na zgliszczach domu przez rodzonego brata, pozbawiony w ten sposób wszelkich zabezpieczeń rodzinnych i materialnych, nawet możliwości pracy, nie zaczyna żyć, jak wielu z nas, w świecie żalów i pretensji, myśli o zemście, odwecie. Po pewnym okresie zmagania staje się posłuszny Jezusowemu wezwaniu do wiernego naśladowania siebie, aż do wyrzeczenia się wszelkich przywiązań do świata. Wchodzi w wydarzenia życia, przeczuwając, że za nimi ukryty jest Bóg, który w ten właśnie sposób przemawia (tak jak przemawiał niegdyś do Abrahama przez fakt braku potomstwa, jak przemawiał przez fakt niewoli egipskiej czy babilońskiego wygnania), a raczej uczy słuchać (Iz 50, 4b-5: "Pan otworzył mi ucho, bym nauczył się słuchać, jak przystało uczniowi"). Człowiek ów bierze swój krzyż: swoją samotność, ubóstwo, kalectwo, wyrzeka się wszystkiego, nawet tego, co wydawałoby się tak bardzo ludzkie - żalu i chęci odwetu, by stać się uczniem, tym który słucha. Jakże jest niepodobny do nas, wciąż dyktujących Bogu, gdzie ma nam pomagać i w jaki sposób, uważających taką postawę za coś normalnego. Tak bardzo brakuje nam konfrontacji prawdziwego bilansu naszego życia ze Słowem Bożym.

Jest jeszcze inny aspekt życia pielgrzyma, ujawniający się przy próbach znalezienia polskiego odpowiednika słowa "strannik" z tytułu rosyjskiego oryginału. Można się tu zgodzić na słowo "pielgrzym", jak to uczynili Niemcy, Anglicy i Włosi, o ile przyjmie się, że chodzi tu głównie nie o pielgrzymowanie do określonego miejsca (choć i ten element pojawia się w Opowieściach), ale o pielgrzymowanie w sensie szerszym, duchowym: bycie w drodze, poza domem, a więc w sensie, w jakim używamy słowa "parafianin" (tak!), bo greckie paroikeo, to m. in. "być gdzieś przybyszem", a paroikia, to "pobyt w obcym kraju, w drodze", stąd pielgrzym (greckie paroikos, obcy, cudzoziemiec) byłby prawdziwym parafianinem, oczywiście w sensie duchowym. Przypominają się tu i słowa Pawłowe: Nasza bowiem ojczyzna jest w niebie" (F'lp 3,20), i akta męczenników, i wczesne apologie, ale co najważniejsze, jest tu echo Jezusowego wołania: "Każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci lub siostry, ojca lub matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne odziedziczy" (Mt 19,29). Jakże często można do nas odnieść inne słowa Jezusa: "Lecz oni zlekceważyli to i poszli: jeden na swoje pole, drugi do swego kupiectwa" (Mt 22,5).

Dlatego warto przyjrzeć się, jak człowiek, zwany z braku lepszego określenia pielgrzymem, często rezygnuje z tego, co było jego planem, jak bez uprzedzeń wchodzi w poszczególne sytuacje, jak czyni to z dziecięcą łatwowiernością. Przecież nie widzimy na kartach tej książki kogoś, kto postanowił odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej i zamiar ten realizuje. Jeszcze na końcu czwartej opowieści okazuje się, że nawet nie wyruszył w drogę do Jerozolimy. A przecież czujemy, że wędruje, pielgrzymuje, szukając w wydarzeniach woli Boga, dostrzegając w nich Jego miłość, zbliżając się ku Temu, który go wezwał do swego przedziwnego światła (1 P 2,9). Potrzebne jest nam, może szczególnie dzisiaj, to proste świadectwo i ta szczególna atmosfera odpoczynku w Bogu.

Na koniec trzeba powiedzieć i to, że do dziś nie znamy autora tej książki, kolejnej już z kręgu chrześcijaństwa wschodniego, że nie są całkiem jasne losy jej tekstu, że jedni uważają ją za dzieło oryginalne, inni za ukryty pod tą postacią wyrafinowany traktat o modlitwie. Jest zastanawiające, że to najbardziej znane dzieło duchowości rosyjskiej dopiero dziś, gdy od kilku dziesiątków lat znane są tłumaczenia francuskie, angielskie, niemieckie, włoskie, trafia do rąk czytelnika polskiego. Nie jest jednak całkiem nieznaną, świadczy o tym motto zaczerpnięte z książki Salingera dwukrotnie wydanej w serii "Nike" ("Czytelnik" 1966, 1981; w tłumaczeniu tym występuje inny tytuł: Droga pielgrzyma, podobnie jak w Odwadze modlitwy metropolity A. Blooma, "W drodze", Poznań 1987, również tłumaczonej z angielskiego; wydania w języku angielskim mają ten właśnie tytuł). Także "Wiadomości Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego" opublikowały anonimowe tłumaczenie trzech pierwszych opowieści (Szczere opowiadania...), a fragment drugiej opowieści przedstawił M. Pacuszkiewicz SJ w "Przeglądzie Powszechnym".

O doświadczeniu pielgrzyma i modlitwie Jezusowej znaleźć też można mniejsze lub większe wzmianki u wielu znanych autorów: Karola Górskiego (Duchowość chrześcijańska, Wrocław 1978), L. Bouyera (Wprowadzenie do życia duchowego, Warszawa 1982), L. Borosa (Doświadczenie Boga, Warszawa 1983), G. A. Maloneya (Tchnienie mistyki, Warszawa 1984), T. Mertona (Modlitwa kontemplacyjna, Poznań 1986), M. Thuriana (O

Eucharystii i modlitwie, Warszawa 1987), a także u autorów wymienionych w przypisie 7 do pierwszej opowieści. Piękny tekst dotyczący modlitwy nieustannej znaleźć też można u Romana Brandstaettera (Prorok Jonasz, Warszawa 1983, s. 13). Wszystkie te informacje mogą jednak pozostać tylko ciekawostkami, jeśli nie dostrzegamy głębi wezwania tej niepozornej książeczki.

Można by na tym zakończyć, gdyby nie fakt, że także w przypadku Opowieści pielgrzyma sprawdza się przysłowie: *Habent sua fala libelli* - książki mają swoje losy. Jakby nie wystarczały wspomniane już fakty, choćby tak późnego dotarcia Opowieści do polskiego czytelnika i to, że zbiega się on akurat z obchodami tysiąclecia chrztu

Rusi, to jeszcze, przynajmniej zdaniem niektórych, istnieje problem dalszego ciągu książki. Chodzi tu o opublikowane w Rosji dopiero w 1911 roku trzy dalsze opowieści, których tekst znaleziony został wśród papierów po zmarłym w 1981 roku starcu Ambrożym z Optino. Przed ich opublikowaniem cztery pierwsze opowieści wydano już trzy- lub nawet czterokrotnie, co sprawiło, że książka znana była szeroko w całej Rosji. Interesujący jest więc fakt, że dopiero wówczas i w dodatku po dłuższym chyba okresie od śmierci starca Ambrożego odnaleziono owe trzy dalsze opowieści, różniące się językiem i formą od pierwszych czterech. Ważne jest, że od początku były one traktowane jako druga część Opowieści pielgrzyma. Trzeba jeszcze dodać, że późniejsze, trzecie lub czwarte, jeszcze dziewiętnastowieczne wydania części znanej dziś jako pierwsza zawierały dodatek zatytułowany *Trzy klucze do skarbcza modlitwy wewnętrznej*, obejmujący teksty patrystyczne związane z modlitwą Jezusową, wybrane przez późniejszego wydawcę Opowieści.

Wszystko to sprawiło, że zaczęły kształtować się różne tradycje wydawnicze. Według pierwszej z nich książka zawiera jedynie cztery pierwsze opowieści, według drugiej są one uzupełnione o dodatek patrystyczny. Trzecia tradycja łączy w jednym tomie pierwsze cztery opowieści z trzema odnalezionymi później, zwanymi też czasem "rozmowami" lub "spotkaniami", a tradycja czwarta dołącza jeszcze wspomniany dodatek patrystyczny, umieszczając go po pierwszych czterech opowieściach, a więc w jego pierwotnym miejscu, albo wreszcie po siedmiu opowieściach. W niniejszym wydaniu idziemy za tradycją trzecią, bardziej "umiarkowaną", także dlatego, by nie tracić okazji wyrażenia zachęty do wydania w Polsce Filokalii (czyli Dobrotolubija), bodaj w 1-2 tomowym wyborze, na wzór znanych od kilku dziesiątków lat wydań niemieckich, francuskich, angielskich czy włoskich.

Tłumacz

Lublin, w marcu 1988 roku

Nota tłumacza



Przy tłumaczeniu książki zostały przyjęte następujące zasady:

1. Słowa polskie, wywodzące się bezpośrednio z języka oryginału, takie jak: *cerkiew*, *monaster* i podobne pozostawiono bez specjalnych objaśnień (wyjątek stanowi Dobrotolubije); rosyjskie słowo *cerkow* oddano za pomocą polskiego "kościół" w sytuacjach, gdy było ono użyte w znaczeniu ogólnym, np. w określeniach: ojciec, doktor, pasterz Kościoła.

2. Słowa takie jak: *Apostol* (księga), *schimnik*, *czotki*, *igumen* i podobne oddano w tekście, dla ułatwienia lektury, za pomocą polskich odpowiedników: księga *Dziejów* i *Listów Apostolskich*, mnich-pokutnik, różaniec, przeor, opatrując je ze względu na istniejące różnice znaczeniowe przypisami.

Przy opracowywaniu przypisów oprócz pozycji podanych w poszczególnych przypisach wykorzystano: K. Onasch, *Liturgie und Kunst der Ostkirche in Stichworten*, Lipsk 1981; J. M. Szymusiak, M. Starowieyski, *Słownik wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa*, Poznań 1971; M. Fasmer, *Russisches ethymologisches Wörterbuch*, Heidelberg 1950-1958 (wyd. ros.: M. Fasmer, *Etimologiczeskij słowar russkogo jazyka*, Moskwa 1986-1987); W. Dal, *Tołkowyj słowar żywago wieliko-ruskago jazyka*, Petersburg-Moskwa 1880-1882, przedruk: Moskwa 1981-1982 oraz odpowiednie hasła *Encyklopedii katolickiej* i dostępne wydania niemieckie i włoskie.

Tłumacz chciałby w tym miejscu wyrazić swoje podziękowanie O. Janowi Sergiuszowi Gajkowi MIC za zachętę do podjęcia prac nad przekładem książki.

Część I



Szczerze opowieści pielgrzyma przedstawione jego ojcu duchownemu

Opowieść pierwsza

Dzięki łasce Boga jestem człowiekiem, chrześcijaninem; sądząc z czynów - wielkim grzesznikiem, z powołania - pielgrzymem bez dachu nad głową, najniższego stanu, tułającym się z miejsca na miejsce. Cała moja majątność to na ramieniu torba z suchym chlebem, a na piersiach święta Biblia. Tylko tyle. W dwudziestą czwartą niedzielę po Świętej Trójcy zaszedłem do cerkwi pomodlić się; była akurat liturgia, z księgi *Dziejów* i *Listów Apostolskich* [1] czytany był List do Tesaloniczan, perykopa 273, gdzie jest powiedziane: módlcie się

nieustannie. Słowa te przeniknęły mnie do głębi. Zaczęłam się zastanawiać, jak można modlić się nieustannie, gdy każdy, by utrzymać się przy życiu, musi zajmować się także innymi sprawami. Poszukałem w Biblii i tam zobaczyłem na własne oczy to, co słyszałem, a mianowicie: że należy modlić się nieustannie (1 Tes 5,17), modlić się zawsze w duchu (Ef 6,18), wznosząc na każdym miejscu ręce do modlitwy (1 Tm 2,8). Myślałem długo, ale nie wiedziałem, co robić.

Co mam czynić - zastanawiałem się - gdzie szukać kogoś, kto by mi to wyjaśnił? Zaczęłam chodzić po cerkwiach, gdzie są sławni kaznodzieje, kto wie, może znajdę odpowiedź? I ruszyłem w drogę. Usłyszałem wiele bardzo dobrych kazań o modlitwie. Były to jednak tylko pouczenia ogólne: czym jest modlitwa, jak jest potrzebna, jakie są jej owoce, ale o tym, jak dojść do tego, by modlić się naprawdę, nie mówił nikt. Jedno z kazań traktowało nawet o modlitwie w duchu i o modlitwie nieustannej, ale nie powiedziano o tym, jak do takiej modlitwy dojść. Słuchanie kazań nie doprowadziło mnie do tego, czego szukałem. Oto dlaczego nasłuchawszy się ich i wciąż nie mając pojęcia o tym, jak modlić się nieustannie, przestałem słuchać kazań publicznych, a postanowiłem z Bożą pomocą szukać doświadczonego i znającego się na rzeczy rozmówcy, który wyjaśniłby mi sprawy związane z nieustanną modlitwą, stosownie do natarczywego dążenia mego serca do tej właśnie wiedzy.

Długo wędrowałem po różnych miejscach: wciąż czytałem Biblię, ale rozpytywałem się, czy nie ma gdzieś jakiegoś nauczyciela spraw duchowych albo doświadczonego pobożnego przewodnika. Po jakimś czasie powiedziano mi, że w pewnej wiosce dawno już mieszka właściciel ziemski zajmujący się zbawianiem swej duszy: ma w swym domu cerkiew, nigdzie nie wyjeżdża, wciąż modli się do Boga i czyta bez przerwy książki służące ratowaniu duszy. Usłyszawszy to, już nie szedłem, a biegłem do wskazanej mi wioski. Dotarłem do niej i wszedłem do domu owego ziemianina.

- Co cię do mnie sprowadza? - zapytał.

- Słyszałem, że jest pan człowiekiem pobożnym i mądrym, dlatego proszę, w imię Boga, objaśnić mi to, co powiedziane jest w księdze Dziejów i Listów Apostolskich: módlcie się nieustannie, oraz w jaki sposób wciąż można się modlić! Chciałbym to wiedzieć tak bardzo, a w żaden sposób dowiedzieć się nie mogę.

Ów pan milczał przez chwilę, uważnie na mnie popatrzył i mówi - Nieustająca modlitwa wewnętrzna to ciągłe dążenie ducha człowieka ku Bogu. Aby czynić postępy w tym błogim ćwiczeniu, trzeba częściej prosić Pana, by nauczył On modlić się bez przerwy. Módl się więcej i gorliwiej, a modlitwa sama wyjawia ci, w jaki sposób może być nieustanna; to przyjdzie w swoim czasie.

Powiedziawszy to, kazał mnie nakarmić, dał coś na drogę i pożegnał. Ale nie wyjaśnił mi nic.

Znowu ruszyłem w drogę. Myślałem, czytałem, zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział, ale i tak nie mogłem nic zrozumieć; a pragnąłem tego tak bardzo, że aż spać nie mogłem po nocach. Przeszedłem ze dwieście wiorst [2] i oto wchodzę do dużego miasta gubernialnego. Zobaczyłem tam monaster. Zatrzymawszy się w zajeździe usłyszałem, że w monasterze żyje dobry przeor, pobożny i gościnnie. Poszedłem do niego. Przyjął mnie serdecznie, prosił bym usiadł, podał coś do jedzenia.

- Święty ojciec - powiedziałem - gościny mi nie trzeba, pragnę, byś dał mi duchowe pouczenie, jak się zbawić! - Jak się zbawić? Żyj według przykazań, módl się do Boga, a będziesz zbawiony!

- Słyszałem, że trzeba modlić się nieustannie, ale nie wiem jak to osiągnąć, a nawet nie mogę zrozumieć, co oznacza modlitwa nieustanna. Proszę cię więc, mój ojciec, byś mi to wyjaśnił.

- Nie wiem, drogi bracie, jak ci to lepiej wyjaśnić. Ale zaraz, poczekaj! Mam książeczkę, tam jest to wyjaśnione. I przyniósł mi Pouczenie duchowe człowieka wewnętrznego świętego Dymitra [3] . - Masz, czytaj na tej stronie.

Zaczęłam czytać: "Słowa Apostoła: «módlcie się nieustannie» dotyczą modlitwy umysłu, bowiem może on być nieustannie zanurzony w Bogu i wciąż się do Niego modlić".

- Wyjaśnij mi, proszę, w jaki sposób umysł stale może zanurzać się w Bogu, nie rozpraszać się i wciąż się modlić.

- Jest to bardzo trudne - powiedział przeor - chyba że sam Bóg da to zrozumieć. - I nie wyjaśnił.

Przenocowałem u niego, rankiem podziękowałem za życzliwe przyjęcie i ruszyłem dalej w drogę, sam nie wiedząc dokąd. Smuciłem się swoją niepojętnością i dla pociechy czytałem świętą Biblię. Szedłem tak z pięć dni szeroką drogą, a wieczorem dogonił mnie jakiś staruszek, z wyglądu jakby duchowny.

Na moje pytanie odpowiedział, że jest mnichem-pokutnikiem [4] z pustelni, która leży jakieś dziesięć wiorst w bok od tej szerokiej drogi, i zaprosił, bym tam z nim zaszedł.

- Przyjmujemy - mówił - pielgrzymów, znajdują u nas spokój, a karmimy ich razem z innymi pobożnymi wędrowcami w zajeździe. Jakoś nie miałem ochoty tam zachodzić i na jego zaproszenie odpowiedziałem:

- Mój spokój nie zależy od tego, czy mam dach nad głową, a od duchowego pouczenia; jedzenia nie szukam, mam dość sucharów w torbie.

- A jakiegoż to szukasz pouczenia, czym się kłopotujesz? Chodź, zajdź do nas, drogi bracie; znajdziesz starców [5] doświadczonych, którzy mogą ci dać duchową strawę i skierować na właściwą drogę, w świetle Bożego słowa i rozważań świętych ojców.

- Posłuchaj, ojczulku. Jakiś rok temu, będąc na liturgii usłyszałem w czytaniu z księgi Dziejów i Listów Apostolskich taki nakaz: módlcie się nieustannie. Nie mogąc go zrozumieć, zacząłem czytać Biblię. W niej

także, w wielu miejscach, znalazłem Boży nakaz nieustannej modlitwy, modlenia się zawsze, w każdym czasie, na każdym miejscu, nie tylko przy wszelkich zajęciach, czuwaniu, ale nawet we śnie: "Ja śpię, lecz serce me czuwa" (Pnp 5,2). Bardzo mnie to zdziwiło, ale nie mogłem zrozumieć, jak to osiągnąć, jakie wiodą do tego drogi. Obudziła się we mnie silna chęć ich poznania i ciekawość, dzień i noc nie wychodziło mi to z głowy. Oto dlatego zacząłem chodzić po cerkwiach, słuchać kazań o modlitwie. Ileż ich się nasłuchałem, ale w żadnym nie znalazłem pouczenia o tym, jak się nieustannie modlić. Wciąż słyszałem tylko o przygotowaniu do modlitwy, o jej owocach i temu podobnych sprawach, a nigdy o tym, jak modlić się nieustannie, o tym, czym jest taka modlitwa. Często czytałem Biblię i z jej pomocą sprawdzałem to, co usłyszałem, ale wciąż nie mogłem znaleźć tego, czego pragnąłem. Do dziś tak chodzę, pełen niewiedzy i niepokoju.

Starzec uczynił znak krzyża i powiedział:

- Dziękuj Bogu, drogi bracie, za to wzbudzenie w tobie tej niegasnącej tęsknoty za poznaniem ciągłej modlitwy wewnętrznej. Zobacz, że jest w tym wezwanie Boże i uspokój swe serce. Uwierz, że do tej pory przechodziłeś próbę zgody twej woli na głos Boga: miałeś zrozumieć, że nie mądrość tego świata, nie zewnętrzna ciekawość prowadzi ku niebiańskiemu światłu nieustannej modlitwy wewnętrznej, ale przeciwnie - ubóstwo ducha i ciągłe doświadczanie pozwalają osiągnąć je w prostocie serca. Oto dlatego wcale się nie dziwię, że nie mogłeś słyszeć nic o istotnych sprawach modlitwy i nauczyć się ciągłego nią zajmowania. Tak, to prawda, że niemało jest kazań o modlitwie, sporo jest też o niej pouczeń różnych pisarzy, ale ponieważ wszystkie ich rozważania opierają się najczęściej na rozmyślaniach, na wyobrażeniach własnego umysłu, a nie na prawdziwym doświadczeniu, to więcej mówią one o właściwościach modlitwy, niż o istocie jej samej. Jeden snuje przepiękne rozważania o konieczności modlitwy, inny o jej sile

i dobroczynnym wpływie, jeszcze inny o środkach prowadzących do jej pełni, to znaczy o tym, że przy modlitwie potrzebne są: gorliwość, skupienie uwagi, gorącość serca, czystość myśli, pojednanie z nieprzyjaciółmi, pokora, skrucha i tak dalej. Ale czym jest modlitwa i jak się jej nauczyć? - Na takie, chociaż przecież podstawowe, najważniejsze pytania, bardzo rzadko można znaleźć wyczerpujące wyjaśnienia u kaznodziejów żyjących w naszych czasach, ponieważ są one trudniejsze do zrozumienia od wszystkich spraw wymienionych wyżej, i wymagają wprowadzenia mistycznego, a nie tylko szkolnej uczoneści.

Ale już najgorsze jest to, że ta marna, żywiolowa mądrość zmusza do mierzenia tego, co Boże, miarą ludzką. Wielu jest takich, którzy o sprawach modlitwy snują rozważania całkiem opaczne, sądząc, że to środki przygotowawcze i wielkie czyny są źródłami modlitwy, a nie odwrotnie - że to modlitwa rodzi takie czyny i wszelkie cnoty. W tym przypadku owoce czy skutki modlitwy uważają oni błędnie za sposoby i środki prowadzące ku niej i przez to odzierają modlitwę z siły. A to dokładnie przeczy temu, co mówi Pismo Święte, ponieważ Apostoł Paweł daje pouczenie o modlitwie w takich słowach: polecam więc przede wszystkim modlić się (1 Tm 2,1). Tu mamy, według powiedzenia Apostoła, pierwszą wskazówkę dotyczącą modlitwy - sprawę modlitwy stawia on przed wszystkimi innymi: polecam przede wszystkim modlić się. Wiele jest dobrych spraw, które należą do chrześcijanina, ale sprawa modlitwy powinna być pierwsza, bo bez niej nie można dokonać żadnego dobrego czynu. Bez modlitwy nie można znaleźć drogi do Pana, zrozumieć istoty spraw, ukrzyżować ciała z jego namiętnościami i pożądaniami, rozjaśnić serca światłem Chrystusa i połączyć się z Nim dla zbawienia - bez uprzedniej częstej modlitwy. Mówię "częstej", bo doskonałość i prawidłowość modlitwy nie zależą od naszych możliwości, jak o tym mówi święty Paweł Apostoł: nie wiemy, o co byśmy prosić mieli, jak potrzeba (Rz 8,26). Zatem tylko częstość i stałość są pozostawione naszym możliwościom jako środek do osiągnięcia czystości modlitwy, która jest matką wszelkich dóbr duchowych. Zdobądź matkę, a wywiedzie ci potomstwo - mówi święty Izaak Syryjczyk [6] posiadź modlitwę, a zdobędziesz wszelkie cnoty. O tym właśnie mają tylko mętne pojęcie i mało mówią ci, którzy ledwie obeznani są z praktyką i mistyczną nauką świętych ojców.

Tak rozmawiając, nie wiadomo kiedy doszliśmy prawie do samej pustelni. Aby nie utracić towarzystwa tego mądrego starca i szybciej nasycić moje pragnienia, pospieszyłem, by powiedzieć:

- Okaż mi miłosierdzie, najszlachetniejszy ojcze, i wyjaśnij, co oznacza nieustanna modlitwa wewnętrzna i jak się jej nauczyć: widzę bowiem, że wiesz to wybornie i jesteś w tym doświadczony.

Starzec przyjął moją prośbę ze spojrzeniem pełnym miłości i zaprosił mnie:

- Zajdź teraz do mnie, a dam ci księgę świętych ojców, dzięki której, z Bożą pomocą, w sposób jasny i szczegółowy będziesz mógł zrozumieć modlitwę i nauczyć się jej.

Weszliśmy do celi i starzec zaczął:

- Nieustanna wewnętrzna modlitwa Jezusowa to nieprzerwane, nigdy nie ustające wzywanie Boskiego imienia Jezusa Chrystusa ustami, umysłem i sercem, ze świadomością stałej Jego obecności, z prośbą o zmiłowanie, podczas wszelkich zajęć, na każdym miejscu, w każdym czasie, nawet we śnie. Wezwanie to brzmi tak: Panie, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną! Kto przywyknie do takiego wzywania, znajdzie wielką pociechę i doświadczy potrzeby, by zawsze tak się modlić, i to takiej, że już bez modlitwy nie będzie mógł żyć, a ona sama będzie się wylewać w jego wnętrzu [7]. Czy teraz rozumiesz, czym jest modlitwa nieustanna?

- Wspaniale to rozumiałem, ojcze mój! Na Boga, proszę, naucz mnie teraz, jak to osiągnąć! - krzyknąłem z radości.

Jak nauczyć się modlitwy, o tym przeczytamy tu, w tej książce. Nazywa się ona Dobrotolubije [8] znajdziesz w niej pełną i szczegółową wiedzę o nieustannej modlitwie wewnętrznej, przedstawioną przez dwudziestu pięciu świętych ojców, a jest ona tak doskonała i pożyteczna, że uważana jest za głównego i pierwszego nauczyciela kontemplacyjnego życia wewnętrznego i jak mówi wielebny Nikifor [9], "bez trudu i potu prowadzi do zbawienia".

- Byłaby zatem bardziej wzniosła i święta niż sama Biblia? - zapytałem.

- Nie, nie jest bardziej wzniosła i święta niż Biblia, lecz zawiera przystępne objaśnienia tego, co w Biblii zawarte jest w sposób tajemny i niełatwe jest do zrozumienia, bo zbyt wzniosłe dla naszego krótkowzrocznego umysłu. Dam ci tego przykład: słońce jest największym, najjaśniejszym i najwspanialszym ciałem niebieskim, ale nie możesz przecież oglądać go i kontemplować jego wspaniałości bezpośrednio, nie uzbrojonym okiem. Musisz mieć, jak wiadomo, szkło, coś sztucznego, co choć jest miliony razy mniejsze i bledsze od słońca, daje ci możliwość oglądania tego wspaniałego króla światła, zachwycania się nim i przyjmowania jego ognistych promieni. Tak Pismo Święte jest jaśniejącym słońcem, a Dobrotolubije - tym niezbędnym szkłem. Teraz słuchaj, będę czytał, jak nauczyć się nieustannej modlitwy wewnętrznej.

Starzec otworzył Dobrotolubije, znalazł pouczenie św. Symeona Nowego Teologa [10] i rozpoczął: "Siądź samotnie i w milczeniu, pochyl głowę, zamknij oczy, oddychaj spokojnie, zagłądaj jakby do serca, sprowadzaj twój umysł, tj. myśl, do jego wnętrza. Wraz z oddechem wypowiadaj słowa: «Panie, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną»; ustami, cicho albo tylko w umyśle. Wszelkie inne myśli staraj się odpędzać, trwaj w spokoju i cierpliwości, zajmuj się tym jak najczęściej".

Starzec wszystko to mi wyjaśnił, dając przykłady, a potem czytaliśmy jeszcze z Dobrotolubija św. Grzegorza Synaitę [11] i wielebnych Kaliksta i Ignacego [12]. Wszystko, co czytaliśmy, starzec wyjaśniał mi jeszcze swoimi słowami. Z uważnym zachwytem słuchałem tego wszystkiego, chłonałem pamięcią i starałem się, jak tylko można, szczegółowo zapamiętać. Przesiedzieliśmy tak całą noc i nie kładąc się spać poszliśmy na jutrznię. Starzec przy pożegnaniu pobłogosławił mnie i powiedział, bym ucząc się modlitwy zachodził do niego ze szczerymi wyznaniem i wynurzeniami, bowiem zajmowanie się sprawami wnętrza bez pomocy nauczyciela jest niewygodne i mało przynosi owoce.

Stojąc potem w cerkwi czułem w sobie gorące pragnienie jak najlepszego nauczania się nieustannej modlitwy wewnętrznej i prosiłem Boga, by mi w tym dopomógł. Potem zacząłem myśleć o tym, jak będzie możliwe zachodzić do starca po radę czy też by wyznać mu swe grzechy. Przecież w zajeździe dłużej niż trzy dni nie pozwolą mi mieszkać, a w pobliżu pustelni kwatery nie znajdę... W końcu dowiedziałem się, że jakieś cztery wiorsty dalej jest wieś. Poszedłem tam szukać sobie jakiegoś miejsca. Na moje szczęście Bóg wskazał mi coś odpowiedniego. Nająłem się tam na całe lato u chłopca, by pilnować mu ogrodu, ale pod warunkiem, że będę w tym ogrodzie mieszkał sam, w szałasie. Bogu niech będą dzięki! - znalazłem spokojne miejsce. Tak zacząłem żyć i uczyć się, według pokazanego mi sposobu, modlitwy wewnętrznej, i zachodzić do starca.

Przez jakiś tydzień pilnie zajmowałem się w moim ogrodowym odludziu nauczaniem nieustannej modlitwy, dokładnie tak, jak mi to wyjaśnił starzec. Na początku wydawało się, że ruszyłem z miejsca. Potem poczułem dużą ociężałość, lenistwo, nudę, ogarniała mnie senność, a najróżniejsze myśli runęły na mnie całą chmurą. Smutny poszedłem do starca i opowiedziałem mu o tym wszystkim. Powitał mnie mile i zaczął:

- Jest to, mój drogi bracie, wojna świata ciemności przeciwko tobie. Nic w nas nie jest dla tego świata straszniejsze niż modlitwa serca i dlatego wszelkimi sposobami stara się on tobie przeszkodzić i odciągnąć cię od nauki modlitwy. Zresztą, nawet taki wróg nie działa inaczej, niż z Bożej woli i dopustu, tyle, ile jest dla nas pożyteczne. Widać, potrzebna ci próba pokory; dlatego za wcześniej jeszcze na to, by z nieumiarkowanym zapałem wspinać się do najwyższego progu twojego serca, mógłbyś bowiem popaść w duchowe łakomstwo. Przeczytam ci teraz, czego o takim przypadku uczy Dobrotolubije.

Starzec odnalazł nauki wielebego mnicha Nikifora i zaczął czytać: "Jeśli potrudziwszy się nieco nie zdołasz wejść do krainy serca, tak jak to miałeś wyjaśnione, to uczyni, co ci powiem, a z pomocą Bożą znajdziesz to, czego szukasz. Wiesz, że zdolność do tworzenia słów tkwi w krtani człowieka. Niech ona zatem nieustannie mówi: «Panie, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną!» - ty zaś odpędzaj swoje myśli (możesz to uczynić, jeśli zechcesz) i przymuszając się, zawsze wymawiaj te słowa. Jeśli przez pewien czas w tym wytrwasz, to niewątpliwie otworzy się wejście do twego serca. Jest to sprawdzone doświadczeniem".

Oto słyszysz pouczenie świętych ojców odpowiednie do twego przypadku - powiedział starzec. - Dlatego teraz powinienes przyjąć ten nakaz z ufnością i, ile tylko możesz, wymawiać ustami twymi modlitwę Jezusową. Masz tu różaniec, na nim odmów na początek choćby i trzy tysiące razy dziennie tę modlitwę. Stoisz czy siedzisz, chodzisz czy leżysz, mów ciągle: Panie, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną! Ale nie rób tego głośno albo spiesząc się i koniecznie dokładnie czyni tak trzy tysiące razy dziennie, sam nic nie dodawaj i nie ujmuj. Bóg pomoże ci w ten sposób osiągnąć nieustanne działanie serca.

Z radością przyjąłem jego nakaz i wróciłem do swego ogrodu. Zacząłem posłusznie i dokładnie wykonywać to, czego nauczył mnie starzec. Przez dwa pierwsze dni szło mi to z trudem, ale potem stało się czymś łatwym i upragnionym, tak że gdy tej modlitwy nie mówiłem, pojawiała się we mnie chęć, by znów wzywać imienia Jezusa i modlitwa ta stała się dla mnie łatwa, jakby do mnie dopasowana, nie jak wcześniej - wymuszona. Wyznałem to starcowi, a on nakazał mi teraz modlić się tak już po sześć tysięcy razy dziennie i dodał:

- Nie niepokój się, a staraj się, jak tylko możesz najpilniej, modlić się tyle razy, ile ci nakazuje: Bóg ulituje się nad tobą. Przez cały następny tydzień w moim samotnym szałasie od mawiałem każdego dnia sześć tysięcy raz modlitwę Jezusową, nie troszcząc się o nic i nie zwracając uwagi na moje myśli, choćby nie wiem co wyprawiały w mej głowie; starałem się tylko o jedno - najdokładniej wypełniać nakaz starca. I co się stało? - tak przywykłem do tej modlitwy, że jeśli przez moment przestaję ją mówić, to czuję, jakby mi czegoś brakowało, jakbym coś utracił. Zaczynam modlitwę i zaraz robi mi się lekko i radośnie. A spotkam kogoś to i nawet rozmawiać się nie chce - wciąż tylko byś siedział w samotności i modlił się; tak nawykłem do modlitwy w ciągu jednego tylko tygodnia.

Starzec przez dziesięć dni mnie nie widział i sam przyszedł mnie odwiedzić. Opowiedziałem mu, co się ze mną dzieje. Wysłuchał mnie i powiedział:

- Teraz nawykłeś już do modlitwy, ale uważaj - podtrzymuj i pogłębiaj to przyzwyczajenie, nie trać czasu na próżno i postanów z Bożą pomocą modlić się wytrwale dwanaście tysięcy razy w ciągu dnia. Trzymaj się swego odludzia, wstawaj wcześniej, ale kładź się później, a co dwa tygodnie przychodź do mnie po radę.

Zacząłem czynić tak, jak mi polecił starzec i pierwszego dnia ledwie, późnym wieczorem, zdążyłem zakończyć moje dwunastotysięczne wezwanie. Na drugi dzień poszło już łatwo i z uczuciem zadowolenia. Najpierw podczas tego nieustannego wypowiadania modlitwy czułem zmęczenie, jakby język robił mi się drewniany, jakieś skrępowanie szczęk, zresztą przyjemne, potem lekki, delikatny ból podniebienia, poczułem też niewielki ból tego palca lewej ręki, którym przesuwałem paciorki różańca, i rozpalenie dłoni, które sięgało aż do łokcia, dając jakieś miłe uczucie. A wszystko to jakby jeszcze pobudzało i przymuszało do mocniejszego trwania na modlitwie. W ten oto sposób przez pięć dni modliłem się dokładnie po dwanaście tysięcy razy, a wraz z przyzwyczajeniem przysłała chęć i poczucie zadowolenia.

Kiedyś, wczesnym rankiem, wyglądało na to, że modlitwa mnie zbudziła. Zacząłem odmawiać modlitwy poranne, ale język wypowiadał je z trudem, a we mnie rosła chęć wejścia w modlitwę Jezusową. Jakże mi było lekko i radośnie, gdy ją zacząłem, język i usta wymawiały ją jakby same, bez mojego przymuszania! Cały dzień przeszedł mi pośród wielkiej radości, a czułem się tak, jakbym był wolny od wszystkiego, jakbym był na innej ziemi; z łatwością, wczesnym wieczorem, zakończyłem dwanaście tysięcy modlitw. Miałem wielką ochotę modlić się dalej, ale nie śmiałem czynić więcej niż nakazał mi starzec. W ciągu następnych dni w ten sam sposób wzywałem imienia Jezusa Chrystusa z łatwością i wielką na to ochotą.

Poszedłem potem do starca wyznać mu, opowiedzieć wszystko szczegółowo. Wysłuchał mnie i zaczął:

- Dzięki Bogu za to, że pojawiła się w tobie chęć i łatwość modlitwy. To rzecz normalna, wynikająca z częstego ćwiczenia, z gorliwości. Podobnie i maszyna, której koło zamachowe rozpedzisz, działa potem długo sama, ale dla podtrzymania jej ruchu potrzeba smarowania i popędzania. Czy widzisz, jakimi wspaniałymi zdolnościami obsypał czułą naturę człowieka miłujący go Bóg, jakież mogą pojawiać się uczucia nawet poza rajem, nie pośród oczyszczonej zmysłowości, a w grzesznej duszy, jak już tego sam doświadczyłeś? A jakże to wspaniałe, zachwycające i jak wiele niesie słodyczy, gdy Bóg pozwoli komuś ze swej łaskowości odkryć dar samorzutnej modlitwy w duchu i oczyścić duszę od namiętności? Stan taki jest niewyobrażalny, a odkrycie tej tajemnicy modlitwy daje przedsmak niebiańskich słodyczy już tu, na ziemi. Dostąpią tego ci, którzy szukają Pana w prostocie serca przepelnionego miłością! Teraz ci pozwalam: módl się, ile chcesz, jak najwięcej; gdy nie śpisz, cały czas staraj się poświęcić na modlitwę i już bez liczenia wzywaj imienia Jezusa Chrystusa, posłusznie oddając się woli Boga i od Niego oczekując pomocy: wierzę, że On cię nie pozostawi i pokieruje twoją drogą.

Wysłuchałem tego pouczenia i całe lato spędziłem na nieustannej ustnej modlitwie Jezusowej. Byłem bardzo spokojny. Często we śnie zdawało mi się, że się modlę. A w ciągu dnia, gdy zdarzyło mi się spotkać kogoś, to wszyscy bez wyjątku wydawali mi się tak mili jak moi najbliżsi, choć się nimi nie zajmowałem. Różne myśli, które kiedyś przychodziły mi do głowy, jakoś same całkiem przycichły i nie myślałem już o niczym oprócz modlitwy, do której zacząłem nakłaniać mój umysł, a serce z czasem już samo zaczęło napełniać się ciepłem i jakimś miłym uczuciem. Gdy zdarzyło mi się zejść do cerkwi, to długie nabożeństwo w samotni wydawało mi się krótkie i już nie męczyło mnie, jak bywało dawniej. Mój samotny szałas wydawał mi się wspaniałym pałacem i nie wiedziałem, jak mam dziękować Bogu za to, że mnie, grzesznikowi zasługującemu tylko na przekleństwo, przysłał takiego starca - wybawiciela i nauczyciela.

Ale niedługo mogłem korzystać z pouczeń mojego starca, tak miłego i mądrego w sprawach Bożych - umarł on w końcu lata. Pożegnałem go ze łzami, podziękowawszy za ojcowskie nauki, które dał mi, zasługującemu przecież na potępienie, i wyprosiłem dla siebie jako znak błogosławieństwa różaniec, którego zawsze używał przy modlitwie. Zostałem zatem sam. Wreszcie minęło i lato, z sadu zebrano owoce i nie miałem już gdzie się zatrzymać. Wieśniak rozliczył się ze mną, dał mi za pilnowanie dwa ruble, a jeszcze nasypał na drogę sucharów do torby i znów zacząłem wędrować po różnych miejscach. Ale już nie chodziłem tak, jak kiedyś - szukając: nie, wzywanie imienia Jezusa Chrystusa przynosiło mi podczas drogi radość, a wszyscy ludzie byli dla mnie tak dobrzy, jakby naraz zaczęli mnie kochać.

Kiedyś zacząłem myśleć, co robić z pieniędzmi, które dostałem za pilnowanie ogrodu, do czego mają mi służyć? Ej! zaczekaj! Starzec umarł, nie ma mnie kto uczyć. Kupię sobie Dobrotolubije i z niego zacznę się uczyć modlitwy wewnętrznej. Przeżegnałem się, no i idę sobie z moją modlitwą. Doszedłem do jakiegoś

gubernialnego miasta i właścicielach wypytywać o Dobrotolubije. Znalazłem w jednym, ale chcą trzy ruble, a ja mam tylko dwa. Targowałem się długo, ale kupiec nie ustąpił ni na kopiejkę. Wreszcie powiedział: - Idź do tej, tam, cerkwi i zapytaj starosty cerkiewnego ma on jeden stary egzemplarz tej książki. Może ci odstąpi za dwa ruble.

Poszedłem i rzeczywiście kupiłem Dobrotolubije za dwa ruble. Książka była stara i wyświechtana, ale ucieszyłem się. Jakoś ją podreperowałem, obszyłem w kawałek materiału i włożyłem do torby, w której nosiłem Biblię.

Teraz tak już chodzę i nieustannie odmawiam Jezusową modlitwę, która stała się dla mnie czymś najdroższym i najśodszy

na świecie. Przejdę nieraz i z siedemdziesiąt, albo i więcej, wiorst przez dzień, ale nie czuję, że idę - czuję tylko, że mówię tę modlitwę. Kiedy złapie mnie silne zimno, zaczynam modlić się z większym skupieniem i zaraz robi mi się gorąco. Gdy zaczyna mi dokuczać głód, częściej wzywam imienia Jezusa Chrystusa i zapominam, że chciało mi się jeść. Kiedy czuję się chory, łamie mnie w plecach i w nogach, skupiam się na modlitwie i bólu nie czuję. A znieważy mnie ktoś, to tylko wspomnę, jakie pocieszenie niesie Jezusowa modlitwa i zaraz uczucie znieważenia i złości mija i wszystko zapominam.

Stałem się jak człowiek niespełna rozumu: ani nie troszczę się o nic, ani nic mnie nie zajmuje, na to, co mogłoby mnie rozpraszać, nie patrzę, chciałbym tylko trwać w moim osamotnieniu. Przyzwyczałem się tylko do jednego i tego właśnie pragnę: by nieustannie wzywać imienia Jezusa; kiedy tym się zajmuję, czuję się radosny. Jeden tylko Bóg może wiedzieć, co się ze mną dzieje. Jasne, że wszystko to jest tylko zmysłowe albo jak mówił zmarły starzec - naturalne i zarazem sztuczne, dzięki przyzwyczajeniu, ale nie mam śmiałości, by zaraz przystąpić do uczenia się i przyswojenia głębinom mego serca modlitwy ducha, a to z powodu moich wad i głupoty. Mając nadzieję, że modli się za mnie zmarły starzec, czekam godziny, kiedy będzie to woła Bożą. Zatem, choć nie sięgnąłem jeszcze progów nieustannej, spontanicznej modlitwy duchowej mego serca, to niech i tak będą dzięki Bogu! Dobrze przecież teraz wiem, co znaczą usłyszane przeze mnie słowa z księgi Dziejów i Listów Apostolskich: módlcie się nieustannie.

Opowieść druga



Długo wędrowałem po różnych miejscach, a towarzyszyła mi Jezusowa modlitwa, krzepiąc mnie i przynosząc mi pociechę na wszystkich tych drogach, przy wszystkich spotkaniach i zdarzeniach. Wreszcie poczułem, że lepiej byłoby zatrzymać się gdzieś na jednym miejscu, by zakosztować samotności, ale i postudiować Dobrotolubije, które wprawdzie po trochu czytałem znalazłszy schronienie na nocleg albo gdy odpoczywałem w ciągu dnia, ale silne było we mnie pragnienie stałego zagłębiania się w nie i czerpania z wiarą prawdziwego pouczenia służącego zbawieniu duszy, przez modlitwę serca. Jednak pomimo moich chęci, nigdzie, do żadnej pracy stosownej do moich sił nająć się nie mogłem z powodu całkowitego niedowładu mej lewej ręki już od dzieciństwa i dlatego nie mogąc znaleźć stałego schronienia, powędrowałem w kraje syberyjskie, do arcypasterza Innocentego z Irkucka [13]. Myślałem, że po syberyjskich lasach i stepach będę mógł iść w ciszy i wygodniej mi zatem będzie zajmować się modlitwą i czytaniem. Tak więc szedłem, ale wciąż z modlitwą. Wreszcie, po krótkim czasie, poczułem, że modlitwa sama zaczęła przenikać do mego serca, to znaczy serce, bijąc zwyczajnie, zaczęło jakby wymawiać wewnątrz siebie słowa modlitwy przy każdym uderzeniu: raz - Panie! dwa - Jezu! trzy - Chryste! i tak dalej. Przestałem modlitwę wymawiać ustami i zacząłem przysłuchiwać się temu, co mówi serce; pamiętałem, co objaśniał mi zmarły starzec, że było to przyjemne. Potem zacząłem odczuwać w sercu delikatny ból, a w myślach taką miłość do Jezusa Chrystusa, że wydawało mi się, iż gdybym Go zobaczył, to rzuciłbym się Mu do nóg i nie wypuścił, całowałbym słodko, do łez, dziękując za to, że poprzez swoje imię daje tak wielką pociechę ze swojej łaskawości i miłości, niegodnemu i grzesznemu stworzeniu.

Potem zaczęło się pojawiać w sercu jakieś kojące ciepło, które rozchodziło się na całe piersi. Nakłoniło mnie to w sposób szczególny do uważnego czytania Dobrotolubija, żeby sprawdzić moje doznania i głębiej opanować wewnętrzną modlitwę serca; obawiałem się bowiem, że bez tego sprawdzenia mogę popaść w złudzenia albo przyjąć to, co naturalne, za przychodzące z łaski, i zacząć szczyścić się tak szybkim zdobyciem umiejętności modlitwy, o czym słyszałem od zmarłego starca.

Dlatego też szedłem teraz częściej nocami, a dni spędzałem przeważnie na czytaniu Dobrotolubija, siedząc w lesie pod drzewami. Ach, ileż nowych, jak mądrych i dotąd nie znanych mi rzeczy ukazała mi ta lektura! Zajmując się nią, zakosztowałem takiej słodyczy, jakiej dotąd nie mogłem sobie nawet wyobrazić. Wprawdzie w niektórych miejscach książka była niezrozumiała dla mego ograniczonego umysłu, ale skutki modlitwy serca były objaśnieniem tego, czego nie mogłem pojąć. W dodatku widywałem czasem we śnie mego zmarłego starca; wiele mi wyjaśniał i wciąż nakłaniał przede wszystkim do pokory moją nierozumną duszę. Rozkoszowałem się tak ponad dwa miesiące tego lata. Podróżowałem najczęściej lasami i polnymi drogami: przychodzę do wsi, proszę o torbę sucharów i garść soli, naleję sobie wody do kubeczek z brzoźowej kory i znowu idę jakieś sto wiorst.

Czy to za grzechy mojej godnej potępienia duszy, czy wymagało tego moje życie duchowe, może dla lepszego pouczenia mnie i doświadczenia, ale pod koniec lata zaczęły pojawiać się próby. Było to tak. Wyszedłem na

jakąś szeroką drogę i o zmierzchu dopędziło mnie dwu ludzi, sądząc z wyglądu ich głów byli to żołnierze, i zażądali ode mnie pieniędzy. Powiedziałem, że nie mam nawet kopiejki, ale nie uwierzyli i bezzwłocznie krzyknęli - Łzesz! Tacy jak ty wędrowcy zawsze mają pieniądze ze sobą! - Jeden z nich powiedział - Co będziemy z nim gadać - rąbnął mnie pałą w głowę tak, że upadłem bez przytomności. Nie wiem, czy długo tak leżałem, ale ocknąwszy się zobaczyłem, że leżę na skraju lasu, przy drodze, poszarpany, a mojej torby nie ma. Zostały tylko odcięte sznurki, na których ją niosłem. Dzięki Bogu nie zabrali moich papierów, które nosiłem w mojej starej czapce, by w razie potrzeby móc je szybko pokazać. Wstałem i zapłakałem gorzko, nie tyle z bólu głowy, ile z żalu, że straciłem obie moje książki, Biblię i Dobrotolubije, które były w skradzionej torbie. Ani w dzień, ani w nocy nie przestawałem się tym smucić i płakać. Gdzież teraz jest moja Biblia, którą czytałem i zawsze miałem przy sobie już od najmłodszych lat? Gdzie moje Dobrotolubije, z którego tyle zaczerpnąłem nauk i pociechy? Utraciłem, nieszczęsny, ten pierwszy i ostatni skarb mego życia, i to jeszcze zanim zdążyłem się nim nasycić. Lepiej by mi było, gdyby mnie zabili, niż teraz, gdy mam żyć bez tego duchowego pokarmu! Nie będę mógł już go zdobyć!

Przez dwa dni ledwie powłóczyłem nogami, będąc u kresu sił ze smutku, a na trzeci, całkiem utraciwszy siły, ległem pod krzakiem i zasnąłem. I widzę oto we śnie, jakbym był w samotni, w celi mojego starca i opłakiwał mój smutek. Starzec, pocieszając mnie zaczął mówić - Jest to dla ciebie lekcja oderwania się od rzeczy ziemskich, byś lepiej wędrował do nieba. Przyszło to na ciebie, byś nie popadł w duchowe łakomstwo. Bóg chce, by chrześcijanin rzeczywiście wyrzekł się swojej woli, chęci i wszelkich przywiązań i by całkowicie poddał się woli Bożej. Bóg wszystkimi wydarzeniami kieruje dla zbawienia człowieka. Chce zbawić wszystkich (1 Tm 2,~1). Dlatego też nabierz otuchy i wierz, że wraz z pokusą da Bóg i ocalenie (1 Kor 10,13). I wkrótce twoja radość będzie większa od tego, co teraz cierpisz. - Przy tych słowach obudziłem się, poczułem przypływ sił, a w mej duszy - jakby jakieś świtanie i spokój. - Niech się dzieje wola Boża - powiedziałem i przeżegnawszy się ruszyłem dalej. Modlitwa po staremu zaczęła działać w moim sercu i przez jakieś trzy dni wędrowałem spokojnie.

Wtem dopędzam na drodze etap, transport więźniów pod strażą, zakutych w kajdany. Zrównawszy się z nimi ujrzałem dwóch ludzi, którzy mnie ograbili, a ponieważ szli oni z brzegu, upadłem im do nóg prosząc usilnie, by powiedzieli, gdzie są moje książki. Najpierw nie zwracali na mnie uwagi, ale potem jeden z nich zaczął - Dasz coś, to powiemy, gdzie te twoje książki. Daj rubelka. - Przysięgłem na Boga, że dam, na pewno dam, choćbym miał w imię Chrystusa wyprosić u ludzi. Macie, jeśli chcecie, bierzcie w zastaw moje papiery. - Powiedzieli, że moje książki wiezie tabor wraz z innymi skradzionymi rzeczami, znalezionymi u nich podczas rewizji. - Jakże je odzyskam? - Proś kapitana, który nas prowadzi. Rzuciłem się ku kapitanowi, wszystko mu wyjaśniłem, i to szczegółowo. A on, ot tak sobie, pyta - Czyżbyś ty umiał czytać Biblię? Nie tylko umiem wszystko przeczytać - odpowiedziałem - ale nawet i pisać: w Biblii jest napisane, że jest ona moją własnością, a przecież i w papierach moich podane jest to samo imię i nazwisko. Kapitan zaczął - Te rzeżymieszki, to zbiegli żołnierze, mieszkali w ziemiance i łupili wielu. Wczoraj złapał ich sprytny woźnica, któremu chcieli odebrać trojkę. Niech będzie, oddam ci twoje książki, jeśli tu są, ale chodź z nami na nocleg, tu, niedaleko, cztery wiorsty, przecież nie zatrzymam etapu i taboru z twojego powodu. - Rozmawiając z kapitanem z radością szedłem obok jego wierzchowca. Zobaczyłem, że kapitan to człowiek dobry i prawy, już niemłody. Pytał mnie, kim jestem, skąd i dokąd idę, a ja opowiadałem mu najszczerzą prawdę. Tak dotarliśmy do chaty, służącej za miejsce noclegu etapu. Kapitan, odnalazłszy moje książki, oddał mi je i powiada Dokądże teraz pójdziesz nocą, śpij u mnie w przedpokoju. - Zostałem.

Odzyskawszy książki tak się ucieszyłem, że nie wiedziałem, jak mam dziękować Bogu. Przycisnąłem je do piersi i trzymałem, aż mi zdrętwiały ręce. Z moich oczu płynęły łzy radości, a serce słodko biło w zachwycie!

Kapitan, patrząc na mnie, zapytał - Widać pokochałeś czytanie Biblii. - Z radości nic nie mogłem na to odpowiedzieć, wciąż płakałem. Ciągnął - Ja też, bracie, pilnie czytam każdego dnia Ewangelię. - Mówiąc to rozpiął mundur i wyjął małe, kijowskie wydanie Ewangelii, całe w srebrze. - Siadaj, opowiem ci, co mnie do tego skłoniło. No, ale dajcie nam wreszcie kolację

Siedliśmy przy stole i kapitan zaczął opowiadać - Od młodych lat służyłem, ale nie w garnizonie, a w armii czynnej. Znałem swoje obowiązki i jako sumienny chorąży lubiany byłem przez dowództwo, ale moje lata były tak młode jak moi przyjaciele i na nieszczęście nauczyłem się pić, i to tak, że w końcu stałem się nałogowcem: gdy nie piję, jestem sumiennym oficerem, ale jak zahulam, to i sześć tygodni nie wstaję z barłogu. Długo to znosili, ale w końcu, za grubiańskie zachowanie wobec szefa, co mi się po pijanemu zdarzyło, zdegradowali mnie do zwykłego żołnierza na trzy lata, z jednoczesnym przeniesieniem do garnizonu. Jeślibym się zaś nie poprawił i nie przestał pić, to grozili najsurowszą karą. W tym nieszczęsnym stanie jakże się starałem powstrzymać, jak się nie leczyłem, ale w żaden sposób nie mogłem rzucić mojego nałogu i dlatego chcieli mnie nawet przenieść do rot aresztanckich. Usłysawszy to, nie wiedziałem, co ze sobą uczynić.

Siedziałem kiedyś zamyślony w koszarach, gdy nagle przyszedł do nas jakiś mnich z księgą do zapisywania datków na cerkiew. Każdy dał, co mógł, a on podszedł do mnie i pyta Czemuś taki smutny? Zaczawszy z nim rozmowę, opowiedziałem mu o moim nieszczęściu. Mnich, współczując mi, zaczął - Dokładnie to samo zdarzyło się memu rodzonemu bratu i oto, co mu pomogło: jego ojciec duchowny dał mu Ewangelię i stanowczo nakazał, by bez chwili zwłoki, gdy tylko zachce mu się wina, czytał rozdział Ewangelii, a jeśliby mu

się zachciało znowu, to i rozdział następny. Brat mój zaczął tak postępować i w niedługim czasie przestało go ciągnąć do picia; już piętnaście lat nie miał w ustach kropli alkoholu. Postępujże i ty w ten sposób, a będzie z tego pożytek. Mam Ewangelię, owszem, przyniosę ci.

Wysłuchałem go i mówię - Jakże mi pomoże twoja Ewangelia, gdy żadne moje wysiłki ani leki nie mogły mnie powstrzymać? - Powiedziałem to, ot tak, bo nigdy Ewangelii nie czytywałem. - Nie mów tak - zaprzeczył mnich - zapewniam cię, że będzie z tego pożytek. - Następnego dnia mnich rzeczywiście przyniósł mi to oto wydanie Ewangelii. Otworzyłem je, popatrzyłem, spróbowałem czytać i mówię Nie wezmę tego, nic nie rozumiem i nie nawykłem do cerkiewnych druków [14]. - Mnich dalej mnie przekonywał, że już w samych słowach Ewangelii tkwi zbawienna moc, bo napisane jest w nich to, co mówił sam Bóg. Nie musisz rozumieć, byleś czytał pilnie. Pewien święty powiedział: Nawet jeśli ty nie rozumiesz Słowa Bożego, to diabli wiedzą, co czytasz, i drżą, a przecież nałóg pijaństwa to niewątpliwie ich sprawka. I jeszcze ci powiem: Jan Złotousty [15] pisze, że nawet miejsce, w którym przechowuje się Ewangelię, odstrasza duchy ciemności i jest niedostępne dla ich knoń.

Nie pamiętam, coś temu mnichowi dałem, wziąłem od niego te Ewangelie, włożyłem do kuferka razem z innymi rzeczami i zapomniałem o tym. Po pewnym czasie znowu strasznie zachciało mi się wypić wina, jak najszybciej otworzyłem kuferka, by wyjąć pieniądze i pędzić do karczmy. Pierwsze, co mi wpadło w oczy, to były Ewangelie. Zaraz wróciło mi żywe wspomnienie tego wszystkiego, co mówił mnich, otworzyłem więc i zacząłem od początku czytać pierwszy rozdział św. Mateusza. Przeczytałem go do końca i właśnie... niczego nie rozumiałem. Przypomniało mi się jednak, że mnich mówił: Nie musisz rozumieć, byleś pilnie czytał. Myślę: zatem przeczytam drugi rozdział. Przeczytałem i rozumiałem więcej. Dobrze, pomyślałem, zacznę trzeci, ale gdy tylko to uczyniłem, w koszarach zabrzmiał sygnał dzwonka: wszyscy na swoje miejsca! Nie mogłem już teraz wyjść za bramę i w ten sposób wytrwałem.

Wstawszy z rana, i mając zamiar iść po wino, pomyślałem, przeczytam rozdział Ewangelii - co się stanie? Przeczytałem i nie poszedłem. Znowu mi się wina zachciało - zacząłem czytać dalej i ulżyło mi. To mi dodało otuchy i przy każdej myśli o winie zaczynałem czytać rozdział Ewangelii. Im dalej, tym szło łatwiej, a w końcu, gdy skończyłem czterech Ewangelistów, chęć picia całkiem mi przeszła, zacząłem do tego odczuwać obrzydzenie. W ten oto sposób od pełnych dwudziestu lat napojów alkoholowych nie używam.

Wszyscy dziwili się przemianie, która we mnie nastąpiła: po upływie trzech lat przywrócono mi rangę oficera, potem awansowałem wyżej i wreszcie zostałem dowódcą. Ożeniłem się, trafiła mi się dobra żona, dorobiliśmy się majątku i teraz, dzięki Bogu, żyjemy, w miarę możliwości pomagamy biednym, przyjmujemy w gościnę pielgrzymów. Mój syn też już jest oficerem i dobry z niego chłopak.

Posłuchaj, od tej chwili, gdy ocalałem me życie przed zapiciem się na śmierć, poprzysiągłem sobie, że każdego dnia, aż do końca życia, czytać będę Ewangelię, całego Ewangelistę w ciągu doby, nie bacząc na przeszkody. Czynię to do dziś. Jeśli obowiązków mam zbyt wiele i bardzo jestem zmęczony, wtedy położywszy się wieczorem przymuszam moją żonę lub syna, by czytali mi całą Ewangelię. W ten sposób trzymam się mojej zasady, nie czyniąc wyjątków. Jako wyraz dziękczynienia Bogu i na Jego chwałę oparłem Ewangelie w czyste srebro i noszę je zawsze na mojej piersi.

Opowiadanie kapitana napełniło mnie błogością i powiedziałem - Widziałem i ja podobny przypadek. W naszej wiosce pracował w fabryce pewien rzemieślnik, wielki mistrz w swoim fachu, dobry, ceniony, ale na nieszczęście popijał, i to często. Pewien bogobojny człowiek poradził mu, by, gdy tylko przyjdzie mu ochota na wino, odmawiał trzydzieści trzy razy Jezusową modlitwę, a to na cześć Przenajświętszej Trójcy i według liczby trzydziestu trzech lat ziemskiego życia Jezusa Chrystusa. Rzemieślnik ów rady posłuchał, zaczął ją wypełniać i wkrótce całkiem rzucił picie. Cóż jeszcze dodać? Po trzech latach wstąpił do klasztoru.

- No dobrze, ale co jest ważniejsze - zapytał kapitan modlitwa Jezusowa czy Ewangelia?

- To jest dokładnie to samo - odpowiedziałem - czym jest Ewangelia, tym jest i Jezusowa modlitwa, bo przecież święte imię Jezusa Chrystusa zawiera w sobie wszystkie prawdy Ewangelii. Święci ojcowie powiadają, że modlitwa Jezusowa jest streszczeniem całej Ewangelii.

Na koniec pomodliliśmy się, kapitan zaczął czytać od początku Ewangelię według św. Marka, a ja słuchałem, powtarzając w sercu modlitwę. Przed drugą godziną po północy kapitan skończył Ewangelię i rozstaliśmy się, by odpocząć.

Wstałem swoim zwyczajem wczesnym rankiem, wszyscy jeszcze spali, i gdy tylko zaczęło świtać, zabrałem się do czytania mojego ukochanego Dobrotolubija. Z jaką radością je otworzyłem! Jakbym ujrzał swego rodzzonego ojca, powracającego z dalekich krajów, albo wskrzeszonego spośród umarłych przyjaciela. Ucałowałem je, dziękując Bogu za to, że mi je zwrócił. Zaraz zacząłem czytać Teolepta z Filadelfii [16], w drugiej części Dobrotolubija. Zdziwiło mnie jego pouczenie, w którym zapraszał, by człowiek wykonywał jednocześnie trzy czynności: siedząc w refektarzu, powiada, ciału dawaj pożywienie, uchu lekturę, a umysłowi - modlitwę. Wspomniałem jednak miniony, tak radosny wieczór i to doświadczenie rozwiązało moje wątpliwości. Otworzyła się tu przede mną tajemnica: umysł i serce to nie to samo!

Kiedy kapitan wstał, wyszedłem, by podziękować za jego dobroć i pożegnać się. Poczęstował mnie herbatą, dał mi rubla i rozstaliśmy się. Pełen radości znów ruszyłem w drogę.

Przeszedłem już z wiorst, gdy przypomniałem sobie, że przecież żołnierzom obiecałem rubla, a akurat nieoczekiwanie go mam. Dać go im, czy nie? Raz pomyśle: stłukli cię i ograbili, a i tak go nie wydadzą, bo są pod strażą. To znów przychodzi myśl inna: przypomnij sobie, że w Biblii jest napisane: "Jeżeli nieprzyjaciół twój cierpi głód - nakarm go. Jeżeli pragnie napój go" (Rz 12,19b-20a). A i sam Jezus Chrystus mówi: "Miłujcie waszych nieprzyjaciół" (Mt 5,44), i jeszcze: "Temu, kto chce [...] wziąć twoją szatę, odstąp i płaszcz!" (Mt 5,40) Przekonany tymi słowami wróciłem, podchodzę do etapu, a tu akurat wyprowadzili wszystkich uwięzionych, by ich prowadzić dalej. Podbiegłem szybko, wsunąłem im w rękę tego mojego rubla i powiedziałem - Pokutujcie i módlcie się. Jezus Chrystus kocha ludzi i was tak nie zostawi! - Z tymi słowami odszedłem, ruszając w drogę w innym kierunku.

Przeszedłszy jakieś pięćdziesiąt wiorst szeroką drogą pomyślałem, że dla pewniejszego osiągnięcia samotności i wygodniejszego czytania skręć na drogę polną. Długo wędrowałem przez lasy, gdziekolwiek tylko napotykałem niewielkie wioski. Czasem to i cały dzień przesiedziałem w lesie, pilnie czytając Dobrotolubije. Wiele i to cudownej wiedzy zaczerpnałem z niego. Moje serce płonęło chęcią zjednoczenia z Bogiem poprzez wewnętrzną modlitwę, której umiejętność pragnąłem osiągnąć, kierując się i sprawdzając wszystko poprzez lekturę Dobrotolubija. Zarazem bolałem, że nie znajduję jeszcze schronienia, gdzie mógłbym spokojnie oddawać się stałej lekturze.

W tym czasie czytałem Biblię i czułem, że rozumiem ją coraz lepiej, nie tak jak wcześniej, gdy zbyt wiele wydawało mi się niejasne i często czułem się zakłopotany. Słusznie powiadają święci ojcowie, że Dobrotolubije jest kluczem do tajemnic Pisma Świętego. Mając zatem taki przewodnik, zacząłem stopniowo rozumieć ukryty sens Słowa Bożego. Tak zostało mi wyjawione, co oznacza wewnętrzny, ukryty człowiek serca (1 P 3,4), czym jest prawdziwa modlitwa, oddawanie czci w Duchu (J 4,23), czym królestwo Boże w nas (Łk 17,21), czym jest wstawiennictwo Ducha Świętego, gdy prosi za nami błaganie niewymownym (Rz 8,26), co oznacza: "Wytrwajcie we Mnie" (J 15,4), "Daj mi swe serce" (Prz 23,26), "Przyobleczcie się w Pana Jezusa Chrystusa" (Rz 13,14; por. Ga 3,27), a co zaślubiny Ducha w naszych sercach (por. Ap 22,17), a co wołanie sercem: Abba! Ojcze! (Rz 8,15-16) i tyle innych miejsc Pisma. W tym czasie, gdy zaczynałem modlić się sercem, wtedy wszystko, co mnie otaczało, widziałem w jakiejś zachwycającej postaci: drzewa, trawy, ptaki, ziemię, powietrze, światło. Wszystko to jakby mówiło mi, że istnieje właśnie dla ludzi, świadczy o Bożej miłości do człowieka, modli się i wyśpiewuje chwałę Boga. Zrozumiałem wtedy, co nazywane jest w Dobrotolubiju "znajomością mowy stworzenia" i zobaczyłem, w jaki sposób można rozmawiać z Bożymi stworzeniami.

Długo tak wędrowałem. W końcu trafiłem w takie odludne miejsca, że przez trzy dni nie napotkałem ani jednej wioski. Zjadłem już wszystkie suchary i posmutniałem na myśl, że przyjdzie mi umrzeć z głodu. Zacząłem się modlić w sercu i jak tylko to uczyniłem, przygnębienie minęło, cały zdałem się na wolę Bożą, poweselałem i uspokoiłem się. Przeszedłszy kawałek drogi biegnącej wzdłuż ogromnego lasu zobaczyłem przed sobą podwórzowego psa, który zeń wybiegł. Przywołałem go, a on, podbiegłszy, zaczął się do mnie łaścić. Ucieszyłem się i pomyślałem: oto Boże miłosierdzie! Pewnie w lesie pasie się jakieś stado, a to jest oswojony pies pastucha. A może poluje tu jakiś myśliwy. Tak czy owak, ale przynajmniej mogę prosić o trochę chleba, bo już drugą dobę nie jadłem, albo mogę dowiedzieć się o jakieś pobliskie osiedle. Pokręciwszy się koło mnie i zobaczywszy, że nic nie dostanie, pies znów pobiegł do lasu tą samą wąską ścieżką, z której wybiegł na drogę. Poszedłem za nim i po przejściu jakichś dwustu sążni zobaczyłem między drzewami, że pies wlaźł do nory i wyglądając z niej zaczął szczekać.

Wtem zza grubego drzewa wychodzi chłop. Chudy, blady, w średnim wieku. I pyta mnie, jak tu trafiłem, a ja odpowiadam innym pytaniem: dlaczego tu siedzi? Zaczęliśmy życzliwą rozmowę. Człowiek ów zaprosił mnie do swej ziemianki, opowiedział, że jest leśniczym i pilnuje tego lasu sprzedanego pod wyrąb. Poczęstował mnie chlebem i solą i wywiązała się między nami rozmowa. Zazdroszczę ci - powiedziałem - że tak wygodnie możesz żyć z dala od ludzi, nie tak jak ja, tułam się z miejsca na miejsce, obracam się wśród ludzi wszelkiego rodzaju. Jeśli masz chęć - powiada - to proszę, żyj sobie tu i ty. Tu niedaleko jest stara ziemianka poprzedniego strażnika i choć trochę się obsunęła, to latem można w niej jeszcze mieszkać. Papiery masz, chleba nam wystarczy, każdego tygodnia przynoszą mi z naszej wsi. Jest też strumyk, który nigdy nie wysycha. Ja sam, bracie, żyję już tak dziesięć lat, tylko o chlebie i wodzie, nigdy niczego więcej nie jem. Rzecz tylko w tym, że jesienią, gdy chłopci skończą prace w polu, zjedzie ich tu ze dwustu i las wyrąbią. Wtedy nic tu po mnie, a i tobie żyć tu nie dadzą.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, tak się ucieszyłem, że padłbym mu do nóg. Wprost nie wiedziałem, jak mam Bogu dziękować za miłość, jaką mi okazał. Nad czym bolałem, czego pragnąłem - wszystko to teraz nieoczekiwanie otrzymuję. Do późnej jesieni jeszcze ponad cztery miesiące i przez cały czas mogę korzystać z ciszy i spokoju, by uważnie czytać Dobrotolubije dla poznania i osiągnięcia nieustannej modlitwy serca. W ten oto sposób, pełen radości, zamieszkałem zatem we wskazanej mi ziemiance. Z tym pełnym prostoty bratem, który mnie przygarnął, rozmawialiśmy coraz więcej, zaczął mi opowiadać całe swe życie i swoje myśli.

- W mojej wsi - opowiadał - nie byłem ostatnim człowiekiem. W swoim fachu byłem mistrzem, bawełniane materiały farbowałem na czerwono, a samodziały na niebiesko i tak żyłem sobie zadowolony, choć nie bez grzechu: oszukiwałem, jak się dało w handlu, bez potrzeby przysięgałem na Boga, kłamałem ciężkimi wyrazami, piłem i rozbijałem się. W naszej wiosce mieszkał stary diak, który miał starą, stareńką książeczkę o Sądzie

Ostatecznym. Zdarzają się, znajdują do prawosławnych i czyta, dają mu za to pieniądze. Zachodził i do mnie. Bywało: dasz mu dziesięć kopiejek, a on czyta aż do pierwszego piania koguta. Często słuchałem go pracując, a on czytał, jakie to w piekle będą męki, jak przemienią się żywi, a zmartwychwstaną umarli, jak to Bóg zstąpi na Sąd, aniołowie zadną w trąby, jaki ogień i smoła będą przygotowane, i jak robak toczyć będzie ciała grzeszników. Kiedyś, słuchając tego, wystraszyłem się i pomyślałem: już mnie te męki nie miną! Stój, bierz się za ratowanie duszy, módl się, może ci Bóg daruje twoje grzechy. Zacząłem się zastanawiać, w końcu zostawiłem swoje rzemiosło, chatę sprzedałem, a że byłem sam, poszedłem do leśnej straży, byleby tylko od ludzi dostać chleb, odzienie i woskowe świece do modlitwy.

Żyję już tak z górą dziesięć lat, jem tylko raz na dzień, a i to sam chleb i wodę. Każdej nocy wstaję o pierwszym pianiu koguta i do świtu modlę się, bijąc pokłony aż do ziemi, a przed świętymi obrazami zapalam po siedem świec. Za to w dzień, gdy obchodzę las, noszę dla umartwienia na gołym ciele dwupudowe [17] łańcuchy. Nie przeklinam, wina i piwa nie piję, z nikim się nie biję, z kobietami i dziewczynami nie zadawałem się, jak długo żyję.

Na początku takie życie podobało mi się, ale teraz, pod koniec, napadają mnie myśli, od których nie mogę się opędzić. Przecież jeden tylko Bóg wie, czy wystarczy twej modlitwy za grzechy, a życie masz trudne. A czy to prawdę w tej książeczce napisali? Jakże to, umarli zmartwychwstanie? Jakiś tam umarły sto czy więcej lat temu, toć przecież i proch z niego nie został. A piekło będzie, czy nie, któż to wie? Przecież nikt z tamtego świata do nas nie zachodził, wygląda na to, że jak człowiek umrze i zgnije, to i ginie bez śladu. Może tę książeczkę napisali popi, ci najgłówniejsi, żeby nas głupków nastraszyć, żebyśmy skromniej żyli. Choć przecież i tak żyjesz na tej ziemi w trudzie i nic cię nie cieszy, i na tamtym świecie też nic nie będzie. I na co to wszystko? Nie lepiej to chociaż na ziemi pożyć sobie wesoło, bez znoju? Takie to myśli mnie nachodzą - ciągnął - i boję się, czy nie przyjdzie mi wrócić do starego fachu!

Żał mi go było, gdy tego słuchałem. Pomyślałem też sobie: Mówią, że to tylko uczeni i mądrzy bywają wolnomyślicielami i w nic nie wierzą, a oto i nasza brać, prości chłopci, jakie to bezbożne ma pomysły! Pewnie świat ciemności do każdego ma dozwolony dostęp, a na zwykłych ludzi jeszcze łatwiej mu napadać. Ze wszystkich sił trzeba nabierać mądrości i umacniać się Słowem Bożym przeciw wrogom duszy. I żeby choć trochę pomóc i podtrzymać wiarę tego brata, wyjąłem z torby Dobrotolubije, odnalazłem sto dziewiąty rozdział wielbnego Hezychiasza [18], przeczytałem i zacząłem mu objaśniać, że powstrzymywanie się od grzechów ze strachu przed piekielnymi mękami jest daremne i bezowocne, dusza nie wyzwoli się od grzechów popełnianych w myślach inaczej niż chroniąc umysł i zachowując czystość serca. Wszystko to zaś można osiąść dzięki modlitwie wewnętrznej. I jest jeszcze coś, dodałem. Jeśli ktoś ze strachu przed piekielnymi mękami albo nawet z pragnienia królestwa niebieskiego zaczyna spełniać uczynki, które miałyby go zbawić, to święci ojcowie nazywają to dziełem najemnika. Mówią oni, że lęk przed męką jest drogą niewolnika, a pragnienie nagrody w Królestwie - drogą najemnika. A Bóg chce przecież, byśmy szli ku Niemu drogą synostwa, to znaczy, byśmy z miłości i gorliwości ku Niemu żyli godnie i rozkoszowali się zbawczym z Mim zjednoczeniem w duszy i sercu. Ile byś się nie namęczył, choćbyś nie wiem jak utrudził swe ciało i dokonał, jakich chcesz czynów, to jeśli nie będziesz wciąż miał Boga w myślach, a nieustannej Jezusowej modlitwy w sercu, nigdy nie uspokoisz twych myśli, a do grzechu będziesz skłonny zawsze, nawet przy najmniejszej okazji. Bierz się, bracie, za nieustanną modlitwę Jezusową. Przecież na tym odludziu możesz się nią zająć bez przeszkód, na owoce długo nic będziesz czekał. Przesnął nachodzić cię bezbożne myśli. Przyjdzie wiara i miłość do Jezusa Chrystusa, dowiesz się, jak zmartwychwstaną umarli, a Sąd Ostateczny ukaże ci się takim, jakim będzie. Dzięki modlitwie poczujesz się w twym sercu tak lekki i radosny, że zdziwisz się i nie będziesz już się nudzić i zadręczać tym twoim dotychczasowym, mającym ci przynieść zbawienie, sposobem życia.

Potem, jak tylko mogłem, wyjaśniłem mu, jak rozpocząć i prowadzić nieustanną modlitwę Jezusową, jak nakazuje ją Słowo Boże i pouczają święci ojcowie. Wyglądało na to, że się godzi, trochę też się uspokoił. Po tym wszystkim rozstałem się z nim, zamykając się we wskazanej przezeń starej ziemiance.

Mój Boże, jakąż odczułem radość, spokój i zachwyt, przekraczając progi tej pieczary albo jeszcze lepiej - mogiły. Wydała mi się królewskim pałacem, pełnym wszelakich rozkoszy i radości. Ze łzami radości dziękowałem Bogu i myślałem: oto teraz, w takim spokoju i ciszy, trzeba pilnie zająć się swoimi sprawami i błagać Boga o dar rozumu. Tak to zacząłem najpierw czytać Dobrotolubije, po kolei, od początku do końca, z wielką uwagą. W niedługim czasie przeczytałem wszystko i zobaczyłem, jak wielka jest w nim zawarta mądrość, świętość i głębia. Ale ponieważ pisano tam o tak licznych i różnych rzeczach, tak różnorodne były pouczenia świętych ojców, to nie mogłem pojąć i streścić sobie tego wszystkiego, czego chciałbym się dowiedzieć zwłaszcza o modlitwie wewnętrznej, by znaleźć sposób nauczania się nieustannej, samoczynnej modlitwy serca. A pragnąłem tego bardzo, stosownie do nakazu Bożego danego przez Apostoła: "Starajcie się o większe dary" (1 Kor 12,31), a także: "Ducha nie gaście" (1 Tes 5,19). Wciąż zatem myślałem, co mam czynić. Rozumu mi nie starcza, zdolności też, wyjaśniać mi nie ma kto - zacznę naprzykrzać się Panu poprzez modlitwę, a nuż Pan jakoś pouczy. Po czym całą dobę nic nie robiłem, tylko oddawałem się nieustannej modlitwie, nie przerywając jej nawet na chwilę. Moje myśli wyciszyły się i zasnęły.

I oto widzę we śnie, że jestem jakby w celi mojego zmarłego starca, a on wyjaśnia mi Dobrotolubije i mówi - Ta święta księga pełna jest wszelkiej mądrości. To tajemnicza skarbnica rozumienia Bożych wyroków. Nie

wszędzie i nie dla wszystkich jest ona dostępna, ale na miarę każdego, który pragnie zrozumieć, zawiera właściwe pouczenia: dla mądrych - mądre, dla prostych - proste. Dlatego wy - ludzie prości, winicie ją czytać w innej kolejności niż ta, w jakiej ułożone są księgi świętych ojców, bo jest to kolejność teologiczna. Człowiek nieuczony, chcąc nauczyć się z Dobrotolubija modlitwy wewnętrznej, winien je czytać tak: najpierw księgę Nikifora mnicha (w części drugiej), następnie księgę Grzegorza Synaity (całą, bez rozdziałów krótkich), dalej Symeona Nowego Teologa o trzech rodzajach modlitwy i słowo o wierze, a potem księgę Kaliksta i Ignacego. U tych ojców zawarte są wszystkie wskazówki i cała nauka o wewnętrznej modlitwie serca, zrozumiałe dla każdego.

A jeśli szukałbyś pouczenia o modlitwie jeszcze bardziej zrozumiałego, to znajdź w części czwartej krótki opis sposobu modlitwy, dany przez przewielebnego patriarchę Kaliksta Konstantynopolskiego. - Zacząłem szukać wspomnianego pouczenia, jakby trzymając w rękach moje Dobrotolubije, ale nie mogłem odnaleźć. Wtedy starzec sam przerzucił kilka kart i powiedział - Masz tutaj! Zaznaczę ci! - I podniósłszy z ziemi węgielek postawił znak na marginesie, przy odnalezionym rozdziale. Uważnie słuchałem wszystkiego, co mówił starzec i starałem się to zapamiętać jak najmocniej, ze szczegółami.

Zbudziłem się, a ponieważ jeszcze nie świtało, leżałem i powtarzałem w pamięci wszystko to, co ujrzałem we śnie, i to, co mówił mi starzec. Na koniec pomyślałem sobie: tylko Bóg wie, czy widziałem duszę zmarłego starca, czy to moje myśli tak się ułożyły, bo przecież często i dużo rozmyślałem i o Dobrotolubiju, i o starcu. Z takim niedowierzaniem wstałem, zaczynało już świtać. I cóż widzę? Na kamieniu, który służył mi za stół w mej ziemiance, Dobrotolubije otwarte w tym samym miejscu, które pokazał mi starzec, zaznaczone węgielkiem dokładnie tak samo, jak to widziałem we śnie. Ba, nawet sam węgielek leżał przy książce. Zdumiało mnie to, bo pamiętam dobrze, że wieczorem książki tu nie było, leżała zamknięta przy mojej głowie. Wiem też dobrze, że przedtem nie było żadnego znaczka w miejscu, które mi wskazał starzec. Wszystko to utwierdziło mnie w przekonaniu o prawdziwości snu i o tym, że Bogu podobał się mój świętej pamięci starzec. Wziąłem się więc za czytanie Dobrotolubija w kolejności wskazanej mi przez starca. Przeczytałem raz, potem drugi i lektura ta rozpałała w mej duszy zapał i gorliwość, by pełnić to, o czym przeczytałem. Stało się dla mnie jasne i zrozumiałe, co znaczy modlitwa wewnętrzna, jak się ją osiąga i jakie są jej skutki, jak napełnia ona błogością duszę i serce, jak tę słodycz rozpoznać - czy pochodzi ona od Boga, czy to coś naturalnego, czy może jakieś czary.

Zacząłem przede wszystkim od znalezienia owego miejsca serdecznego, według pouczenia Symeona Nowego Teologa. Zamknąwszy oczy oglądałem umysłem, to jest wyobraźnią, moje serce, pragnąc ujrzeć jego położenie po lewej stronie piersi, i uważnie słuchałem jego bicia. Najpierw zajmowałem się tym po pół godziny, kilka razy dziennie. Zrazu niczego nie dostrzegałem oprócz ciemności. Potem szybko ujrzałem serce i jakiś ruch w nim. Potem wraz z oddechem zacząłem wprowadzać do serca i wyprowadzać zeń Jezusową modlitwę. Według pouczenia świętego Grzegorza Synaity oraz Kaliksta i Ignacego czyniłem to tak: nabierałem powietrza i wpatrując się umysłem w serce wyobrażałem je sobie i mówiłem - Panie, Jezu Chryste - a wypuszczając powietrze - zmiłuj się nade mną! Najpierw zajmowałem się tym po godzinie, po dwie, im dalej, tym częściej tak się ćwiczyłem, by wreszcie prawie cały dzień spędzać na tej czynności. Kiedy przychodziła na mnie ociężałość, lenistwo czy wątpliwości zaraz zaczynałem czytać w Dobrotolubiju fragmenty, które pouczają o czynności serca, i znowu pojawiała się chęć i gorliwość do modlitwy.

Po jakichś trzech tygodniach zacząłem w sercu odczuwać ból potem jakieś bardzo przyjemne ciepło, radość i spokój. Pobudzało mnie to i zachęcało do tego, by z coraz większą pilnością ćwiczyć się w modlitwie. Wszystkie moje myśli były teraz tym zajęte i odczuwałem wielką radość. Zacząłem też odtąd mieszać w sercu i w umyśle różne odczucia. Bywało, że coś rozkosznie wrzało w moim sercu, napełniając je taką lekkością, wolnością i pociechą, że cały czułem się odmieniony i wpadałem w zachwycenie. Czasem znów czułem płomienną miłość do Jezusa Chrystusa i do całego Bożego stworzenia. Innym razem znów same płynęły z moich oczu słodkie łzy dziękczynienia Panu, który umiłował mnie, przekłętą grzesznika. Bywało, że moje poprzednie, ograniczone rozumienie tak się poprawiało, że z łatwością pojmowałem i rozważałem to, o czym wcześniej nawet nie mogłem pomyśleć. Czasami owo serdeczne rozkoszne ciepło rozlewało się po całym moim ciele i ze wzruszeniem odczuwałem, że Bóg jest wciąż przy mnie. Innym razem odczuwałem w moim wnętrzu wielką radość płynącą z wzywania imienia Jezusa Chrystusa i doświadczałem, co znaczą Jego słowa: "królestwo Boże w was jest" (Łk 17,21).

Doznając takich i podobnych rozkosznych pociech zauważyłem, że trojaki są skutki modlitwy serca: w duchu, w zmysłach i w oświeceniach. Na przykład w duchu są to: słodycz Bożej miłości, wewnętrzny pokój, zachwycenie umysłu, czystość myśli, rozkoszne trwanie myślą przy Bogu; w zmysłach: przyjemne uczucie tania w sercu, napełnienie słodyczą wszystkich członków, radosne wrzenie w sercu, lekkość i rzeźkość, radość. życia, niewrażliwość na choroby i smutki. Pośród oświeceń wymienię: jasność umysłu, rozumienie Pisma Świętego, pojmowanie mowy stworzenia, zerwanie z próżnością, poznanie słodyczy życia wewnętrznego, przekonanie o bliskości Boga i Jego ku nam miłości.

Po pięciu miesiącach tych samotnych modlitewnych ćwiczeń i wspomnianych słodyczy tak przywykłem do modlitwy serca, że trwałem na niej nieustannie, aż wreszcie poczułem, że modlitwa już sama, bez żadnego z mej strony pobudzania, dokonuje się i dźwięczy w moim umyśle i sercu, nie tylko gdy czuwam, ale i we śnie nic

jej nie przerywa, nawet na najmnijszą chwilkę, cokolwiek bym czynił Dusza moja błogosławiła Pana, a serce rozplywało się w nieustannej radości.

Nadszedł czas wyrębu lasu, zaczęli się schodzić ludzie i przyszło mi zostawić moje ciche schronienie. Podziękowałem leśnikowi, pomodliłem się, ucałowałem ten kawałek ziemi, na którym Bóg tak obdarzył mnie niegodnego swą miłością, zarzuciłem torbę z książkami i powędrowałem dalej. Jakoś długo tułałem się po różnych miejscach, nim dobrnąłem do Irkucka. Moją pociechą i radością w czasie całej tej drogi, podczas wszystkich spotkań była spontaniczna modlitwa serca. Nigdy nie przestawała mnie radować, choć w różnym stopniu, cokolwiek czyniłem, gdziekolwiek się znajdowałem, niczemu nie przeszkadzała, nic jej nie mogło powstrzymać. Przeciwnie, gdy coś robię, a w sercu moim trwa spontaniczna modlitwa, to i wszystko lepiej mi idzie, gdy słucham czegoś uważnie albo czytam, a modlitwa wciąż nie ustaje, w tym samym czasie odczuwam i jedno, i drugie, tak jakbym się rozdziwił albo jakbym w jednym ciele miał dwie dusze. Mój Boże! Jak pełen tajemnic jest człowiek!...

"Jak liczne są dzieła Twoje, Panie! Ty wszystko mądrze uczyniłeś..." (Ps 104,24) Wiele też napotkałem na mej drodze cudownych przypadków i wydarzeń. Chciałbym je wszystkie opowiedzieć - dzień za krótki. Choćby na przykład ten: kiedyś pod wieczór zimą idę sam przez las, nocować w jakiejś wiosce. Już ją widziałem, były do niej jakieś dwie wiorsty. Znienacka napada na mnie, rzuca się, wielki wilk. Miałem akurat w ręku wełniany różaniec [19] starca (zawsze nosiłem go ze sobą). Zamachnąłem się na wilka i cóż się stało? Różaniec wyrwał mi się z ręki, zaczął o szyję wilka, a ten odskoczył ode mnie przez jakiś kolczasty krzak, tylnymi łapami się w nim zaplątał, a różańcem zaczął o sęk suchego drzewa i zaczął się szarpać. Nie miał się jednak jak wyrwać, bo różaniec zacisnął mu się na szyi. Uczyniłem z wiarą znak krzyża i podszedłem, by go uwolnić, a jeszcze bardziej z obawy, że gdy on zerwie różaniec i ucieknie z nim, to przepadnie ten mój drogocenny przedmiot. Ledwie zdążyłem podejść i chwycić różaniec, gdy rzeczywiście wilk zerwał się i przepadł bez śladu.

Podziękowawszy Bogu i wspomniawszy mego błogosławionego starca szczęśliwie dotarłem do wsi, zaszedłem do zajazdu i wyprosiłem nocleg. Wszedłem do izby. W bliższym jej kącie siedziało przy stole dwu ludzi, jakiś staruszek, a drugi, taki grubszy, w średnim wieku; nie wyglądali na ludzi prostych. Obaj popijali herbatę. Zapytałem chłopca pilnującego ich koni: co to za jedni? Odpowiedział, że staruszek jest nauczycielem w szkole ludowej, a ten drugi to pisarz w sądzie ziemskim, obaj szlachetnie urodzeni. Wiozę ich na targ, jakieś dwadzieścia wiorst stąd. Trochę posiedziałem, poprosiłem kobietę o igłę z nitką, podszedłem do świecy i zacząłem zszywać mój porwany różaniec. Pisarz popatrzył i mówi - Pewnieś za gorliwie bił pokłony, skoro różaniec zerwał? - Nie ja go rozerwałem, a wilk - mówię. - Hm, czyżby to wilki się modliły - powiedział, śmiejąc się, pisarz. Opowiedziałem im więc szczegółowo, co się stało, i jak cenny jest dla mnie ten różaniec. Pisarz znowu się zaśmiał i powiada: - Dla was, świętoszków i obłudników, wszędzie same cuda! A cóż tu świętego? Po prostu rzuciłeś tym w wilka, on się przestraszył i uciekł. Przecież i psy, i wilki boją się, gdy w nie rzucasz. A że się zaczął w lesie? Nic trudnego. Mało to rzeczy bywa na tym świecie i zaraz wszystkiemu wierzyć, że to cuda?

Nauczyciel, gdy to usłyszał, powiada - Nie można tego tak, łaskawy panie, osądzać! Nie zna pan przecież naukowej strony zagadnienia... A ja dostrzegam w opowieści tego wieśniaka tajemnicę natury i zmysłowej, i duchowej. Jakże to? - zapytał - pisarz. Niech pan posłucha: choć nie ma pan wyższego wykształcenia, to przecież raczył się pan uczyć krótkiej historii świętej Starego i Nowego Testamentu, z tego szkolnego wydania, w pytaniach i odpowiedziach. Pamiętaj pan, że kiedy pierwszy stworzony człowiek, Adam, był w stanie świętej niewinności, to wtedy wszystkie zwierzęta były mu poddane, podchodziły do niego z lękiem, a on nadawał im imiona. Starzec, do którego należał kiedyś ten różaniec, był człowiekiem świętym, a czymże jest świętość? Niczym innym jak przywróceniem w człowieku grzesznym, poprzez liczne trudy, stanu niewinności pierwszego człowieka. Kiedy uświęca się dusza, to i ciało ulega uświęceniu. A w dłoniach człowieka uświęconego był zawsze ten różaniec. Zatem poprzez dotknięcia tego człowieka, zroszenie jego potem, wszczepiona mu została święta moc, moc stanu niewinności pierwszego człowieka. Oto tajemnica natury duchowej! Zdolność odczuwania tej mocy dziedziczą do dziś wszystkie zwierzęta, wyczuwają ją węchem, bo u zwierząt nos jest najważniejszym narzędziem zmysłów. I tak mamy tajemnicę natury zmysłowej!

Wy, ludzie uczeni - powiedział na to pisarz, podchodząc do szafki - dysponujecie wielkimi mocami, posiadacie mądrość, a my wszystko traktujemy tak, po prostu, zwyczajnie: nalejesz kieliszek wódki, strzelisz sobie jednego, to i siła się znajdzie. To już pana sprawa - powiedział nauczyciel - a wiedzę naukową proszę pozostawić nam. Podobało mi się to, co mówił nauczyciel. Podszedłem do niego i powiedziałem - Pozwolę sobie, ojczulku, opowiedzieć coś jeszcze o moim starcu. I opowiedziałem mu, jak go widziałem we śnie, jak dawał mi wyjaśnienia, jak zaznaczył kartkę Dobrotolubija. Nauczyciel słuchał tego wszystkiego uważnie, a pisarz leżąc na ławie burczał - Prawdę ludzie mówią, że rozum tracą, a jednak Biblię czytają. Tak to jest! Jakież to leśny diabeł ci po nocach książki znaczył? Sam we śnie zrzuciłeś książkę na podłogę i wymazałeś sadzą... To ci dopiero cud! Oj, ci cwaniacy! Wieluśmy z tej braci w życiu widzieli! Pisarz wymamrotał to, odwrócił się do ściany i zasnął.

Słyszając to zwróciłem się do nauczyciela, mówiąc - Jeśli ma pan chęć, to pokażę tę książkę, w której jest rzeczywiście znak, a nie jakieś maźnięcie sadzą. Wyjąłem z torby Dobrotolubije i pokazuję je, mówiąc - Dziwię się tej mądrości, jak mogła dusza, która nie posiada przecież ciała, pisać węgielkiem? Nauczyciel obejrzał znak

i powiedział - Jest to tajemnica duchów. Wyjaśni ci ją, posłuchaj. Duchy, gdy pojawiają się w cielesnej postaci żywemu człowiekowi, tworzą sobie ciało z powietrza i świetlistej materii, a kiedy kończy się czas ich pojawienia, oddają to, co wzięły z żywiołów. A ponieważ powietrze jest sprężyste, ma moc ściskającą i rozprężającą, to dusza, obleczone w nie, może wszystko brać, czynić, pisać. Ale jaką to masz książkę? Dajże mi, popatrz! Otworzył akurat na mowie Symeona Nowego Teologa. - Och, to pewnie dzieło teologiczne. Nigdy go nie widziałem... - Książka ta, ojcuzku, prawie cała zawiera pouczenia o wewnętrznej modlitwie serca polegającej na przyzywaniu imienia Jezusa Chrystusa. Wyjaśnione to jest ze wszystkimi szczegółami przez dwudziestu pięciu świętych ojców. Znam modlitwę wewnętrzną - odpowiedział nauczyciel. Pokłoniłem mu się do nóg i prosiłem, by mi coś o niej powiedział. - Cóż, w Nowym Testamencie jest napisane, że człowiek i wszelkie stworzenie poddane jest marność nie z własnej woli i całe oczywiście wzdycha, dąży, pragnie wejść do wolności dzieci Bożych (Rz 8,20-21). Owo tajemnicze wzdychanie stworzenia i wrodzone dążenie dusz jest właśnie modlitwą wewnętrzną. Nie trzeba się nam jej uczyć, trwa we wszystkich i we wszystkim! Ale - zapytałem - jak ją osiąść, odkryć i poczuć w sercu, uświadomić ją sobie i przyjąć swoją wolą, dojść do tego, by działała w sposób jawny, napełniała słodyczą, oświecała i ratowała? - Nie pamiętam, by pisano gdzieś o tym w teologicznych traktatach - odpowiedział nauczyciel. A tu, tu wszystko jest opisane - wskazałem na książkę. Nauczyciel wziął ołówek, zanotował nazwę Dobrotolubije i powiedział, że na pewno zamówi tę książkę w Tobolsku i przyjrzy się jej lepiej. Tak rozstaliśmy się.

Powędrowałem dalej, dziękując Bogu za rozmowę z nauczycielem i modląc się za pisarza, by Pan sprawił, że choć raz przeczyta on Dobrotolubije i zrozumie je ku swemu zbawieniu.

A kiedyś wiosną znów, gdy przyszedłem do pewnej wioski, zdarzyło mi się zatrzymać u kapłana. Był to człowiek dobry i samotny, spędziłem u niego trzy dni. Przyjrzał mi się przez ten czas i w końcu rzekł - Zostań u mnie, będę ci płacił, potrzebny jest mi człowiek sumienny. Widziałeś, że przy starej, drewnianej cerkwi buduje się nowa, z kamienia. Nie mogę znaleźć pewnego człowieka, który doglądałby robotników i siedział w kaplicy, by zbierać datki na budowę, a widzę, że nadawałbyś się do tego i mógłbyś tu żyć dobrze, wedle twych upodobań. Siedziałbyś sam w kaplicy i modlił się do Boga, jest tam akurat osobna izdebka dla stróża. Zostań, proszę, dopóki cerkwi nie skończą budować. Chociaż długo odmawiałem, to w końcu przymuszony prośbą kapłana musiałem się zgodzić. Tak to zostałem tam na całe lato, aż do jesieni. Zamieszkałem w izdebce przy kaplicy. Najpierw był tu spokój i mogłem bez przeszkód oddawać się modlitwie, choć wielu ludzi przychodziło do kaplicy, zwłaszcza w dni świąteczne. Jedni, żeby się pomodlić, inni - poziewać, a jeszcze inni, by ściągnąć coś z tacy na datki. A ponieważ czasem czytałem czy to Biblię, czy Dobrotolubije, to niektórzy z przychodzących, widząc to, zaczęli ze mną rozmowę, a inni prosili, by im coś przeczytać.

Po pewnym czasie zauważyłem, że jakaś wiejska dziewczyna często zachodzi do kaplicy i długo się modli. Zacząłem przysłuchiwać się jej mamrotaniu i okazało się, że odmawia ona jakieś dziwne, nawet poprzekręcane modlitwy. Zapytałem: któż cię tego nauczył? Odpowiedziała, że matka, prawosławna chrześcijanka, bo ojciec był odszczepieńcem i nie uznawał popów [20]. Wyraziłem żal z tego powodu i poradziłem jej, by odmawiała modlitwy prawidłowo, jak to nakazuje nasz święty Kościół. Dlatego wyjaśniałem jej Ojciec nasz i Raduj się Bogarodzico Dziewico [21], a w końcu powiedziałem - Jak najczęściej i jak najwięcej oddawaj się Jezusowej modlitwie, ona najpewniej dociera do Boga i dzięki niej zbawisz swoją duszę. Dziewczyna posłuchała uważnie mej rady i zaczęła w prostocie postępować według niej. I cóż się stało? Po niezbyt długim czasie wyznała, że przywykła do Jezusowej modlitwy, że czuje nieustanną chęć stałego się nią zajmowania, gdyby to tylko było możliwe; gdy się modli, odczuwa przyjemność, a po skończeniu też czuje radość i chęć, by modlić się dalej. Ucieszyłem się tym i poradziłem jej, by nadal i to jeszcze bardziej zajmowała się modlitwą w imię Jezusa Chrystusa.

Zbliżał się już koniec lata i liczni spośród wstępujących do kaplicy przychodzili do mnie już nie tylko po to, by posłuchać lektury czy rady, ale i z różnymi swymi smutkami, nawet po to, bym pomógł im odnaleźć rzeczy zagubione czy stracone. Pewnie niektórzy uważali mnie za wróża. W końcu i wspomniana już dziewczyna przyszła strapiona po radę, co ma robić. Jej ojciec zamierzał bowiem wydać ją pod przymusem za odszczepieńca, też bezpopowca, a udzielać ślubu miał chłop. Czyż to będzie ważne małżeństwo? - wykrzyknęła - toż to zwykły nierząd! Wolę uciec, gdzie oczy poniosą. Powiedziałem jej Dokądże ty uciekniesz? Przecież cię znajdą. W dzisiejszych czasach nigdzie się nie ukryjesz, wszędzie cię znajdą. Już lepiej proś goręcej Boga, by Jego Opatrzność zniweczyła zamiary twego ojca i uchroniła twoją duszę od grzechu i herezji. Ten sposób będzie pewniejszy niż ucieczka.

Czas mijał i zrobiło się tam nieznośnie od zgiełku i pokus. W końcu lato też minęło i zdecydowałem się na porzucenie kaplicy i wyruszenie, jak kiedyś, w moją drogę. Przyszedłem więc do kapłana i mówię mu - Wiesz, ojciec, czego mi trzeba: ciszy dla oddania się modlitwie, a tu wszystko mnie rozprasza i przynosi mi szkodę. Byłem ci posłuszny, na całe lato zostałem, teraz zwolnij mnie i daj błogosławieństwo na moją samotną wędrówkę. Kapłan nie miał na to ochoty i zaczął mnie namawiać Co ci tu przeszkadza modlić się? Nie masz nic innego do roboty, tylko siedzieć w kaplicy, a chleb przecież dostajesz. Módl się tam proszę bardzo, choćby dzień i noc, żyj sobie, bracie, z Panem Bogiem! Nadajesz się tu i jesteś pożyteczny, głupstw nie gadasz, pieniądze Bożej cerkwi zbierasz i oddajesz uczciwie. Bogu podoba się to bardziej niż ta twoja samotna modlitwa. Co ci po tej samotności, lepiej modlić się z ludźmi. Bóg stworzył człowieka nie po to, by myślał

tylko o sobie, ale żeby jeden pomagał drugiem, by wzajemnie, jak kto może, prowadzili się ku zbawieniu. Popatrzcie na świętych i natchnionych nauczycieli: dzień i noc krzatali się i troszczyli o Kościół, a przecież wciąż jeszcze nauczali, a nie siedzieli w samotności, kryjąc się przed ludźmi.

- Każdemu, ojcze, Bóg daje stosowny dar: wielu było kaznodziejów, ale pustelników było też wielu. Jaką kto znalazł w sobie skłonność, tak i postępował, wierząc, że to sam Bóg wskazał mu w ten sposób drogę zbawienia. A co mi odpowiesz na to, że liczni święci zrzekali się godności arcypasterza, przeora i kapłana, uciekając w miejsca samotne, by nie utracić pośród ludzi pokoju duszy. W ten sposób św. Izaak Syryjczyk uciekł od swych wiernych będąc biskupem, wielobny Atanazy z Atos [22] porzucił wieloosobowy klasztor, a wszystko to dlatego, że miejsca te zbyt narażały ich na pokusy, a prawdziwie wierzyli oni słowom Jezusa Chrystusa: "Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?" (Mt 16,26).

- Ale to byli święci - powiedział kapłan. - Jeśli święci - odpowiedziałem - strzegli się, by nie ponieść szkody obcując z ludźmi, to co pozostaje czynić słabemu grzesznikowi? W końcu pożegnałem się z tym dobrym kapłanem, a on wyprawił mnie w drogę okazując mi wiele miłości.

Przeszedłem jakieś dziesięć wiorst i zatrzymałem się we wsi, by przenocować. Spotkałem tam straszliwie chorego wieśniaka i poradziłem jego bliskim, by przystąpił do świętych tajemnic [23] Chrystusa. Zgodzili się i rankiem posłali po kapłana do wsi, gdzie była cerkiew tej parafii. Chciałem pozostać, pokłonić się świętym darom i modlić się przy tej tak wielkiej tajemnicy. Wyszedłem na ulicę, siadłem na przyzbie i czekam, by powitać kapłana. Wtem z tyłu zabudowań wybiega ku mnie nieoczekiwanie dziewczyna, która przychodziła modlić się do kaplicy. - Skądżeś się tu wzięła? - zapytałem.

- Wyznaczyli już zaręczyny, by wydać mnie za tego odszczepieńca, i uciekłam. - Pokłoniła mi się do nóg i zaczęła prosić: - Okaż mi łaskę, zabierz mnie ze sobą, zaprowadź do jakiegokolwiek żeńskiego klasztoru. Za mąż iść nie chcę, będę żyć w klasztorze i oddam się Jezusowej modlitwie. Ciebie posłuchają i przyjmą mnie.

- Ulituj się - powiedziałem. - Dokąd cię zaprowadzę Nie słyszałem tu o żadnym żeńskim klasztorze, w dodatku nie masz papierów, jak z tobą pójdę? Po pierwsze nigdzie cię nie przyjmą, po drugie schować się w dzisiejszych czasach też ci się nie uda, zaraz cię złapią, odeślą etapem na swoje miejsce, a jeszcze nałożą karę za włóczęgostwo. Wracaj lepiej do domu i módl się do Boga, a jak nie chcesz wychodzić za mąż, to udawaj, żeś na coś chora. Nazywa się to święte udawanie. Tak właśnie postąpiła święta matka Klemensa, a także wielbna Marina, ratująca się w męskim klasztorze, i tyle innych.

Gdyśmy tak siedzieli i rozważali, nagle ujrzelśmy, że czterech chłopów pędzi wozem zaprzęgniętym w parę koni, i to wprost na nas. Dziewczynę chwycili, wsadzili na wóz i jeden z nich odjechał. Trzech pozostałych związało mi ręce i popędziło znów do wsi, w której spędziłem lato. Na wszystkie moje usprawiedliwienia wykrzykiwali tylko - Już my cię, świętoszku, nauczymy, jak się dziewczyny uwodzi! Pod wieczór przyprowadzili mnie do urzędu, nogi zakuli w żelazo i zamknęli do rana w areszcie, bym czekał aż się zbierze sąd. Dowiedział się o tym kapłan i przyszedł mnie odwiedzić. Przyniósł coś na kolację, pocieszał mnie i mówił, że się za mną ujmie i jako ojciec duchowny powie, że nie jestem taki, za jakiego mnie uważają. Posiedział ze mną i poszedł.

Późnym wieczorem przejeżdżał przez wieś naczelnik powiatowej policji, zatrzymał się u starosty i tam opowiedzieli mu o tym, co się wydarzyło. Kazał zaraz zwołać posiedzenie, a mnie przyprowadzić do izby sądowej. Zaprowadzili mnie, stoimy, czekamy. No, przyszedł i naczelnik, był już pod dobrą datą, zasiadł w czapce za stołem i woła - Hej, Epifanie! Ta dziewczyna, twoja córka, nic ci przecież z zagrody nie ściągnęła! - Nie, ojczulku! A z tym bałwanem nie przyłapali ich na jakichś sprawkach? - Nie, ojczulku! - Dobrze, zatem sprawę rozsądzimy i postanowimy tak: z córką rozpraw się sam, a temu zuchowi damy jutro nauczki i przepędzimy go, surowo nakazując, by się tu więcej nie pokazywał. No, skończyłem! Powiedziawszy to naczelnik powlókł się od stołu i ruszył ku miejscu, gdzie spał, a mnie znowu wsadzili do aresztu. Wczesnym rankiem przyszło dwóch - setnik i dziesiętnik, wysiekli mnie różgami i puścili wolno. Poszedłem dalej, dziękując Bogu za to, że wyróżnił mnie dając cierpieć dla Jego imienia. Było to dla mnie pocieszeniem i jeszcze bardziej nakłaniało ku nieustannej modlitwie serca.

Wszystkie te wydarzenia wcale mnie nie zasmuciły, tak jakby zdarzyło się to komu innemu, a ja byłbym tylko widzem. Nawet gdy mnie chłostali, starczało sił, by to znosić - modlitwa napełniająca słodyczą serce na nic mi nie pozwalała zwracać uwagi.

Gdy przeszedłem cztery wiorsty, spotkałem matkę dziewczyny; wracała z targu z zakupami. Zobaczywszy mnie powiedziała - Nasz kawaler rozmyślił się. Rozgniewał się, patrzcie go, na Akulinę za to, że mu uciekła. Dała mi potem matka dziewczyny chleb i pieroga i powędrowałem dalej.

Dzień był ciepły i suchy, nie chciało mi się nocować w byle jakiej wiosce i gdy wieczorem dostrzegłem w lesie dwa ogrodzone stogi siana, rozłożyłem się w jednym z nich na nocleg. Zasnąłem i we śnie widzę, jakbym szedł drogą i czytał z Dobrotolubija rozdziały Antoniego Wielkiego [24]. Nagle dogania mnie mój starzec i mówi - Czytasz nie to, co trzeba. Masz, czytaj tu, wskazał mi trzydziesty piąty rozdział Jana z Karpatos [25], gdzie było napisane: Czasem ten, kto poucza, wystawia się na pohańbienie i cierpi pokusy za tych, którzy odnieśli dzięki niemu duchową korzyść. I wskazał mi jeszcze rozdział czterdziesty pierwszy tegoż autora, gdzie jest powiedziane: Ci, którzy gorliwie oddają się modlitwie, są otoczeni straszliwymi i okrutnymi pokusami. Potem zaczął mówić - Bądź mężny- duchem i nie trap się! Pamiętaj, co powiedział Apostoł: "Większy jest Ten, który

w was jest od tego, który jest w świecie" (1 J 4,4). Sam doświadczyłeś, że żadna pokusa nie jest dopuszczona powyżej sił człowieka, a wraz z pokusą wskazuje Bóg i szybkie wyjście (1 Kor 10,13). Ufność w tę Bożą pomoc podtrzymywała i nakłaniała ku gorliwości i wytrwałości świętych mężów modlitwy, którzy nie tylko sami całe swe życie spędzili na nieustannej modlitwie, ale pełni miłości pouczali o niej i otwierali do niej dostęp innym, gdy tylko pozwalał na to czas i sytuacja. Św. Grzegorz z Tesalonik [26] tak o tym mówi: Nie tylko my sami znaleźliśmy upodobanie, stosownie do Bożego nakazu, w nieustannej modlitwie w imię Chrystusa, ale do nas należy uczyć jej i ukazywać ją innym, wszystkim w ogólności mnichom, ludziom świata, mądrym, niewykształconym, mężom, żonom i dzieciom, i budzić w nich wszystkich zapał ku nieustannej modlitwie. Podobnie mówi wielbny Kalikst Telikudas [27]: Ani myśli trwających przy Bogu (to znaczy wewnętrznej modlitwy), ani życia kontemplacyjnego i sposobów wznoszenia duszy ku górze, nie wolno zatrzymywać tylko w swym umyśle, ale należy je zapisywać, przepisywać, wyjaśniać, ku pożytkowi wszystkich, by wzrastała wzajemna miłość. Mówi o tym także Słowo Boże, że brat wspomagany przez brata jest jak miasto warowne (Prz 18,19).

Ze wszech miar należy jednak unikać próżności i wystrzegać się, by Boże pouczenia nie były rzucone na wiatr. Po przebudzeniu poczułem wielką radość w sercu i pokrzepienie na duszy i wyruszyłem w dalszą drogę.

Po długim czasie przydarzył mi się jeszcze pewien przypadek. Niech będzie, opowiem i to. Pewnego razu, mianowicie dwudziestego czwartego marca, poczułem nieprzepartą chęć, by nazajutrz, w dzień poświęcony Przeczystej Bożej Matce, gdy wspominamy Boże Zwiastowanie, przystąpić do świętych Chrystusowych sakramentów. Zapytałem o cerkiew. Mówią: trzydzieści wiorst, więc resztę dnia i całą noc szedłem, by zdążyć na jutrznię. Pogoda była jak najgorsza: to śnieg, to deszcz, a do tego silny wiatr i zimno. Po drodze wypadło przebyć nieduży strumień, ale gdy wyszedłem na jego środek, lód mi się załamał pod nogami i wpadłem po pas w wodę. Przemoknięty dotarłem na jutrznię. Tak przetrwałem i jutrznię, i mszę, na której Bóg pozwolił mi przystąpić do świętej Komunii.

Chciałem dzień ten spędzić w spokoju, by nic nie mąciło radości ducha, i uprosiłem stróża cerkiewnego, a ten pozwolił mi zostać do rana w swoim pomieszczeniu. Cały dzień upłynął mi pośród niewypowiedzianej radości i słodczy w sercu. Leżałem na drewnianej pryczy w tej nie opalanej izdebce jakby wypoczywając na Abrahamowym łonie: silnie działała we mnie modlitwa. Miłość do Jezusa Chrystusa i Matki Bożej przelewała się w sercu słodkimi falami i jakby zanurzała moją duszę w pełen pociechy zachwyty. Nadchodziła noc, gdy w nogach poczułem silne łamanie i przypomniałem sobie, że je przemoczyłem. Zlekceważywszy to, zacząłem jeszcze gorliwiej skupiać się na modlitwie serca i przestałem odczuwać ból. Rankiem chciałem wstać, ale widzę, że nogami nawet poruszyć nie mogę, wcale ich nie czułem i słabe były jak z waty. Stróż przemocą ściągnął mnie z pryczy i siedziałem tak w bezruchu dwa dni. Trzeciego dnia zaczął wypędzać mnie ze swej izdebki, mówiąc - Jak mi tu umrzesz, to dopiero będzie kłopot. Ledwie, ledwie wypełzłem, pomagając sobie rękami, i zwałem się u wejścia do cerkwi.

Przeleżałem tak dwa dni. Przechodzący obok mnie ludzie nie zwracali uwagi ani na mnie, ani na moje prośby. W końcu podszedł do mnie jakiś chłop, usiadł i zaczął rozmawiać. A między innymi powiedział - Dasz co, to cię wyleczę. Mnie też się coś takiego trafiło, znam na to lekarstwo. - Dać to ci nic nie mogę - odpowiedziałem. - A w torbie co masz? Same suchary i książki. - To może chociaż popracujesz przez lato, jak cię wyleczę? - Pracować też nie mogę, widzisz, że władam jedną tylko ręką, druga prawie całkiem uschła. - To co w końcu umiesz robić? - Nic, tylko czytać i pisać. Aha, pisać umiesz! Dobrze, nauczysz pisać chłopaka, mojego syna. Czytać to on trochę umie, ale chciałbym, żeby i pisał. Nauczyciele chcą jednak za naukę drogo, dwadzieścia rubli. Zgodziłem się i obaj ze stróżem przenieśli mnie do starej, pustej łaźni na tylnym podwórzu.

Zaczął mnie leczyć. Nabierał po polach, po podwórkach, dołach na odpadki ze ćwierć korca takich na pół rozpadających się kości, jakie trafił - ptasich, bydłych, różnych. Wypłukał je, potłukł na drobno kamieniem i nasypał do wielkiego dzbana. Przykrył go potem dziurawą pokrywką, przewrócił do góry dnem i postawił tak na wkopany w ziemię pusty garnek. Cały dzban oblepił grubo gliną, obłożył drewnem, podpalił i grzał tak ponad dobę. Dokładając dREW mówił - No i będzie z kości dziegieć. Następnego dnia odkopał garnek, do którego nakapało przez dziurę w pokrywce z pół kwarty gęstej, oleistej, czerwonej cieczy o silnym zapachu świeżego, surowego mięsa. Kości w dzbanie z czarnych i spróchniałych zrobiły się takie białe, czyste, przezroczyste jak perłowa masa albo i same perły. Nacierał tą cieczą moje nogi z pięć razy dziennie. I co się stało? Już następnego dnia poczułem, że mogę poruszać palcami, na trzeci - zginałem już nogi, a piątego dnia wstałem i przespacerowałem się z kijkiem po podwórzu. Jednym słowem po tygodniu nogi moje były silne jak dawniej. Błogosławiłem za to Boga i myślałem sobie: jakąż wielką mądrość Bożą widać w stworzeniu! Suche, spróchniałe, należące już do ziemi kości jaką jeszcze zachowują w sobie życiową siłę, jaką barwę, zapach i zdolność działania na to, co jeszcze żywe - przywracania życia temu, co umarłe. To jakby poręka przyszłego wskrzeszenia ciała. Dobrze byłoby to pokazać leśnikowi, u którego mieszkałem i który tak wątpił w powszechne zmartwychwstanie ciała!

Powróciwszy w ten sposób do zdrowia zacząłem uczyć chłopaka i jako wzór pisma dałem mu Jezusową modlitwę. Kazałem mu ją przepisywać, pokazując, jak ładnie pisać. Nie męczyło mnie to zajęcie, bo w ciągu dnia chłopiec służył u zarządcy, a do mnie przychodził tylko wtedy, gdy ten spał, to jest od świtu do późnej mszy. Chłopiec był pojętny i wkrótce przyzwyczajony zaczął coś pisać. Zarządca zobaczył to i zapytał Któż to cię

uczy? - i w odpowiedzi usłyszał, że bezręki pielgrzym w starej łaźni. Zaciekawiony zarządca, Polak, przyszedł mnie zobaczyć i zastał mnie przy lekturze Dobrotolubija. Porozmawiał ze mną i pyta - Cóż to czytasz? Pokazałem mu książkę. - Ach, to Dobrotolubije - powiedział. - Widziałem to u naszego księdza, gdy mieszkałem w Wilnie, ale nasłuchałem się, że zawiera ona jakieś dziwne sztuki czy sztuczki stosowane przy modlitwie, opisane przez greckich mnichów, podobne do tych z Indii czy Buchar, gdzie fanatycy siedzą i nadymają się, chcąc wywołać łaskotanie w sercu, a z głupoty uważają te naturalne odczucia za modlitwę, rzekomo zsyłaną im przez Boga. Modlić się trzeba zwyczajnie, by wypełnić nasz obowiązek względem Boga: wstajesz rano, odmawiasz Ojciec nasz, jak nas nauczył Chrystus, i cały dzień jesteś w porządku, a nie bez przerwy powtarzasz w kółko jedno i to samo. W ten sposób, to kto wie, możesz i zmysły postradać, i sercu zaszkodzić.

- Nie myśl tak, dobrodzieju, o tej świętej księdze. Napisali ją nie prości greccy mnisi, a ludzie starodawni, wielcy i święci, których także wasz Kościół otacza czcią: Antoni Wielki, Makary Wielki [28], Marek Asceta [29] Jan Złotousty i inni. To od nich mnisi Indii i Buchar przejęli ten sposób wewnętrznej modlitwy serca, ale tylko go popsuli i wypaczyli, opowiadał mi o tym mój starzec. A w Dobrotolubiju wszystkie pouczenia dotyczące modlitwy serca wzięte są z Bożego Słowa, ze świętej Biblii, w której ten sam Jezus, który polecił odmawiać Ojciec nasz, nakazał także nieustanną modlitwę serca, mówiąc: "Będiesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem [...] i całym swoim umysłem" (Mt 22,37); uważajcie, czuwajcie i módlcie się (Mk 13,33); trwajcie we Mnie, a Ja w was (J 15,4). A święci ojcowie przytaczając z Psałterza świadectwo króla Dawida: "Skosztujcie i zobaczcie, jak dobry jest Pan" (Ps 34,9), wyjaśniają, że chrześcijanin wszelkimi sposobami winien starać się odkryć słodycz modlitwy, pociechy szukać w modlitwie nieustannie, a nie tylko zwyczajnie, raz dziennie, odmówić Ojciec nasz. Przeczytam panu zaraz, co ci święci mężowie sądzą o tych, którzy nie dbają o osiągnięcie i nauczenie się tej niosącej słodycz modlitwy serca. Piszą oni, że ludzie tacy grzeszą potrójnie: sprzeciwiają się Pismom natchnionym przez Boga; nie uwzględniają, że istnieje wyższy i doskonalszy stan duszy, zadowolają się tylko zewnętrznymi dobrymi czynami i nie mogą pragnąć i pożądać prawdy, pozbawiając się w ten sposób błogości i radości Pańskiej; wreszcie po trzecie: oddają się marzeniom, wspominając swoje zewnętrzne dobre uczynki, nierzadko wpadają w zachwyty albo w pychę, i tak idą na zatracenie.

- Czytasz jakieś wzniosłe rzeczy - powiedział zarządca - gdzie nam, ludziom ze świata, o to zabiegać! - Najprościej będzie, gdy przeczytam panu o tym, jak w codziennym ziemskim życiu dobrzy ludzie uczyli się nieustannej modlitwy. Odszukałem w Dobrotolubiju to, co powiedział Symeon Nowy Teolog o młodzieńcu Jerzym, i zacząłem czytać. Spodobało się to zarządcy i powiedział do mnie: - Pożycz mi tę książkę, przeczytam ją sobie w wolnym czasie, poprzeglądam. - Proszę, na jedną dobę mogę dać, na dłużej nie, bo czytam każdego dnia, bez tego żyć nie mogę. - To przynajmniej przepis mi to, co przeczytałeś teraz, zapłacę ci. - Zapłata nie jest mi potrzebna, przepiszę z miłością, byle tylko Bóg dał Panu gorliwość w modlitwie. Zadowolony, natychmiast przepisałem przeczytane przeze mnie słowa. On przeczytał je swojej żonie i obojgu się to spodobało. Zaczęli mnie czasem zapraszać. Chadzałem do nich z Dobrotolubijem, czytałem je, a oni słuchali, pijąc herbatę. Kiedyś zatrzymali mnie na obiad. Żona zarządcy, miła staruszka, siedziała z nami jedząc smażoną rybę i z nieuwagi udławiła się ością. Chcieliśmy jej pomóc, nie udawało się, czuła silny ból gardła i po dwóch godzinach położyła się do łóżka. Posłali po lekarza, mieszkał stamtąd o trzydzieści wiorst, a ja, okazawszy im współczucie, poszedłem, już wieczorem, do domu.

Pośród lekkiego snu usłyszałem nocą głos mojego starca, ale nikogo nie widziałem. Głos mówił do mnie - Ciebie to twój gospodarz wyleczył, a ty co? Nie pomożesz żonie zarządcy? Bóg nakazał współczuć bliźniemu. - Pomógłbym z radością, ale jak? Nie znam na to żadnego środka. - Oto, co zrobisz: od dziecka nie znosi ona oliwy z oliwek, tej w najgorszym gatunku, nawet sam jej zapach powoduje u niej mdłości, dlatego daj jej tego łyżkę, wypije, zwymiotuje, ość się wyrwie, oliwa nasmaruje w gardle tę ranę, co ją ość zrobiła, i kobieta będzie zdrowa. - Jakże jej dam tej oliwy, gdy czuje do niej wstręt, przecież nie wypije? - Każ mężowi, by trzymał ją za głowę, i szybko, choćby na siłę, wlej jej w usta. Ocknąłem się, natychmiast poszedłem do zarządcy, wszystko mu opowiedziałem, a on powiada - Co tu teraz po twojej oliwie, gdy żona już tylko rzezi i bredzi, a szyja cała spuchnięta. Zresztą, niech będzie, spróbujemy: oliwa to lek taki, że ani nie zaszkodzi, ani nie pomoże. Nalał kieliszek oliwy i jakoś daliśmy jej to wypić. Natychmiast zaczęła silnie wymiotować, ość wyrwała się zaraz z krwią, żonie zarządcy ulżyło i mocno zasnęła.

Rankiem przyszedłem ich odwiedzić, patrzę - siedzą, spokojniutko piją herbatę i oboje dziwią się temu uzdrowieniu, a jeszcze bardziej temu, jak to usłyszałem we śnie, że ona nie znosi takiej oliwy, bo o tym nie wiedział nikt oprócz nich obojga. Wreszcie przyjechał także lekarz, żona zarządcy opowiedziała, co się jej przydarzyło, a ja o tym, jak chłop wyleczył mi nogi. Lekarz posłuchał i mówi - Ani jeden, ani drugi przypadek mnie nie dziwi, w obu działała sama siła natury, ale zapiszę je ku pamięci. Wyjął ołówek i zrobił notatkę w notesie.

Po tych wydarzeniach szybko rozeszły się po okolicy słuchy, że jestem jasnowidzem i lekarzem, i znachorem. Ze wszystkich stron bez przerwy zaczęli do mnie przychodzić ludzie z różnymi sprawami i przypadkami, przynosili mi podarki, zaczęli mnie poważać i dogadzać mi. Patrzyłem na to przez tydzień, przestraszyłem się, że wpadnę w pychę i wskutek rozproszenia jeszcze poniosę szkodę, i potajemnie, nocą, uciekłem stamtąd.

raz ruszyłem w swą samotną drogę i poczułem taką lekkość, jakby mi górę z pleców zdjęli. Modlitwa coraz większą dawała mi pociechę, tak że czasem moje serce aż wrzało ku Jezusowi Chrystusowi miłością bez miary i od tego słodkiego wrzenia po całym moim ciele rozchodziły się jakieś strumienie słodyczy. W mym umyśle tak wryła się pamięć o Jezusie Chrystusie, że rozmyślając o wydarzeniach Ewangelii, miałem je jakby przed oczami, wzruszałem się i płakałem z radości, czasem znów czułem w sercu taką radość, że nie potrafię tego opowiedzieć. Zdarzało się, że czasem i po trzy dni nie zachodziłem do żadnej ludzkiej osady, w uniesieniu wydawało mi się, że jestem sam tylko na świecie - jeden przeklęty grzesznik przed obliczem miłosiernego i miłującego Boga. Cieszyła mnie ta samotność, bo w niej słodycz modlitwy odczuwałem silniej niż będąc pośród ludzi.

W końcu doszedłem do Irkucka. Pokłoniłem się świętym relikwiom arcybiskupa Innocentego i zacząłem rozmyślać, dokąd iść dalej, bo nie miałem chęci przebywać tu długo - miasto było bardzo ludne. W zadumie szedłem ulicą i oto spotkał mnie jakiś tutejszy kupiec, zatrzymał mnie i pyta - Jesteś pielgrzymem? Może byś do mnie zaszedł? Przystaliśmy do jego bogatego domu. Zapytał mnie, kim jestem, i opowiedziałem mu swoje losy. Wysłuchał tego i powiada - Powędrowałbyś do starej Jerozolimy. Tam jest świątynia, co nie ma sobie równej! - Poszedłbym z radością - odpowiedziałem - ale łądem nie ma jak - dojdę tylko do morza, a morze przepłynąć? Czym zapłacę, dużo trzeba na to pieniędzy. - Masz chęć - powiedział kupiec - to dam ci na to sposób. Oto w zeszłym roku wyprawilem już tam pewnego staruszka, tutejszego mieszczanina. Upałem mu do nóg, a on powiedział - Posłuchaj, dam ci list do Odessy, do mego rodzzonego syna. Mieszka tam i prowadzi handel z Konstantynopolem. Ma statki i chętnie dowiezie cię do Konstantynopola, a tam poleci swym pracownikom, by znaleźli ci miejsce na statku płynącym do Jerozolimy, i podróż opłaci. Przecież to nie kosztuje tak drogo. Posłyszawszy to ucieszyłem się, gorąco podziękowałem memu dobroczyńcy za jego łaskę, a przede wszystkim błogosławiłem Boga za to, że okazuje ~ swoją ojcowską miłość i troszczy się o mnie, przeklętego grzesznika, co żadnego dobra nie czyni ani sobie, ani innym, a darmo, nic nie robiąc, zjada cudzy chleb. Trzy dni gościłem u mego dobrodzieja kupca. Tak jak mi obiecał, napisał o mnie list do swego syna i oto teraz idę do Odessy z zamiarem dotarcia do świętego grodu Jerozolimy, ale nie wiem, czy Bóg pozwoli pokłonić się Jego życiodajnemu grobowi.

Opowieść trzecia



Tuż przed opuszczeniem Irkucka zaszedłem jeszcze do ojca duchownego, z którym tyle rozmawiałem. Powiedziałem - Na dobre ruszam w drogę do Jerozolimy. Przystąpiłem się pożegnać i podziękować za tę chrześcijańską miłość do mnie, niegodnego pielgrzyma. Odpowiedział - Niech Bóg błogosławi twą drogę, ale właściwie dlaczego nic mi nie opowiedziałeś o sobie, kim jesteś i skąd pochodzisz? Wiele nasłuchiwałem się o twoich wędrówkach, ale byłoby czymś ciekawym dowiedzieć się o twym pochodzeniu i życiu poprzedzającym twoje pielgrzymowanie. - Dobrze - powiedziałem - chętnie opowiem i o tym. Nie będzie to historia długa.

Urodziłem się na wsi, w guberni orłowskiej. Po śmierci ojca i matki zostało nas dwóch: ja i mój starszy brat. On miał lat dziesięć, a ja dwa, trzeci szedł. Wziął nas do siebie na utrzymanie dziadek, staruszek zamożny i szlachetny, miał zajazd przy wielkim szlaku i wielu przyjezdnych zatrzymywało się u niego z powodu jego dobroci. Zamieszkaliśmy więc u niego. Mój brat był usposobienia żywego i wciąż biegał po wsi, a ja więcej kręciłem się koło dziadka. W święta chodziliśmy z nim do cerkwi, a w domu często czytywał Biblię, tę samą, którą mam ze sobą. Brat mój wyrósł, ale zepsuł się - nauczył się pić. Miałem już siedem lat i kiedyś leżeliśmy z bratem na piecu. Zrzucił mnie wtedy i coś mi się zrobiło w lewą rękę. Nie władam nią od tamtego czasu do dziś - uschła cała.

Dziadek widząc, że nie będę się nadawał do wiejskiej pracy, zaczął uczyć mnie czytania i pisania, a że nie miał elementarza, to uczył mnie na tej Biblii, o tak: pokazywał litery, kazał składać je w słowa, ale i zapamiętywać. Tym sposobem, sam nie wiem kiedy, powtarzając za nim, z biegiem czasu nauczyłem się czytać. W końcu dziadek zaczął gorzej widzieć i często kazał mi czytać Biblię, a sam słuchał i poprawiał. Nierzadko bywał u nas pisarz ziemski, który pismo miał przepiękne. Przyglądałem się więc, gdy pisał, bo mi się to bardzo podobało, i sam, patrząc na mego, zacząłem kaligrafować słowa, on mi je pokazywał, dawał papier i atrament, przygotowywał pióra.

I tak nauczyłem się pisać. Dziadek cieszył się tym i tak mnie pouczał - Dzięki Bożej pomocy umiesz już czytać i pisać, i wyrośniesz na ludzi. Dlatego błogosław Pana za to i módl się często. Chodziliśmy więc do cerkwi na wszystkie nabożeństwa, a i w domu modliliśmy się często. Mnie kazali odmawiać "Zmiłuj się nade mną, Boże" (Ps 51), a dziadek z babcią bili pokłony albo klęczeli. Miałem już siedemnaście lat, gdy babcia umarła. Dziadek mówi do mnie - Gospodyni w domu nie ma, jakże tak bez kobiety? Twój starszy brat zmarnował sobie życie, ciebie chcę ożenić. Wymawiałem się swoim kalectwem, ale dziadek się upierał i ożenili mnie. Znaleźli mi dziewczynę poważniejszą, miała dwadzieścia lat, i dobrą. Po roku dziadek śmiertelnie zachorował. Przywołał mnie, zaczął się żegnać i mówi - Oto twoje są dom i cały spadek. Żyj w zgodzie z sumieniem, nikogo nie oszukuj, a najwięcej to módl się do Boga, bo od Niego wszystko mamy. W niczym nie pokładaj nadziei, tylko w Nim. Do cerkwi chodź, Biblię czytaj, za dusze nasze się módl. Masz tu tysiąc rubli, pilnuj ich, nie trać na darmo, ale też nie bądź skąpy - ubogim i cerkwiom Bożym dawaj jałmużnę.

Tak to umarł i pochowałem go. Brat zadrósł, że zajazd i majątek dziadek zostawił tylko mnie, i zaczął się złościć, a wróg ludzi, diabeł, tak mu pomagał, że nawet chciał mnie zabić. W końcu, oto co uczynił nocą, gdy spaliśmy, a w zajazdzie nikogo nie było: włamał się do spiżarni, gdzie schowałem pieniądze, wyciągnął je z kufra i wzniecił pożar. Postyszeliśmy coś dopiero wtedy, gdy cały dom i zajazd stały w płomieniach, i ledwie wyskoczyliśmy przez okienko, w tym tylko, w czym spaliśmy. Biblię mieliśmy u wezłowania i zdążyliśmy ją pochwycić. Patrzyliśmy na płonący dom i mówiliśmy do siebie - Dzięki niech będą Bogu! Ocalała przynajmniej Biblia, będzie czym się w smutku pocieszyć. Całe nasze mienie spłonęło, a brat mój zniknął bez wieści. Dopiero później, gdy zaczął pić i przechwalać się, dowiedzieliśmy się, że to on zabrał pieniądze i podpalił zajazd.

Zostaliśmy nadzy i bosi, prawdziwie ubodzy. Jakoś zapożyczyliśmy się, zbudowaliśmy chałupkę i zaczęliśmy żyć jak biedacy. Moja żona była mistrzynią, gdy chodzi o rękodzieło: umiała tkać, prząść, szyć, brała od ludzi różne prace, truduła się dzień i noc, utrzymywała nas oboje. Z powodu bezwładu ręki nie mogłem nawet wyplatać łąpci. Bywało, że tka albo przędzie, ja siedzę przy niej, czytam Biblię, a ona słucha i popłakuje. Kiedy pytam ją - Czemuż to płaczesz? Przecież żyjemy, dziękować Bogu - to mi odpowiada - Wzrusza mnie, jak to w Biblii dobrze jest wszystko napisane. Pamiętaliśmy także o dziadkowym poleceniu - pościliśmy często, każdego ranka odmawialiśmy akatyst [30] ku czci Bogarodzicy, a wieczorem, by nie ulec pokusie, oddawaliśmy po tysiąc pokłonów, i tak żyliśmy sobie spokojnie dwa lata. Było jednak coś dziwnego, bo choć o modlitwie wewnętrznej biegnącej w sercu nie mieliśmy pojęcia i nigdy o niej nie słyszeliśmy, a modliliśmy się zwyczajnie, językiem, bezmyślnie biliśmy te nasze pokłony, kiwaliśmy się jak bałwany, to jednak lubiliśmy się modlić i nawet długa, zewnętrzna, niezrozumiała modlitwa nie wydawała się trudna, ale odmawialiśmy ją zadowoleni. Widać prawdę powiedział mi pewien nauczyciel, że we wnętrzu człowieka bywa tajemna modlitwa, o której nawet on sam nie wie, jak to biegnie ona w duszy w sposób niepojęty i pobudza do modlitwy takiej, jaką kto zna i umie.

Po dwóch latach takiego życia żona moja dostała nagle silnej gorączki, przyjęła świętą Komunię i dziewiątego dnia zmarła. Zostałem sam jeden, pracować nie mogłem, przyszło mi chodzić po ludziach, a wstyd mi było prosić o jałmużnę. W dodatku taki mnie jeszcze naszedł smutek po śmierci żony, że nie wiedziałem już, gdzie się mam podziać. Zdarzało się, że wejść do swej chatki, zobaczę jej ubranie, albo jakąś chustkę i jak nie zapłaczę, bywało, że padałem bez zmysłów. Nie mogłem dalej znosić mego smutku żyjąc tam nadal. Dlatego sprzedałem moją chatę za dwadzieścia rubli, a ubrania, moje i żony, rozdałem ubogim. Z powodu mego kalectwa dali mi papiery zwalniające mnie na zawsze, a ja natychmiast wziąłem swoją umiłowaną Biblię i poszedłem, gdzie oczy poniosą. Wyruszając pomyślałem: Dokądże teraz pójdę? Najpierw, już wiem, do Kijowa, pokłonić się świętym relikwiom i prosić o pomoc w moim smutku. Zaraz mi się lżej zrobiło, jak to postanowiłem, i doszedłem do Kijowa z radością. Od tamtej pory, już trzynaście lat, bezustannie pielgrzymuję po różnych miejscach, wiele obszedłem cerkwi i monasterów, a teraz to już więcej tułam się po stepie i polach. Nie wiem, czy pozwoli mi Pan dojść do świętej Jerozolimy. Czas już by, tam, jeśli taka będzie wola Boża, pochować moje grzeszne kości.

- A ile masz lat? - Trzydzieści trzy. - Toż to wiek Chrystusa!

Opowieść czwarta



Mnie zaś dobrze jest być blisko Boga, w Panu wybrałem sobie schronienie. Ps 73[72],28

- Ma rację rosyjskie przysłowie: "Człowiek planuje, a Pan Bóg dysponuje" - powiedziałem, wróciwszy do mojego ojca duchowego. - Pomyślałem sobie, że dziś będę już na dobre w drodze do świętego grobu Jeruzalem, a okazało się inaczej: zupełnie nieprzewidywany przypadek zmusił mnie do pozostania tu, i to jeszcze na trzy dni. Nie mogłem się powstrzymać, by nie przyjść do Ciebie, opowiedzieć o wszystkim i zasięgnąć rady co do mojej decyzji w przypadku, który tak nieoczekiwanie napotkałem. Pożegnawszy się ze wszystkimi ruszyłem z Bożą pomocą w swoją drogę i właśnie miałem już minąć roгатkę, gdy zobaczyłem, że u bramy ostatniego domu stoi znajomy mi człowiek, który kiedyś pielgrzymował tak jak ja i którego nie widziałem jakiegoś trzy lata. Pozdrowiliśmy się i zapytał mnie, dokąd idę. Odpowiedziałem - Chciałbym, jeśli to spodoba się Bogu, iść do starej Jerozolimy. - Dzięki Bogu! - podchwycił - oto mam tu dla ciebie dobrego towarzysza podróży. - Bóg niech będzie z tobą i z nim - powiedziałem - czyż nie wiesz, że zgodnie ze swoim zwyczajem nigdy nie chodzę z innymi i przyzwyczaiłem się zawsze wędrować samotnie? - Ależ posłuchaj: Wiem, że ten towarzysz podróży spodoba ci się. I jemu z tobą, i tobie z nim będzie dobrze. Popatrz sam: ojciec właściciela domu, w którym wynajęłem się do pracy, idzie, stosownie do uczynionego ślubu, także do starego Jeruzalem i będzie ci z nim miło. To tutejszy mieszczanin, staruszek dobry i w dodatku całkiem głuchy, tak że choćbyś nie wiem jak krzyczał, nic nie usłyszysz. Chcesz go o coś zapytać - pisz na kartce, wtedy odpowie. Dlatego nie dokuczy ci w drodze, nie będzie z tobą o niczym rozmawiać, zresztą i w domu coraz więcej milczy. A ty dla niego będziesz w drodze kimś niezbędnym. Syn daje mu konia i wóz do Odessy, ma je tam sprzedać. Wprawdzie staruszek chciałby iść piechotą, ale z powodu jego bagażu i pewnych darów dla Grobu Pańskiego pójdzie z nim i koń, tak że i ty możesz swoją torbę wrzucić na wóz. Pomyśl teraz, jak można starego i głuchego człowieka puścić samego z koniem w taką daleką drogę? Szukali, a jakże, szukali przewodnika, ale wszyscy chcą bardzo drogo, a

i tak niebezpiecznie puścić go z nieznanym człowiekiem, ma przecież ze sobą i pieniądze, i rzeczy. Zgódź się, bracie, doprawdy, będzie dobrze. Zgódź się ku chwale Boga i z miłości do bliźniego. A ja już polecę cię moim gospodarzom i oni niezmiernie będą temu radzi. To dobrzy ludzie i lubią mnie, pracuję już u nich dwa lata. Porozmawialiśmy tak u bramy, on zaprowadził mnie do domu, do gospodarza, i ja, zobaczywszy, że to chyba rodzina szlachecka, zgodziłem się na ich propozycję. Postanowiliśmy zatem ruszyć w drogę w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia, jeśli Bóg pobłogosławi, po wysłuchaniu Bożej liturgii.

Oto jakie nieoczekiwane przypadki trafiają się na drodze życia! I wciąż Bóg i Boża Opatrzność kierują naszymi czynami i zamierzeniami, jak to jest napisane: "to Bóg jest w was sprawcą i chcenia, i działania" (Flp 2,13).

Wysłuchawszy tego mój ojciec duchowny powiedział-cieszę się z całego serca, umiłowany bracie, że Pan nieoczekiwanie pozwolił mi cię ujrzeć po tak krótkim czasie. A ponieważ jesteś teraz wolny, to z lubością przetrzymam cię tu dłużej, a ty mi jeszcze więcej opowiesz o tych pouczających spotkaniach, które przytrafiły ci się na twojej długiej drodze pielgrzymstwa, bo i twoich wcześniejszych opowieści słuchałem uważnie i z przyjemnością. - Uczynię to z radością - odpowiedziałem i zacząłem mówić.

Wiele się zdarzyło, i dobrego, i złego. Nie o wszystkim warto długo opowiadać, wiele już zapomniałem, bo starałem się szczególnie zapamiętać tylko to, co kierowało i pobudzało moją leniwą duszę ku modlitwie. Wszystko inne wspomniałem rzadko, albo, by powiedzieć lepiej, starałem się zapominać to, co minęło, zgodnie z pouczeniem św. Pawła Apostoła, który powiedział: "Zapominając o tym, co za mną, a wyężdżając siły ku temu, co przede mną, pędzę ku wyznaczonej mecie, ku nagrodzie, do jakiej Bóg wzywa w górę" (Flp 3,13-14). Przecież i zmarły mój błogosławiony starzec mawiał, że to, co chce przeszkodzić modlitwie serca, napada nas z obu stron, z lewej i z prawej. Jeśli nie może przeszkodzić w modlitwie bzdurnymi pomysłami i grzeszną wyobraźnią, to odnawia w pamięci budujące wspomnienia, napędza wspaniałych myśli, byle tylko czymkolwiek oderwać od modlitwy, której nie może ścierpieć. Jest to czysta kradzież: dusza zlekceważywszy rozmowę z Bogiem, zwraca się z upodobaniem ku rozmowie z samą sobą albo ze stworzeniami. I dlatego uczył mnie, by w czasie modlitwy nie dopuszczać nawet najpiękniejszych myśli duchowych, a i po skończeniu dnia, jeśli zdarzy się zobaczyć, że więcej czasu minęło na budujących rozmyśleniach i rozmowach niż na prawdziwej, niewidzialnej dla innych modlitwie serca, by uznać to za brak umiarkowania albo i za wyrachowaną duchową chciwość, szczególnie u początkujących, dla których jest czymś koniecznym, by czas spędzany na modlitwie był znacznie dłuższy niż poświęcony innym pobożnym zajęciom. Ale też nie sposób wszystkiego zapomnieć. Niektóre rzeczy tak głęboko same wbiły się w pamięć, że nawet dawno nie wspomniane pamięta się żywo, jak na przykład pewną szlachecką rodzinę, u której Bóg pozwolił mi spędzić kilka dni, co stało się tak:

W czasie mojego pielgrzymowania po tobolskiej guberni zdarzyło się, że przechodziłem przez jakieś powiatowe miasteczko. Sucharów zostało mi już niewiele i wszedłem do pewnego domu, by poprosić o chleb na drogę. Gospodarz powiedział do mnie - Dzięki Bogu, przyszedłeś w samą porę. Akurat moja żona wyjęła chleby z pieca. Masz tu ciepły bochen, pomódl się za nas. Podziękowałem i zaczynam wkładać chleb do torby, gdy gospodyni spojrzała i mówi - Jakiś ten twój worek lichy, cały się powycierał, dam ci inny. I dała mi dobry, mocny worek. Podziękowałem im z całej duszy i poszedłem dalej. Wychodząc z miasta poprosiłem w maleńkim sklepiku o trochę soli, a sklepikarz nasypał mi jej w mały woreczek. Cieszyłem się w duchu i błogosławiłem Boga za to, że mnie niegodnego kieruje do ludzi tak dobrych. Oto, myślałem sobie, przez cały tydzień, zadowolony, będę spać nie troszcząc się o pożywienie. "Błogosław, duszo moja, Pana!" (Ps 103,1 i 104,1).

Odszedłszy od tego miasta jakieś pięć wiorst zobaczyłem, że droga biegnie przez niezbyt bogatą wieś z cerkwią biedną, drewnianą, ale pięknie przyozdobioną i pomalowaną. Przechodząc tak blisko, chciałem pokłonić się Bożej świątyni i wszedłszy na cerkiewne schodki, zacząłem się modlić. Z boku cerkwi, na łączce, bawiło się dwoje dzieci po jakieś pięć, sześć lat.

Pomyślałem, że pewnie to dzieci popa, choć były bardzo wystrojone. Cóż, pomodliwszy się, ruszyłem dalej. Nie zdążyłem jeszcze odejść dziesięć kroków od cerkwi, gdy usłyszałem za sobą krzyk - Biedaczyno, biedaczyno, zaczekaj! Wołały tak i biegły ku mnie dzieci, które widziałem wcześniej, chłopiec i dziewczynka. Zatrzymałem się, a one, podbiegłszy, chwyciły mnie za ręce - Pójdziemy do mamy, ona kocha żebraków. - Ależ ja nie jestem żebrakiem - mówię do nich - tylko tędy przechodzę. - To dlaczego masz torbę? - zapytały. - To mój chleb na drogę. - Nie, koniecznie pójdziemy, mama da ci na drogę pieniądze. - Ale gdzie jest wasza mama - zapytałem. - Tam, za cerkwią, za tym zagajnikiem.

Zaprowadziły mnie do przepięknego ogrodu, pośród którego zobaczyłem duży, bogaty dom. Wchodzimy do pokoi - jakże tu czysto i elegancko! A oto wybiegła ku nam pani domu. - Bardzo proszę! Uprzejmie proszę! Skąd cię Bóg do nas przysłał? Siadaj, siadaj, mój drogi! Sama zdjęła mi worek z pleców, położyła go na stole, a mnie posadziła na miękkim krześle. Może chcesz coś zjeść? A może herbatki? Nic ci nie trzeba? - Najuniżej pani dziękuję - odpowiedziałem. - Jedzenia mam całą torbę, a herbatę wprawdzie pijam, ale w mojej chłopskiej doli nie przyzwyczaiłem się do niej. Pani gorliwość i uprzejme traktowanie są mi droższe od poczęstunku. Będę prosił Boga, by pobłogosławił panią za taką ewangeliczną miłość do pielgrzymów. Mówiąc to, poczułem silne przynaglenie, by zwrócić się do swego wnętrza. W moim sercu zawrzała modlitwa i potrzeba

mi było teraz spokoju i ciszy, by dać miejsce temu samorzutnie zrodzonemu płomieniowi modlitwy, by ukryć przed ludźmi jej zewnętrzne oznaki: łzy, westchnienia, niezwykle poruszenia twarzy i ust.

Dlatego podniosłem się z krzesła i mówię - Proszę o wybaczenie, mateńko, ale na mnie czas. Niech Pan Jezus Chrystus będzie z tobą i twoimi miłymi dzieciątkami. - Och, nie! Niech cię Bóg broni, żebyś miał odejść, nie puszcze cię. Wieczorem wraca z miasta mój mąż, cieszący się uznaniem sędziego powiatowy. Jakże on się ucieszy, gdy cię zobaczy! Każdego wędrowca uważa on za Bożego wysłańca. Jeśli odejdiesz, zasmuci się bardzo, że cię nie widział. W dodatku jutro niedziela, pomodlisz się z nami na świętej liturgii, a potem zjemy razem, co Bóg dał. W każde święto gości u nas ze trzydziestu ubogich braci Chrystusa. I nic mi jeszcze nie opowiedziałeś o sobie, dokąd i skąd wędrujesz. Porozmawiaj ze mną. Lubię słuchać duchowych rozmów ludzi miłych Bogu. Dzieci, dzieci! Weźcie torbę pielgrzyma i zanieście do pokoju ze świętymi obrazami, tam on będzie nocować. Słuchając tych jej słów, zdziwiłem się i pomyślałem: Z człowiekiem rozmawiam, czy to jakieś przywidzenie?

Zostałem więc, by czekać na gospodarza. Opowiedziałem krótko o mojej podróży i o tym, że idę do Irkucka. - Ot i traf - powiedziała pani. - Na pewno pójdziesz przez Tobolsk, a tam moja rodzona matka jest mniszką w żeńskim monasterze, teraz jest już mniszką-pokutnicą [31]. Damy ci list i przyjmie cię - wielu przychodzi do niej po duchowe porady. Przy okazji zanieśesz jej książkę Jana Klimaka [32], którą zamówiliśmy dla niej, na jej polecenie, w Moskwie. Jak to wszystko dobrze się układa! Wreszcie zbliżył się czas obiadu i usiedliśmy przy stole. Przyszły jeszcze jakieś cztery panie i zaczęły jeść z nami. Po skończeniu pierwszego dania jedna z przybyłych wstała, pokłoniła się przed świętym obrazem, potem pokłoniła się nam, wyszła, przyniosła drugie danie i znów usiadła. Potem inna z nich w ten sam sposób poszła po trzecie danie. Zobaczywszy to zapytałem gospodynię - Ośmielę się, mateńko, zapytać: te panie, to pani krewne, czy co? - Tak, to moje siostry: ta jest kucharką, ta żoną woźnicy, ta to szafarka, a ta, to moja pokojówka; wszystkie zamężne, nie mam w całym domu ani jednej panny. Słyszając i widząc to wszystko dziwiłem się coraz bardziej i błogosławiłem Boga, że skierował mnie do ludzi tak bogobojnych. Czułem też w sercu silne działanie modlitwy i dlatego, by jak najszybciej móc zostać w samotności i modlitwie nie przeszkadzać, wstawszy zza stołu powiedziałem do gospodyni - Trzeba, by odpoczęła pani po obiedzie, a ja, przyzwyczajony do chodzenia, pójdę na spacer do ogrodu. - Nie, ja nie odpoczywam - odpowiedziała pani - i pójdę z tobą, a ty opowiesz mi coś budującego. A jeśli pójdziesz sam, dzieci nie dadzą ci spokoju: gdy tylko cię zobaczą, nie odejdą nawet na chwilę, tak kochają ubogich braci Chrystusa i pielgrzymów.

Cóż miałem robić? Poszliśmy. Po wejściu do ogrodu, by łatwiej zachować milczenie, nic nie mówić, pokłoniłem się pani do stóp i powiedziałem - Proszę, mateńko, w imię Boga, powiedz mi, czy dawno prowadzisz życie tak miłe Bogu i jak doszedłeś do takiej pobożności? - Niech będzie. Opowiem ci wszystko. Widzisz, matka moja była prawnuczka arcypasterza Joasafa, którego spoczywające relikwie pokazują w Biełgorodzie. Mieliśmy w mieście duży dom, którego jedno skrzydło wynajmował niebogaty szlachcic. W końcu on umarł, gdy jego żona była brzemienna. Po porodzie ona także umarła. Narodzone dziecko zostało kompletnie biednym sierotą. Moja mama z żalu wzięła go do siebie na wychowanie, a po roku urodziłam się ja. Razem rośliśmy, razem, u tych samych nauczycieli i nauczycielek, uczyliśmy się i tak przyzwyczailiśmy się do siebie, jak rodzony brat i siostra. Po jakimś czasie umarł mój rodzic, a mama, porzuciwszy miejskie życie, przyjechała z nami do tej swojej wsi, by tu zamieszkać. Kiedy już dorośliśmy, mama wydała mnie za swego wychowanka, oddała nam tę swoją wieś, a sama pobudowała sobie celę i wstąpiła do monasteru. Dając nam matczyne błogosławieństwo, zostawiła jako nakaz, byśmy żyli po chrześcijańsku, gorliwie modlili się do Boga, a przede wszystkim, byśmy starali się wypełniać główne przykazanie Boże, to znaczy miłość bliźniego, byśmy karmili i pomagali ubogim Chrystusowym braciom, w prostocie i pokorze, byśmy dzieci nasze wychowywali w bojaźni Bożej, a do niewolników odnosili się jak do braci. Tak oto żyjemy tu już sami dziesięć lat, starając się, na ile to tylko możliwe, wypełniać ten testament mojej matki. Mamy też schronisko dla ubogich, w którym przebywa teraz dziesięciu kalekich i chorych, pewnie jutro do nich zajdziemy.

Po zakończeniu tego opowiadania zapytałem - Gdzie jest ta książeczka Jana Kumaka, którą chce pani odesłać swojej rodzicielce? - Pójdziemy do pokoju i znajdem ją. - Gdy tylko usiedliśmy, by czytać, przyjechał też pan domu. Ujrzawszy mnie, gorąco się przywitał, po bratersku, po chrześcijańsku ucałowaliśmy się, zaprowadził mnie do swego pokoju i mówił - Pójdziemy, najdroższy bracie, do mojego gabinetu, pobłogosławisz moją celę. Myślę, że ona - wskazał na żonę - dość ci nadokuczała: gdy zobaczy kogoś pielgrzymującego, albo chorego, gotowa dzień i noc od niego nie odstępować. Z dawna mają taki zwyczaj w jej rodzie. Weszliśmy do gabinetu. Jakież tu mnóstwo książek, przepiękne ikony, życiodajny krzyż naturalnej wielkości, a przy nim stoi Ewangelia. Pomodliłem się i mówię - Masz tu, ojczulku, istny raj Boży. Oto sam Pan nasz, Jezus Chrystus, Jego Przczysta Matka, święci Jego, a to pokazałem książki - ich Boże, żywe, nigdy nie milknące słowa i pouczenia. Myślę, że często rozkoszuje się pan niebiańską z nimi rozmową. - Tak, przyznaję - odpowiedział pan domu - jestem miłośnikiem lektury. - Jakie ma pan książki? - zapytałem. - Mam też dużo i duchowych - odpowiedział. - Oto całoroczny cykl żywotów świętych [33], dzieła Jana Złotoustego, Bazylego Wielkiego [34], wiele książek teologicznych i filozoficznych, dużo tu też kazań znakomitych współczesnych kaznodziejów. Kosztowała mnie ta biblioteka jakieś pięć tysięcy rubli.

- Nie ma pan - zapytałem - jakiejś książki o modlitwie? Bardzo lubię czytać o modlitwie. - Mam tu najnowszą książkę o modlitwie, dzieło jakiegoś petersburskiego duchownego. Pan domu wziął komentarz do modlitwy Pańskiej Ojciec nasz i z zadowoleniem zaczęliśmy czytać. Wkrótce potem przyszła do nas także pani domu, przyniosła herbatę, a dzieciątka przytaszczyły pełny koszyczek, cały ze srebra, jakichś suchych, jakby nadziewanych ciasteczek, jakich jeszcze w życiu nie jadłem. Pan domu wziął książkę ode mnie, podał ją żonie i mówi - Przymusimy ją trochę do lektury, czyta bowiem pięknie, a sami odpoczniemy. Pani domu zaczęła czytać, a my przysłuchiwaliśmy się. Słuchając lektury zważałem też na tętniącą w moim sercu modlitwę. Im dłużej czytaliśmy, tym bardziej rozwijała się, napełniając mnie rozkoszą. Nagle dostrzegłem, że ktoś przemknął przed moimi oczyma, jakby w powietrzu pojawił się mój zmarły starzec. Wzdrygnąłem się i by to ukryć powiedziałem - Wybaczcie, troszkę się zdrzemnąłem. - Wtem poczułem jakby duch starca wniknął w mego ducha albo rozświetlił go. Mój umysł napełnił się jasnością i mnóstwem myśli o modlitwie. Przeżegnałem się i chciałem odpędzić te myśli, gdy okazało się, że pani akurat skończyła czytać książkę. Pan domu zapytał, czy mi się ta książeczka podobała, i rozpoczęła się rozmowa. - Bardzo mi się podobała - odpowiedziałem. Przecież modlitwa Pańska Ojciec nasz przewyższa i jest cenniejsza niż wszystkie inne modlitwy, które mamy spisane my, chrześcijanie. Przecież dał nam ją sam Pan nasz Jezus Chrystus, a i przeczytany przez nas komentarz do niej jest bardzo dobry, tyle że głównie odnosi się do działalności chrześcijańskiej, gdy mnie zdarzyło się czytywać w dziełach świętych ojców objaśnienia kontemplacyjne, mistyczne.

- U którego z ojców to czytałeś? - Oto, na przykład, u Maksyma Wyznawcy [35], także w Dobrotolubiju u Piotra z Damaszku [36]. - Może sobie coś przypominasz? Proszę, opowiedz! Bądź łaskaw! - Początek modlitwy: "Ojciec nasz, któryś jest w niebie", w przeczytanej przez nas książeczce wyjaśniany jest jako zachęta do braterskiej miłości do bliźnich jako do dzieci jednego Ojca. Jest to bardzo słuszne, ale u świętych ojców objaśnia się to jeszcze głębiej, w sposób bardziej duchowy. Mówią oni mianowicie, że wypowiadając te słowa należy cały umysł skierować ku niebu, ku Ojcu naszemu niebieskiemu i przypomnieć sobie nasz stały obowiązek stawania w Bożej obecności i chodzenia przed Bogiem. Słowa: "Niech się święci imię Twoje" wyjaśnia książeczka troską, by nie wypowiadać imienia Bożego bez głębokiego szacunku albo przy fałszywej przysiędze, słowem, by święte imię Boże było wypowiadane w sposób pobożny, a nie nadaremnie. Mistyczni interpretatorzy dostrzegają tu jednak bezpośrednią prośbę o wewnętrzną modlitwę serca, to znaczy, by najświętsze imię Boga wypisane było we wnętrzu serca, by święcone było spontaniczną modlitwą i oświecało wszystkie odczucia i moce duszy. Słowa: "Niech przyjdzie Królestwo Twoje" mistyczni interpretatorzy wyjaśniają tak: niech przyjdzie do naszego serca pokój wewnętrzny, spokój i duchowa radość. W książeczce tej wyjaśnia się, że pod słowami: "Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj" należy rozumieć prośbę o to, co potrzebne dla życia ciała, ale nie w nadmiarze, a tylko na miarę potrzeb i tak, by starczyło na pomoc dla bliźnich. A Maksym Wyznawca pod określeniem "chleb powszedni" rozumie odżywianie duszy chlebem niebieskim, to znaczy Słowem Bożym, związanie duszy z Bogiem, ze wzniesieniem myśli ku Niemu i ciągłą wewnętrzną modlitwą serca.

- Ach, ale to rzecz wielka i prawie niemożliwa do osiągnięcia dla żyjących na tym świecie, by dojść do modlitwy wewnętrznej - wykrzyknął pan domu - oby Pan pomógł odmawiać bez ociągania choć zwykłą codzienną modlitwę. - Nie myśl tak, ojczulku. Gdyby było to niemożliwe i nie do przewyciężenia, to Bóg nie przykazywałby tego wszystkim. Jego moc objawia się w słabości (2 Kor 12,9; por. 13,9), a doświadczeni święci ojcowie podają sposoby ułatwiające drogę osiągnięcia modlitwy serca. Jasne, że tym, co porzucili ten świat, wskazują sposoby szczególne, wzniosłe, ale i żyjącym w świecie zalecają środki odpowiednie, wiodące w sposób pewny do osiągnięcia modlitwy wewnętrznej. - Nigdy nie zdarzyło mi się przeczytać o tym gdzieś dokładnie - powiedział pan domu. - Pozwólcie, jeśli łaska, przeczytam wam o tym z księgi Dobrotolubija. - Przyniosłem ją, odnalazłem rozważania Piotra z Damaszku w części trzeciej na karcie czterdziestej ósmej, i zacząłem czytać: "Wzywania imienia Bożego należy nauczyć się bardziej niż oddechu, w każdym czasie, na każdym miejscu i w każdej sprawie. Apostoł mówi: «Módlcie się nieustannie», to znaczy poucza, by pamiętać o Bogu w każdym czasie, na każdym miejscu i przy wszelkich sprawach. Jeśli robisz cokolwiek, powinieneś mieć w pamięci Stwórcę rzeczy, jeśli widzisz światło, pamiętaj Tego, który ci je darował, patrzysz na niebo, ziemię, morze i wszystko, co je napełnia, podziwiał i wysławiał Tego, który je stworzył. Nakładasz ubranie - wspomnij, czyj to dar, i błogosław Tego, który troszczy się o twoje życie. Krótko mówiąc, każdy ruch niech będzie dla ciebie powodem pamięci o Bogu i wysławiania Go i oto będziesz modlić się nieustannie, czym zawsze będzie się radować twoja dusza". Oto raczcie zobaczyć, jak ten sposób nieustannej modlitwy jest dogodny, łatwy i dostępny dla każdego, kto ma choć trochę ludzkich uczuć.

Bardzo im się to spodobało. Pan domu uściskał mnie z zachwytem, dziękował nieustannie, obejrzał moje Dobrotolubije i powiedział - Koniecznie muszę sobie tę książkę kupić, czym prędzej sprowadzę ją z Petersburga, a teraz, ku pamięci, przepiszę sobie rozdziałik, który przeczytałeś - podyktuj mi. I zaraz szybko i pięknie przepisał. Potem wykrzyknął - Mój Boże, przecież mam ikonę świętego Damasceńczyka (była to prawdopodobnie ikona Jana Damasceńskiego) [37]. Wziął ramkę, włożył pod szkło napisany fragment, powiesił pod ikoną i mówił Oto żywe słowo Bożego sługi pod jego wizerunkiem będzie mi często przypominać, by wypełniać tę zbawczą radę z całą płynącą z niej energią.

Potem poszliśmy jeść kolację. Przy stole, podobnie jak to było wcześniej, siedzieli z nami wszyscy - mężczyźni i kobiety. Jakie pełne nabożeństwa milczenie i cisza panowały podczas posiłku! Po kolacji wszyscy, dorośli i dzieci, długo modliliśmy się. Mnie nakłonili, bym odmówił akatysty ku czci najmłodszego Jezusa.

Potem służba udała się na spoczynek, a my we troje pozostaliśmy w pokoju. A to dopiero! Pani domu przyniosła mi białą koszulę i pończochy! Pokłoniłem się jej do stóp i mówię Pończoch, mateńko, nie wezmę. Nie nosiłem ich od urodzenia, przyzwyczajeni jesteśmy do onuc. Wtedy znowu wybiegła i przyniosła swój stary kaftan z cienkiego żółtego sukna i rozcięła go na dwie onuce. A pan domu powiedziawszy - Ależ temu biedakowi prawie rozwały się chodaki, przyniósł swoje nowe wielkie buty, takie, co to je jeszcze nakładał na buty z cholewami, i zaraz mi mówi: Idź do tamtego pokoju, nikogo tam nie ma, zmień na sobie bieliznę. Poszedłem, przebrałem się i wróciłem do nich. Posadzili mnie na krześle i dalej mnie obuwać: pan domu zaczął mi owijać nogi onucami, a pani naciągała buty. Najpierw opierałem się, ale kazali mi siedzieć i mówili - Siedź cicho, Chrystus swoim uczniom nogi mył! Cóż miałem robić? Zacząłem płakać, a potem rozplakali się i oni.

Po tym wszystkim pani została w domu, by spać z dziećmi, a my z panem domu poszliśmy do altany w ogrodzie. Długo nie zasypialiśmy - leżeliśmy i rozmawialiśmy. No i zaczął nalegać - Powiedzże mi, na Boga, ale uczciwie, w sumieniu, kim właściwie jesteś? Wyglądasz na kogoś dobrze urodzonego, tylko przybierasz wygląd nawiedzonego. Przecież dobrze umiesz czytać i pisać, mówisz i rozumiesz poprawnie, to nie jest chłopskie wychowanie. - Zgodnie z najszczerzą prawdą i z czystym sercem opowiedziałem zarówno panu, jak i pani żonie, skąd się tu wziąłem. Nigdy nie zamierzałem was ani okłamywać, ani oszukiwać. Po cóż mi to? A to, co mówię, to nie są myśli moje, tylko to, co słyszałem od mojego zmarłego, napełnionego Bożą mądrością starca, i to, co z uwagą wyczytałem u świętych ojców. Ale najwięcej światła w mojej ciemności daje mi wewnętrzna modlitwa, którą przecież nie sam posiadałem, a miłość Boża i nauka starca sprawiły, że zamieszkała w moim sercu. A jest ona przecież możliwa dla każdego. Wystarczy tylko w milczeniu zagłębić się w swym sercu i jak najczęściej przyzywać oświecające imię Jezusa Chrystusa, by zaraz każdy poczuł wewnętrzną jasność i zrozumiał dzięki niej wszystko, nawet i niektóre tajemnice królestwa Bożego. A przecież i to jest głęboką, oświecającą tajemnicą, gdy człowiek poznaje tę zdolność do zagłębiania się w siebie, widzenia siebie od wewnątrz, rozkoszowania się tą samoświadomością, rozrzewniania się i błogiego płakania nad swoim upadkiem i zepsutą wolą. Mądrze myśleć i rozprawać z ludźmi to rzecz niezbyt trudna i możliwa do wykonania, bo rozum i serce zrodzone zostały wcześniej niż powstała uczoność i mądrość człowiecza. Skoro rozum jest, to możesz go rozwijać przez naukę i doświadczenie, ale jeśli rozumu nie ma, to i żadne wychowanie nie pomoże. Właśnie w tym cała rzecz, że jesteśmy tak oddaleni od siebie samych. Ba! Nawet nie bardzo mamy chęć do siebie samych się przybliżyć, przeciwnie - wystrzegamy się tego, by nie spotkać się z samym sobą i zamieniamy prawdę na głupstwa, a jeszcze myślimy: chętnie zająłby się człowiek sprawami ducha albo modlitwą, ale nie ma kiedy, kłopoty i troska o życie nie pozwalają na takie zajęcia. A co jest ważniejsze i bardziej potrzebne: zbawienne wieczne życie duszy, czy mijające tak szybko życie ciała, o które tak bardzo się troszczymy? Właśnie to, co powiedziałem wiedzie ludzi albo do rozsądku, albo do głupoty.

- Wybacz mi, najdroższy bracie, pytałem cię nie z samej tylko ciekawości, ale z dobroci i chrześcijańskiego współczucia. I jeszcze dlatego, że dwa lata temu widziałem wydarzenie, które spowodowało, że zrodziło się we mnie pytanie, które ci postawiłem. Otóż przyszedł do nas jakiś biedak mający papiery emerytowanego żołnierza, stary, niedołężny, a biedny tak, że prawie nagi i bosi. Mówił mało i tak prosto jak chłop ze stepów. Przyjęliśmy go do naszego schroniska dla ubogich. Po jakichś pięciu dniach silnie zachorował i dlatego przenieśliśmy go do tej właśnie altany, uśmierzyliśmy jego cierpienia i sami, ja z żoną, zaczęliśmy go pielęgnować i leczyć. W końcu widać było, że zbliża się śmierć. Przygotowaliśmy go poprosiwszy naszego kapłana, by go wyspowiadał, udzielił mu Komunii i Ostatniego Namaszczenia. W przeddzień swej śmierci wstał, poprosił mnie o arkusz papieru i pióro, a potem, bym zamknął drzwi i nikogo nie wpuszczał, dopóki nie napisze dla syna testamentu, o którego przesłanie, po jego śmierci, do Petersburga, pod wskazany adres, prosił. Zdumiałem się widząc, że pisał nie tylko pięknym, kształtnym charakterem, ale także tym, że sam tekst był znakomity, bezbłędny i subtelny. Mam jego kopię i jutro ci przeczytam.

Wszystko to wprawiło mnie w zdumienie i pobudziło ciekawość na tyle, że zapytałem o jego pochodzenie i życie. Zobowiązawszy mnie przysięgą, że nie ujawnię tego nikomu przed jego śmiercią, ku chwale Boga opowiedział mi całe swe życie:

- Byłem księciem, kiedyś bardzo bogatym i prowadzącym życie jak tylko się dało wspaniałe, wystawne i rozrutne. Moja żona zmarła i mieszkalem ze swym synem, który szczęśliwie odbywał służbę jako kapitan gwardii. Pewnego razu, gdy wybierałem się na bal u jakiejś ważnej figury, rozżłościłem się mocno na mego kamerdynera, nie wytrzymał napięcia i uderzyłem go w głowę i kazałem zesłać na wieś. Stało się to wieczorem, a drugiego dnia rankiem kamerdyner zmarł na zapalenie mózgu. Cóż, śladów na rękach to nie zostawiło i, pożałowawszy swej nieostrożności, szybko o wszystkim zapomniałem. Ale oto mija sześć tygodni i ów zmarły kamerdyner zaczyna mi się ukazywać, najpierw we śnie. Każdej nocy mnie niepokoił i czynił mi wyrzuty wciąż powtarzając: Sumienia nie masz! Zabiłeś mnie! Potem zacząłem go widzieć na jawie, gdy czuwałem. Im więcej mijało czasu, tym częściej się pojawiał, a potem niepokoił mnie niemal nieustannie. W końcu razem z nim zaczęli się pojawiać inni zmarli mężczyźni, których kiedyś okrutnie znieważylem i kobiety, które przywiodłem do grzechu. Wszyscy oni bez przerwy mnie oskarżali i nie dawali mi spokoju, aż w końcu

nie mogłem ani spać, ani jeść, ani cokolwiek się zajmować. Całkiem podpadłem na siłach i moja skóra przyłgnęła do kości. Nic nie pomagały starania wytrawnych lekarzy. Pojechałem leczyć się do obcych krajów, ale po półrocznej kuracji nic mi się nie polepszyło, a dręczące mnie zjawy tylko się mnożyły. Przywieźli mnie stamtąd ledwie żywego. Doświadczalem wprost grozy piekielnych mąk duszy, jeszcze nim została ona oddzielona od ciała. Wtedy przekonałem się, że piekło istnieje i dowiedziałem się, czym ono jest.

Żyjąc w takim udręczeniu uświadomiłem sobie moje nieprawości, okazałem skruchę, wyspowałem się, zwolniłem całą moją służbę i przysięgłem całe me życie dręczyć się wszelką pracą i skryć się pod postacią żebraka, by za moje bezprawia zostać ostatnim sługą ludzi najniższego stanu. Ledwie się na to mocno zdecydowałem - znikły dręczące mnie zjawy. Czułem taką radość i słodycz z tego pojednania się z Bogiem, że aż nie mogłem sobie tego całkiem wyobrazić. Oto tu doświadczylem także, czym jest raj i w jaki sposób Królestwo Boże otwiera się w naszych sercach. Wkrótce zupełnie wyzdrowiałem, spełniłem swoje zamiary i z dokumentami emerytowanego żołnierza potajemnie opuściłem moją ojczyznę. I oto już piętnaście lat tułam się po całej Syberii. Czasem w miarę swych sił pracowałem u chłopów, czasem żyłem z Bożego imienia. Ach! W całej tej biedzie jakiej zasmakowałem błogości, jakiego szczęścia i spokoju sumienia. Może tego doświadczyć tylko ten, kto z udręk piekła przez miłosierdzie Orędownika przeprowadzany jest do Bożego raju.

Opowiedziawszy to, podał mi swój testament, by wysłać do jego syna i następnego dnia zmarł. Tak oto odpis tego testamentu mam teraz w torbie, włożony do mojej Biblii. Jeśli zyczysz sobie przeczytać, zaraz wyjmę. Oto proszę.

Rozwinąłem i przeczytałem: W imię Boga wysławianego w Trójcy, Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Najdroższy mój synu!

Już od piętnastu lat nie widzisz twego ojca, lecz on, pośród tego braku o nim wiadomości, z rzadka dopytując o ciebie, żywił ku tobie miłość ojcowską, która przymusza do posłania ci tych ostatnich przed śmiercią słów, by stały się dla ciebie w życiu pouczeniem.

Wiesz o tym, jak cierpiałem za moją nieostrożność i życie beztroskie, ale nie wiesz, jak upajałem się tą moją tułaczką pośród zapomnienia, rozkoszując się owocami skruchy.

Umieram spokojnie u mojego, a zarazem twojego dobroczyńcy, bowiem dobrodziejstwa wylane na ojca dotyczyć powinny także czulego syna. Odpląć mu z wdzięcznością, jaką tylko możesz.

Zostawiając ci moje ojcowskie błogosławieństwo błagam cię, byś pamiętał o Bogu, strzegł sumienia, byś był ostrożnym, dobrym i roztropnym, obchodził się ze swoimi podwładnymi jak tylko można życzliwie i uprzejmie, byś nie gardził ubogimi i tułaczami, pamiętając o tym, że także twój umierający ojciec w ubóstwie i tułaczce odzyskał dla swej udręczonej duszy ład i spokój.

Wzywając łaski Bożej dla ciebie, spokojnie zamykam oczy w nadziei na życie wieczne, według miłosierdzia człowieczego Orędownika, Jezusa Chrystusa.

Twój ojciec

Tak to leżeliśmy i rozmawialiśmy sobie z pełnym dobroci panem domu. Zapytałem go - Myślę, ojczulku, że ze schroniskiem dla tułaczy nie obywa się bez trosk i niepokojów? Wielu przecież w naszym tułaczym bractwie chodzi, by nic nie robić, z lenistwa do pracy, a także rozbijają się po drogach, jak to mi się zdarzyło widzieć. - Nie za wiele było takich przypadków, w większości trafiali się prawdziwi pielgrzymi odpowiedział pan domu - ale my jeszcze większe względy okazujemy tym pierwszym i zatrzymujemy, by pobyły u nas te lekkoduchy. Pomieszkawszy pomiędzy naszymi dobrymi, ubogimi braćmi Chrystusa, często poprawiają się i opuszczają schronisko dla ubogich jako ludzie pokorni i łagodni. Niedawno mieliśmy tego przykład. Jeden z mieszkańców tutejszego miasta do tego stopnia się wykoleił, że w końcu wszyscy przeganiali go kijami sprzed swoich bram i nikt nie dawał mu nawet kawałka chleba. Był to pijak, gwałtownik i zabijaka, w dodatku jeszcze kradł. Taki właśnie, głodny, zaszedł do nas, poprosił o chleb i wino, do którego picia był nadzwyczaj skory. Przyjawszy go uprzejmie powiedzieliśmy mu: mieszkaj u nas, wina damy ci, ile zechcesz, ale pod jednym warunkiem: wypijesz kładź się zaraz spać, a jeśli choć trochę będziesz się buntować albo awantuować, to nie tylko wypędzimy cię i nigdy już nie przyjmiemy, ale jeszcze napiszemy do naczelnika policji w powiecie albo do naczelnika miasta, by cię gdzieś zesłali jako podejrzanego włóczęgę. Zgodziwszy się na te warunki, został. Przez tydzień albo i dłużej pił rzeczywiście dużo, ile tylko chciał, ale zawsze, zgodnie z daną obietnicą i z powodu swej skłonności do picia wina (którego nie chciał utracić), kładł się spać albo wychodził do ogrodu - leżał tam i milczał. Kiedy wytrzeźwiał, bracia ze schroniska dla ubogich uspokajali go i radzili, by się powstrzymywał, na początek choć trochę. I tak stopniowo zaczął pić coraz mniej i wreszcie po jakichś trzech miesiącach stał się człowiekiem wstrzemięźliwym, teraz gdzieś się najmuje do pracy i nie jada na próżno cudzego chleba. Przedwczoraj przyszedł do mnie z podziękowaniami. - Jakaż to mądrość ujawnia się, gdy jest kierowana miłością! - pomyślałem i wykrzyknąłem - Błogosławiony Bóg, który okazuje swą miłość w ścianach waszego domu!

Po tych naszych rozmowach z panem domu, zdrzemnąwszy się godzinkę czy półtorej, usłyszeliśmy dzwon na jutrznię, wówczas żeśmy wstali i poszli. Wchodzimy do cerkwi, a tu już zastajemy panią domu ze swoimi dziećmi. Wysłuchaliśmy jutrzni, a zaraz po niej zaczęła się liturgia. Z panem domu i jego synkiem staliśmy blisko ołtarza, a pani domu z maleńką panią przy ołtarzowym oknie, by widzieć wniesienie

świętych darów. Mój Boże! Jak oni modlili się na kolanach i zalewali radosnymi łzami! Jak jaśniały ich twarze sprawiając, że i ja patrząc na nie, wyplakałem się.

Po zakończeniu liturgii pani i pan domu z dziećmi, kapłan, służby i wszyscy ubodzy poszli razem do stołu zjeść obiad, a samych ubogich była ze czterdziestka, w tym kaleki, i z wielkimi głowami, i dzieci. Wszyscy usiedli przy jednym stole. Jakaż tam była cisza i milczenie! Zdobywszy się na odwagę, powiedziałem po cichu do pana domu - W monasterach w czasie posiłku czyta się żywoty świętych, moglibyśmy tak i my, ma pan przecież cały cykl żywotów. Pan domu zwróciwszy się do pani mówi: Rzeczywiście, Mario, moglibyśmy wprowadzić taki zwyczaj. Będzie to bardzo pouczające. Podczas pierwszego obiadu będę czytał ja, potem ty, później nasz ojczulek, i wreszcie, po kolei, bracia, który umie. Kapłan nasz, jedząc, zaczął mówić - Słuchać lubię bardzo, ale jeśli chodzi o czytanie, dziękuję najmocniej, w żaden sposób nie mam na to czasu. Przyjdiesz do domu, to nie wiesz, w którą stronę się obrócić, wciąż kłopoty, troski, i to trzeba zrobić, i tamto, dzieci gromada, była pod dostatkiem, cały dzień krzątania, gdzie mi tam do czytania czy nauki. To, czego nauczyłem się w seminarium, dawno już zapomniałem. Usłyszawszy to aż zadrzałem, a pani domu, siedząca obok mnie, jak mnie nie chwyci za rękę! I zaczęła mówić - Nasz ojczulek mówi to z pokory, zawsze tak się poniża, a przecież tak jest dobry. I jak bogobojnie żyje: już dwadzieścia lat jest wdowcem i wychowuje całą gromadkę wnucząt, a jeszcze często odprawia nabożeństwa. Gdy to usłyszałem, przyszła mi do głowy myśl Nicety Stetatosy [38], którą znałem z Dobrotolubija: Istotę rzeczy mierzy się stosownie do wewnętrznego stanu duszy: każdy według tego, jaki jest, sądzi o innych. I jeszcze: Kto doszedł do prawdziwej modlitwy i miłości, nie rozróżnia rzeczy, nie czyni różnicy między sprawiedliwym a grzesznikiem, wszystkich kocha jednakowo i nie sądzi ich; jak Bóg, który sprawia, że Jego słońce i deszcz służą sprawiedliwym i niesprawiedliwym (Mt 5,45).

Znowu zapadło milczenie. Naprzeciwko mnie siedział całkiem ślepy żebrak ze schroniska dla ubogich. Pan domu karmił go, kroił mu rybę, podawał łyżkę, nalewał polewkę. Przypatrzywszy mu się bacznie, zauważyłem, że usta żebraka są stale otwarte, a język ciągle się porusza, jakby drżał. Pomyślałem, czyżby się modlił? i zacząłem zwracać na niego uwagę. Pod koniec obiadu jakaś staruszka źle się poczuła. Chwycił ją mocny ból i jęczała. Pan i pani domu zaprowadzili ją do swej sypialni i położyli do łóżka. Pani została, by jej doglądać, kapłan nasz na wszelki wypadek poszedł po Święte Postacie, a pan domu kazał zaprzęgać karetę i pognął do miasta po doktora. Rozeszli się wszyscy.

Czułem jakby pragnienie modlitwy, silną potrzebę wylania jej, a samotności i milczenia nie miałem już dwie doby. Czułem jakby coś zalewało mi serce, a potem chciało wyrwać się i rozlać po wszystkich mych członkach, ale ponieważ powstrzymałem to, poczułem w sercu silny ból - zresztą jakiś radosny, domagający się milczącego bezruchu i nasycenia modlitwą. Tu stało się dla mnie jasne, dlaczego ci, którzy prawdziwie żyją z tą samodzielną w nich modlitwą, uciekali od ludzi, skrywali się pośród zapomnienia. Zrozumiałem też, dlaczego wielbny Hezychiasz nawet najbardziej uduchowioną i pożyteczną rozmowę nazywa pustą gadaniną, jeśli nie ma w niej umiaru, a św. Efrem Syryjczyk [39] mówi: Dobra mowa, to srebro, a milczenie - czyste złoto. Mając to wszystko w świadomości, poszedłem do schroniska dla ubogich, wszyscy odpoczywali tam po obiedzie. Wszedłem na poddasze, wyciszyłem się, odpocząłem i pomodliłem się. Gdy ubodzy powstawali, znalazłem tego ślepego i wyprowadziłem go za ogrodzenie. Siedliśmy tam oddaleni od innych i zaczęliśmy rozmawiać.

- Powiedźże, na Boga, ku pożytkowi duszy, ty odmawiasz modlitwę Jezusową? - Od dawna czynię to nieustannie. Co skutkiem tego odczuwasz? - Tylko to, że ani w dzień, ani w nocy nie mogę być bez modlitwy. - W jaki sposób Bóg odkrył przed tobą tę czynność? Opowiedz mi to, umiłowany mój bracie, szczegółowo. - Cóż, jak widzisz jestem tutejszym rzemieślnikiem, zarabiałem na chleb krawiectwem, wędrowałem po innych guberniach, po wsiach, i szyłem chłopską odzież.

W pewnej wsi zdarzyło się, że zatrzymałem się dłużej u chłopa, by obszyć jego rodzinę. Któregoś świątecznego dnia zobaczyłem na półce ze świętymi obrazami trzy książki i pytam Kto z was czyta? - Nikt - odpowiedzieli. - To książki po naszym wuju. On umiał czytać i pisać. - Wziąwszy jedną z nich, otworzyłem ją, gdzie popadło i przeczytałem, jak to jeszcze dziś pamiętam, takie słowa: Modlitwa nieustanna, to wzywianie imienia Bożego; zawsze, czy się rozmawia, czy siedzi, czy chodzi, pracuje, czy je, cokolwiek się czyni - w każdym miejscu i w każdym czasie należy wzywać imienia Bożego.

Przeczytawszy to pomyślałem, że to akurat dla mnie, zacząłem szyjąc odmawiać modlitwę szeptem i spodobało mi się to. Ci, którzy mieszkali ze mną w chałupie, zauważyli to i zaczęli się ze mnie śmiać: czarownik jesteś, czy co, że wciąż coś szepcesz? Zamawiasz coś? Żeby to ukryć przestałem poruszać wargami, a zacząłem samym językiem. W końcu tak się przyzwyczaiłem do tej modlitwy, że język mój w dzień i w nocy ją odmawia i jest to dla mnie przyjemne.

Długo tak wędrowałem, potem nagle całkiem oślepiłem. W moim rodzie prawie wszyscy mają ciemną wodę w oczach. Z racji mej biedy gmina ulokowała mnie w przytułku, który znajduje się w Tobolsku, naszym mieście gubernialnym. Właśnie tam wędruję, a pani domu z panem zatrzymali mnie, bo chcą dać mi do Tobolska podwodę.

- Jak nazywała się książka, którą czytałeś? Nie było to Dobrotolubije? - Doprawdy nie wiem, nie spojrzałem na tytuł. Przyniosłem moje Dobrotolubije, odnalazłem w czwartej części u patriarchy Kaliksta te słowa, które powiedział mi z pamięci, i zacząłem je czytać. - To samo - krzyknął ślepiec. - Czytajże, bracie, jakże to dobre. -

Kiedy doszedłem do takiej linii, gdzie powiedziane jest: należy modlić się sercem, zaczął nalegać: co to znaczy? Jak to czynić? Powiedziałem mu, że całe pouczenie o modlitwie serca szczegółowo wyłożone jest w tej właśnie książce, w Dobrotolubiju, a on z uporem prosił, by mu ją przeczytać.

- Uczynimy tak - powiedziałem. - Kiedy masz zamiar wyruszyć do Tobolska? - Choćby zaraz - odpowiedział. - A zatem dobrze. Ja też myślę ruszyć w drogę jutro, pójdziemy razem i przeczytam ci wszystko, co dotyczy modlitwy serca, i wskażę ci sposób odnajdywania miejsca w sercu i wchodzenia do niego. - A co z podwodą? - zapytał. - Jaka tam podwoda? Czyż nie wiesz jak daleko do Tobolska? Tylko półtorej setki wiorst. Pójdziemy powolutku, a tylko we dwóch wiesz, jak dobrze iść. Nawet i rozmawiać, i czytać o modlitwie będzie wygodniej. Tak dogadaliśmy się. Wieczorem sam pan domu przyszedł, by zaprosić nas wszystkich na kolację. Po kolacji wyjawiliśmy, że ruszymy ze ślepym w drogę i że podwoda nie jest potrzebna, bo będzie nam wygodniej czytać Dobrotolubije. Tu pan domu powiedział - Mnie też Dobrotolubije bardzo się spodobało. Nawet napisałem już list i przygotowałem pieniądze, by jutro, gdy pojadę do sądu, wysłać do Petersburga i otrzymać Dobrotolubije pierwszą pocztą.

Tak oto raniem ruszyliśmy w drogę, dziękując bardzo tym państwu za miłość mogącą służyć za przykład, i za miłosierdzie. Oboje odprowadzili nas z wiorstą od domu i tak rozstaliśmy się.

Ruszyliśmy ze ślepcem i szliśmy po trochu i powoli, z dziesięć, piętnaście wiorst na dzień, a całą resztę czasu przesiadywaliśmy w samotnych miejscach i czytaliśmy Dobrotolubije. Przeczytałem mu o modlitwie serca wszystko w takiej kolejności, jaką wskazał mi mój zmarły starzec, to znaczy zaczynając od księgi Nikifora Mnicha, Grzegorza Synaity i tak dalej. Z jaką zachłannością i uwagą słuchoł tego wszystkiego, jak mu się to podobało, jaką sprawiało rozkosz. Potem zaczął tak mnie pytać o modlitwę, że mojego rozumu nie starczyło, by odpowiedzieć.

Po przeczytaniu wszystkiego, co trzeba, z Dobrotolubija, zaczął usilnie prosić, bym starannie pokazał mu, w jaki sposób umyśłem odnaleźć serce, jak wprowadzić doń Boskie imię Jezusa Chrystusa i jak ze słodyczą modlić się wewnątrz sercem. Zacząłem mówić do niego - Oto ty nic nie widzisz, ale przecież możesz swym umyśłem wyobrazić sobie, przedstawić to, co kiedyś widziałeś, na przykład człowieka, jakąś rzecz, część swojego ciała - rękę, nogę, możesz to sobie wyobrazić tak żywo, jakbyś na to patrzył. Możesz też skierować i wpatrzeć się w to nawet twoimi ślepyimi oczami? - Mogę - odpowiedział. - Zatem w ten właśnie sposób wyobraź sobie swe serce, skieruj nań swe oczy, jakbyś patrzył nań poprzez swą pierś, wyobraź je sobie najżywiej, jak potrafisz, a uszami wsłuchuj się, jak ono bije, jak uderza raz po razie. Skoro się do tego dostosujesz, zacznij do każdego uderzenia serca, patrząc weń, dopasowywać słowa modlitwy. W ten sposób przy pierwszym uderzeniu powiedz, albo pomyśl, "Panie", przy drugim "Jezu", przy trzecim "Chryste", przy czwartym "zmiłuj się", przy piątym "nade mną" i powtarzaj to wielokrotnie. Tobie będzie wygodniej, bo początki i przygotowanie do modlitwy serca już masz. Potem, gdy się już przyzwyczaisz, zacznij wprowadzać całą modlitwę Jezusową do serca wraz z oddechem, i wprowadzać ją, jak uczą tego ojcowie, to znaczy: wciągając powietrze wypowiedz, pomyśl: "Panie, Jezu Chryste", a wypuszczając je: "zmiłuj się nade mną!" Czyń to jak najwięcej i jak najczęściej, a szybko poczujesz delikatny i przyjemny ból serca, a potem pojawi się w nim ciepło i jakby tkanie. W ten sposób, z Bożą pomocą, osiągniesz samodzielną przynoszącą słodycz wewnętrzną modlitwy serca. Ale przy tym wszystkim wystrzegaj się wszelkich wyobrażeń w twym umyśle, jakichś pojawiających się wizji, bo święci ojcowie usilnie nakazują wystrzegania się przy modlitwie wewnętrznej jakichkolwiek wyobrażeń czy wizji, by nie ulec ich urokowi.

Ślepiec, wysłuchawszy tego wszystkiego uważnie, zaczął z gorliwością postępować według wskazanego mu sposobu; zwłaszcza nocami, gdy zatrzymywaliśmy się na nocleg, długo zajmował się przede wszystkim tym. Po pięciu dniach zaczął

odczuwać w sercu silne ciepło i niewysłowioną przyjemność, a przy tym ogromną chęć ciągłego zajmowania się tą modlitwą, która właśnie budziła w nim miłość do Jezusa Chrystusa. Czasami zaczął widywać jasność, choć nie dostrzegał w niej żadnych przedmiotów ani rzeczy. Czasem wydawało mu się, że gdy wchodził w swe serce, to zapalał się w nim słodko jakby silny płomień palącej się świecy i wyrывая się przez gardło na zewnątrz, oświecał go. Mógł przy jego świetle dostrzegać także rzeczy oddalone, jak to się kiedyś zdarzyło.

Wędrowaliśmy lasem, a milczący ślepiec cały był pogrążony w modlitwie. Nagle powiedział - Jaka szkoda! Pali się już cerkiew, zawaliła się właśnie dzwonnica. Powiedziałem mu - Daj spokój tym próżnym wyobrażeniom, to pokusa, trzeba to zaraz odpędzić. Jak możesz widzieć, co się dzieje w mieście? Mamy do niego jeszcze dwanaście wiorst. Usłuchał mnie, modlił się dalej i milczał. Pod wieczór przyszedliśmy do miasta i rzeczywiście ujrzałem kilka spalonych domów, zawaloną dzwonicę, zbudowaną na drewnianych palach. Wokoło tłoczyli się ludzie dziwiąc się, że waląca się dzwonnica nikogo nie przygniotła. Uświadomiłem sobie, że całe to nieszczęście zdarzyło się wtedy, gdy mówił o tym ślepiec. Ale oto powiedział on - Mówiłeś, że to pusta zjawka, a jednak to rzeczywistość. Jak nie dziękować, jak nie kochać Pana Jezusa Chrystusa, który okazuje swoją łaskę grzesznikom, ślepcom i nierozumnym! Dzięki i tobie za to, że nauczyłeś mnie tej czynności serca.

Powiedziałem mu - Jezusa Chrystusa kochaj i dziękuj Mu, ale przyjmowania różnych wizji za bezpośrednie okazywanie łaski strzeż się, bo to wszystko może przydarzać się w sposób naturalny, zgodny z porządkiem rzeczy. Dusza ludzka nie jest bezwzględnie związana z miejscem i materią. Może ona widzieć i we mgle, i to, co dzieje się daleko czy blisko, ale my nie przydajemy życia tej zdolności duszy i tłumimy ją albo więzami

naszego odczuwającego ciała, albo płataniną naszych myśli i rozproszonych pomysłów. A kiedy skupiamy się w sobie, odrywamy się od tego, co nas otacza, i w umyśle stajemy się bardziej subtelni, wtedy dusza wchodzi na swe właściwe miejsce, działa w wyższym stopniu i jest to rzeczą naturalną. Słyszałem od mego zmarłego starca, że nawet nie ludzie modlitwy, a tylko zdolni do tego, albo chorzy, w najciemniejszym pokoju widzą światło wychodzące ze wszystkich rzeczy, rozróżniają przedmioty, wyczuwają jakby drugiego siebie i wnikają w myśli innych. A to, co podczas modlitwy serca pochodzi wprost od Bożej łaski, przynosi taką rozkosz, że żaden język jej nie wyrazi i nie da się to porównać z niczym materialnym; do niczego nie jest to podobne. Wszystko, co odczuwamy, jest zbyt niskie w porównaniu ze słodkimi odczuciami łaski w sercu. Mój ślepiec wysłuchiwał tego z uwagą i jeszcze bardziej spokorniał. Modlitwa w jego sercu coraz bardziej się rozwijała i przynosiła mu niewysłowioną stodycz. Cieszyłem się tym z całej duszy i pilnie dziękowałem Bogu za to, że dozwolił mi ujrzeć tak błogosławionego swego sługę.

W końcu dotarliśmy do Tobolska, zaprowadziłem ślepcę do przytułku, pozostawiłem go tam i serdecznie się z nim pożegnawszy ruszyłem dalej w drogę.

Jakiś miesiąc wędrowałem sobie spokojnie i głęboko odczuwałem, jak pouczające i zachęcające bywają dobre żywe przykłady. Często czytywałem Dobrotolubije i sprawdzałem wszystko to, co powiedziałem modlącemu się ślepcowi. Jego pouczający przykład rozpałił we mnie gorliwość, wdzięczność i miłość ku Panu, a modlitwa serca tak mnie cieszyła, że nie myślałem, iż na ziemi jest ktoś szczęśliwszy ode mnie, i dziwiłem się, jaka to może być większa i lepsza rozkosz w królestwie niebieskim. Nie tylko bowiem czułem ją we wnętrzu mojej duszy, ale wszystko to, co było zewnętrzne, ukazywało mi się w zachwycającej postaci i wszystko pociągało mnie ku miłości Boga i ku dziękowaniu Mu: ludzie, drzewa, rośliny, zwierzęta - wszystko było mi jakby jedną rodziną, wszędzie znajdowałem odbicie imienia Jezusa Chrystusa. Czasem odczuwałem taką lekkość, jakbym był pozbawiony ciała, jakbym nie chodził, a radośnie pływał w powietrzu. Czasem cały wnikałem sam w siebie i wyraźnie widziałem wszystkie moje wnętrzności, dziwiąc się tak pełnej mądrości budowie człowieka ciała. Czasem znów odczuwałem taką radość, jakbym został carem, a przy wszystkich tych pociechach pragnąłem, by Bóg pozwolił mi jak najszybciej umrzeć i dać ujście mojej wdzięczności u Jego stóp w świecie duchów.

Pewnie bez umiaru rozkoszowałem się tymi odczuciami, czy co, albo już taki był dopust Bożej woli, bo po pewnym czasie poczułem w sercu jakieś drżenie i lęk. Żeby mi się tylko nie przydarzyła, pomyślałem sobie, jakaś bieda czy utrapienie, podobnie jak za tę dziewczynę, którą nauczyłem modlitwy Jezusowej w kaplicy. Myśli nalatywały na mnie chmurą i przypominałem sobie zaraz słowa błogosławionego Jana z Karpatos, który powiada, że ten, kto często poucza, wystawia się na pohańbienie i cierpi doświadczenia i pokusy za tych, którzy odnieśli dzięki niemu duchową korzyść. Walcząc z tymi myślami wzmożłem modlitwę, dzięki czemu odpędziłem je całkowicie i nabrawszy otuchy powiedziałem w mym wnętrzu - Niech się dzieje wola Boża! - będąc gotowym przecierpieć wszystko, co tylko ześle mi Jezus Chrystus za moje grzeszne postęпки i hardy charakter. Przecież ci, którym niedawno wyjawiałem tajemnicę wnikania w serce i modlitwy wewnętrznej, byli już przed spotkaniem ze mną przygotowani dzięki bezpośredniemu tajemnemu pouczeniu Bożemu. Znalazłszy w tym uspokojenie, znów ruszyłem z radością i modlitwą, a cieszyłem się jeszcze bardziej niż przedtem. Przez jakieś dwa dni pogoda była deszczowa i droga tak rozmokła, że nogi ledwie można było wyciągnąć z błota. Szedłem stepem i przez jakieś piętnaście wiorst nie napotkałem żadnej osady. Wreszcie pod wieczór dostrzegłem stojącą przy samej drodze jakąś zagrodę. Ucieszyłem się i pomyślałem: Tu poproszę, by pozwolili mi odpocząć i przenocuję, a jutro rano, co Bóg da: może i pogoda będzie lepsza.

Podszedłszy ujrzałem podpitego staruszka w żołnierskim płaszczu, siedzącego na przyzbie domu. Pokłoniłem się mu, no i mówię - Nie można by tu kogoś poprosić o przenocowanie? - A któż może na to pozwolić prócz mnie? - krzyknął starzec - ja tu jestem najważniejszy! To stacja poczty, i jestem tu inspektorem. To pozwólcie, ojczulku, przenocować! - A dokumenty masz? Pokaż papiery! - Podałem mu, a on wciąż: - Gdzie twoje papiery? - Trzymacie w ręku - odpowiedziałem. - No dobrze, pójdziemy do środka. Inspektor nałożył okulary, przeczytał i mówi - Papiery masz w porządku, nocuj. Dobry ze mnie człowiek. Masz, poczęstuję cię czareczką. - Od dziecka nie piję - odpowiedziałem. - No, gwizdźmy na to, ale chociaż zjedz z nami kolację. Usiedliśmy przy stole: on, kucharka, młoda kobieta, też dosyć pijana. Mnie posadzili razem z nimi. Przez całą kolację wymyślali sobie nawzajem, a na koniec pobili się. Inspektor wyszedł do sieni i położył się spać w komorze, kucharka zaczęła sprzątać, myć miski i łyżki, wymyślając swojemu staruszkowi.

Posiedziałem i doszedłem do wniosku, że szybko się ona nie uspokoi. Mówię do niej - Gdzie by tu, mateńko, położyć się spać? Zmęczony jestem drogą. - Zaraz ci, ojczulku, przygotuję. - Przysunęła ławkę do ławy przy oknie frontowym, rozłożyła kawał wojujoku i położyła podgłówek. Położyłem się i zamknąłem oczy, jakbym spał. Kucharka długo jeszcze kręciła się, wreszcie skończyła, zgasła ogień i podeszła do mnie. Nagle całe okienko, to w kącie z frontu, rama, szyby, resztki futryny rozleciały się w kawałki i spadły ze strasznym trzaskiem, cała izba zatrzęsała się, a za oknem rozległ się bolesny jęk, krzyk i słychać było szamotanie. Kobieta w przerażeniu wyskoczyła na środek izby i runęła na podłogę. Zerwałem się nieprzytomny, myśląc, że się pode mną rozwarła ziemia. Patrząc: dwóch woźniców wnosi do izby człowieka, całego we krwi, tak że nawet twarzy nie było widać. To jeszcze bardziej mnie przerażyło. Okazało się, że był to kurier, który galopował tu, by zmienić konie. Jego woźnica, nie zdoławszy dobrze skręcić w bramę, wybił dyszlem okno, a ponieważ przed domem był rów, bryczka wywróciła się, a kurier, upadając, głęboko rozciął sobie głowę o zastrzony kół, który

umacniał przyzęb. Kurier ządał wody i wina, by przemycić sobie ranę, przyłożył do niej okład z wina, do tego wypił szklaneczkę i krzyknął - Konie! Stojąc przy nim powiedziałem - Jakże wam, ojczulku, jechać z takim bólem? - Kurier nigdy nie choruje - odpowiedział i pogalopował. Kobiętę bez zmysłów woźnice zanieśli w ką przy piecu, przykryli kawałkiem płótna i powiedzieli - Coś dziwnego przytrafiło się jej ze strachu, dojdzie do siebie. A inspektor poprawił sobie i znów poszedł dosypiać. Zostałem sam.

Wkrótce kobieta podniosła się i zaczęła chodzić z kąta w kąt, jak szalona, a w końcu wyszła z izby. Po modlitwie poczułem, że opadam z sił i przed świtem trochę zasnąłem.

Rankiem pożegnawszy się z inspektorem, wyruszyłem w drogę. Szedłem i wznosiłem moją modlitwę z wiarą, ufnością i dziękczynieniem ku Ojcu dobrodziejstw i wszelkiej pociechy, który wybawił mnie od bliskiego nieszczęścia.

Sześć lat po tych wydarzeniach przechodziłem obok pewnego żeńskiego monasteru i zaszedłem do cerkwi pomodlić się.

Gościnnie usposobiona wobec pielgrzymów przeorysza [40] przyjęła mnie po mszy i poleciła podać herbatę. Nagle przyjechali do niej nieoczekiwani goście, wyszła do nich, a mnie zostawiła z mniszkami, które jej posługiwały. Pokorna mniszka nalewająca herbatę pobudziła moją ciekawość i zapytałem - Dawno jesteś, mateńko, w tym monasterze? - Pięć lat - odpowiedziała. - Przyprowadzili mnie tu bez zmysłów i tu Bóg się nade mną zmiłował. A mateńka przeorysza zostawiła mnie u siebie i dokonała postrzyżyn. - Od czego utraciłaś zmysły? - zapytałem. - Z przerażenia. Pracowałam na jakiejś stacji i nocą, gdy spałam, konie wybiły okno. Przeraziwszy się straciłam zmysły. Cały rok moi krewni prowadzali mnie po świętych miejscach i dopiero tu wróciłam do zdrowia. Usłyszawszy to uradowałem się w duszy i słałem Boga, który tak mądrze z wszystkiego wyprowadza dobro.

- Wiele byłoby jeszcze do opowiadania - rzekłem zwracając się do mego ojca. - Gdyby opowiadać po kolei, to i trzech dni by nie starczyło, ale może dodam jeszcze jeden przypadek.

Był jasny, letni dzień, gdy w pobliżu drogi zobaczyłem cmentarz, albo lepiej: cały zespół cmentarny, to znaczy jeszcze cerkiew i kilka domów dla duchownych i służby cerkiewnej. Dzwonili na mszę i poszedłem tam. Szli tam także mieszkający w pobliżu ludzie. Inni, nie dochodząc do cerkwi, siedzieli na trawie i widząc mnie spieszącego się mówili: Nie spiesz się. Nastoisz się do woli zanim zacznie się msza. Odprawia się tu bardzo długo, kapłan chory i jakiś opieszawy. Rzeczywiście odprawiało się bardzo długo, kapłan młody, ale straszliwie chudy i blady, celebrował bardzo powoli, zresztą bardzo uroczyście. Na końcu mszy wygłosił z uczuciem przepiękne, zrozumiałe kazanie o tym, jak osiąść miłość ku Bogu.

Kapłan poprosił mnie do siebie i zatrzymał, bym zjadł obiad. Przy stole powiedziałem - Jak uroczyście i dostojnie odprawiasz mszę, ojczu! - Tak, odpowiedział - choć przychodzącym to się nie podoba i szemrzą, ale co zrobić. Każde słowo modlitwy muszę najpierw rozważyć, porozkoszować się nim, a dopiero potem mogę już wypowiedzieć je głośno, bo bez wewnętrznego odczucia i przyjęcia każde wypowiedziane słowo będzie i dla wypowiadającego je, i dla innych bezużyteczne. Cała rzecz polega na życiu wewnętrznym i uważnej modlitwie! Ale jak mało ludzi zajmuje się tymi sprawami - dodał. - To dlatego, że nie chcą, nie dbają o duchowe, wewnętrzne oświecenie - powiedział kapłan. Znów zapytałem - Ale jak je osiągnąć? Wydaje się to bardzo trudne. - Ani trochę. Aby oświecić się w duchu i być człowiekiem uważnym, wewnętrznym, należy wziąć jakikolwiek tekst z Pisma Świętego i jak najdłużej skupić tylko na nim jednym całą uwagę i rozważania, a otworzy się światło zrozumienia. W ten sam sposób należy postępować przy modlitwie: jeśli chcesz, by była ona czysta, prawa i by przynosiła pocieszenie, należy wybrać jakąś modlitwę krótką, składającą się ze słów niewielu, ale mocnych, i powtarzać ją wielokrotnie i długo, a wtedy poczujesz chęć modlitwy. Bardzo spodobało mi się to pouczenie dane przez kapłana: jakże było ono praktyczne, proste, a jednocześnie głębokie i pełne mądrości! W myślach dziękowałem Bogu, że ukazał mi takiego prawdziwego pasterza swego Kościoła.

Po zakończeniu posiłku kapłan powiedział do mnie - Prześpij się po obiedzie, a ja zajmę się czytaniem Słowa Bożego i przygotowaniem jutrzejszego kazania. - Wyszedłem do kuchni. Nie było tam nikogo, tylko w kącie, zgarbiona, siedziała jakaś wiekowa staruszka i kaszłała. Siadłem w pobliżu okienka, wyjąłem z torby moje Dobrotolubije i zacząłem sobie po cichutku czytać. Na koniec usłyszałem, że siedząca w kącie staruszka nieustannie szepcze Jezusową modlitwę. Ucieszyłem się słysząc często wypowiedziane Najświętsze Imię Pańskie i mówię do niej - Jak to dobrze, mateńko, że wciąż odmawiasz tę modlitwę! To najbardziej chrześcijańskie, zbawiające zajęcie. Tak, ojczulku - odpowiedziała - w moich starych latach jedyną radością jest to, że Pan przebaczy! - Dawno już tak się modlisz? - Od mej młodości, ojczulku, bez tego nie żyłabym, bo modlitwa Jezusowa wybawiła mnie od zguby i od śmierci. - Jakże to? Opowiedz, proszę ku chwale Boga i ku wystawianiu zbawiennej mocy Jezusowej modlitwy. - Schowałem do torby moje Dobrotolubije, siadłem blisko niej i zaczęła opowiadać:

- Byłam dziewczyną młodą i piękną. Rodzice wyprawili mi zaręczyny i tak jakby jutro miał być ślub, narzeczony szedł

ku nam, ale nie zrobił i dziesięciu kroków, jak upadł i umarł nie złapawszy oddechu! Tak się tego wystraszyłam, że odmówiłam zamążpójścia i postanowiłam żyć w dziewictwie i chodzić po świętych miejscach modląc się do Boga. Sama bałam się jednak ruszać w drogę, by z powodu mojej młodości nie spotkało mnie coś złego ze strony złych ludzi, ale oto znajoma mi pielgrzymująca staruszka nauczyła mnie, bym gdziekolwiek idę

wciąż, nieustannie odmawiała modlitwę Jezusową i bym wierzyła mocno, że z tą modlitwą żadne nieszczęście nie może w drodze się zdarzyć. Uwierzyłam temu i istotnie chodziłam zawsze pomyślnie, nawet w najbardziej odległe święte miejsca, moi rodzice dawali mi na to pieniądze. Na starość zachorowałam i tutejszy ojciec łaskawie trzyma mnie tu i karmi.

Śluchając tego z radością nie wiedziałem, jak dziękować Bogu za dzień, w którym ujrzałem tak pouczające przykłady. Potem, uprosiwszy błogosławieństwa dobrego i pobożnego kapłana, ruszyłem rozradowany w drogę. A już całkiem niedawno, gdy szedłem tu przez kazańską gubernię, zdarzyło mi się jeszcze zobaczyć, jak moc modlitwy w imię Jezusa Chrystusa staje się dostępna i dla tych, którzy zajmują się nią nieświadomie, i jak częstość i długość modlitwy jest najpewniejszą i najkrótszą drogą do osiągnięcia dobrych owoców modlitwy. Kiedyś nocowałem w osiedlu Tatarów. Wszedłszy tam, zobaczyłem pod oknem jednej z chat bryczkę i ruskiego woźnicę. Przy bryczce pasły się konie. Ucieszywszy się tym, zamierzałem prosić o nocleg właśnie tu, sądząc, że przynajmniej będę spał pośród chrześcijan. Podeszedłem i pytam woźnicę - Kto to podróżuje? Odpowiedział mi, że to jego pan jedzie z Kazania na Krym. W czasie mojej rozmowy z woźnicą ów podróżujący pan, odchyliwszy skórzany bok bryczki, wyjrzał z niej, spojrzał na mnie i mówi - Sam nocuję tutaj, ale nie poszedłem do chaty, bo u Tatarów bardzo kiepsko i postanowiłem zostać na noc w bryczce. Potem ów pan wyszedł spacerować się - wieczór był piękny - i zaczęliśmy rozmowę.

Pośród wielu wypytywań, oto co opowiedział mi o sobie Do sześćdziesiątego piątego roku życia służyłem we flocie w randze komandora. Na starość zaatakowała mnie nieuleczalna choroba, podagra, i przeszedłszy na rentę zamieszkałem na Krymie w chutorze mej żony, niemal ciągle chorując. Moja żona była kobietą postrzeloną, roztargnioną, do tego wielką karciarą. Nudno jej było mieszkać ze mną chorym i rzuciwszy mnie wyjechała do Kazania, do naszej córki, która tu przypadkiem wyszła za mąż za pracującego urzędnika. Obdarła mnie ze wszystkiego, wywiozła ze sobą nawet służbę, a mnie zostawiła tylko ośmioletniego chłopaczka, mojego chrześniaka.

Tak oto żyłem sam przez jakieś trzy lata. Chłopiec, który mi pomagał, był zdolny, bystry i potrafił zrobić wszystko w domu: sprzątał pokój, rozpalał piec, gotował kleiki i kaszki, nastawiał samowar. Przy tym wszystkim był to jednak nadzwyczaj żywy i nie milknący psotnik. Nieustannie biegał, stukał, krzyczał, swawolił i tym wszystkim bardzo mi dokuczał. Z powodu choroby, ale też z nudów, zawsze lubiłem czytać rzeczy duchowe. Miałem przepiękną książkę Grzegorza Palamasa o modlitwie Jezusowej, czytałem ją prawie bez ustanku, a po trochu odmawiałem też modlitwę. Mój chłopak mi przeszkadzał, a żadne groźby i kary nie powstrzymywały go od wybryków. Pomyślałem wreszcie, by sadzać go u siebie w pokoju na ławeczce i kazać mu odmawiać nieustannie Jezusową modlitwę. Najpierw bardzo mu się to nie podobało, na wszelkie sposoby tego unikał i często milczał.

Żeby zmusić go do spełniania mojego nakazu, kładłem przy sobie różgę. Gdy odmawiał modlitwę, czytałem spokojnie książkę, albo słuchałem go, ale gdy tylko zamilknął pokazywałem mu różgę i przestraszony znowu się brał za modlitwę. Bardzo to mnie uspokajało, bo w domu zaczęła panować cisza. Po pewnym czasie zauważyłem, że już nie trzeba różgi: chłopiec chętniej i pilniej zaczął wypełniać mój nakaz. Nawet ja dostrzegłem rzeczywistą przemianę w jego żywym charakterze, chłopiec przycichł, stał się bardziej miłkiwy, a prace domowe wykonywał lepiej. Ucieszyło mnie to i zacząłem dawać mu więcej swobody. I co się w końcu okazało? Tak przyzwyczał się do modlitwy, że prawie zawsze, przy każdym zajęciu odmawiał ją bez żadnej z mojej strony zachęty czy przymuszenia. Kiedy go o to zapytałem, odpowiadał, że nieprzepracie ciągnie go do odmawiania modlitwy. - A co przy tym odczuwasz? - Nic, tylko czuję, że jest mi tak dobrze, gdy się modlę. - Jak to, dobrze? - Nie wiem, jak to powiedzieć. - Wesoło ci, czy co? - Tak, wesoło.

Miał już dwanaście lat, gdy zaczęła się wojna krymska, wyjechałem do córki do Kazania i chłopca zabrałem ze sobą.

Umieścili go w kuchni z innymi, bardzo z tego powodu tęsknił i skarżył mi się, że ludzie bawiąc się i swawoląc zaczepiali go, śmiali się i tak przeszkadzali mu zajmować się modlitwą. Wreszcie po jakichś trzech miesiącach wchodzi do mnie i mówi - Wyjeżdżam do domu, nie mogę znieść tej nudy i hałasu. Powiedziałem mu - Jakże sam wyruszysz w tak daleką podróż, do tego w zimie? Zaczekaj aż ja będę jechał i zabiorę cię ze sobą. Następnego dnia chłopak zniknął. Szukali go wszędzie, ale nie odnaleźli. W końcu otrzymuję z Krymu, od ludzi, którzy pozostali w naszym chutorze, list o tym, że chłopiec, czwartego kwietnia, w drugi dzień Paschy, został znaleziony martwy w moim domu. Leżał na podłodze w moim pokoju, dostojnie: ręce na piersi, pod głową czapka z daszkiem, uciekał w tym samym lekkim surduciku, w który ubierał się u mnie. Pochowali go w moim ogrodzie. Otrzymawszy tę wiadomość bardzo się zdziwiłem, w jaki sposób tak szybko dotarł chłopiec do chutoru. Uciekł 26 lutego, a znaleziono go 4 kwietnia. W ciągu miesiąca przebyć około trzech tysięcy wiorst, daj Boże i końmi. Przecież to ze sto wiorst dziennie. W dodatku w lekkim ubraniu, bez dokumentów i bez kopiejki. Załóżmy, że go nawet ktoś podwoził, ale i tu przecież nie obyłoby się bez szczególnej Opatrzności i opieki Bożej. Tak to, powiedział ów pan, chłopiec ten zakosztował owoców modlitwy, a ja nawet w mojej starości nie osiągnąłem jego miary.

Po tym wszystkim zacząłem mówić do tego pana - Znam, ojczulku, tę przepiękną książkę wilebnego Grzegorza Palamasa, którą byłeś łaskaw czytać, ale w niej najwięcej rozważa się tylko ustną formę modlitwy

Jezusowej. Przeczytajcie jednak sobie książkę, co się nazywa Dobrotolubije, a dopiero tam znajdziecie pełne i dokładne pouczenie o tym, jak osiągnąć duchową formę tej modlitwy w umyśle i w sercu, i jak zakosztować jej najrozkoszniejszych owoców. I pokazałem mu moje Dobrotolubije. Zauważyłem, że z zadowoleniem przyjął moją radę i obiecał postarać się o tę książkę.

- Mój Boże, pomyślałem, jakież to zdumiewające przejawy mocy Bożej ogląda się jako skutki tej modlitwy! Jak mądry i pouczający jest przypadek, o którym usłyszałem. Różga nauczyła chłopca modlitwy, a modlitwa stała się potem dla niego pociechą! Czyż nie są różgami Bożymi te smutki i utrapienia, które napotykamy na drodze modlitwy? A zatem czego boimy się i czemu przejści jesteśmy niepokojem, kiedy te różgi pokazuje nam ręka naszego Ojca niebieskiego, pełnego bezgranicznej miłości, i gdy różgi te nakłaniają nas do gorliwszego uczenia się modlitwy i prowadzą nas ku niewypowiedzianym pociechom?

Kończąc moje opowieści, powiedziałem memu ojcu duchownemu - Wybacz mi, na Boga, rozgadałem się, a święci ojcowie rozmowę, nawet o najbardziej duchowym charakterze, ale nieumiarkowaną, nazywają pustym gadaniem. Czas mi iść rozejrzeć się za moim towarzyszem podróży do Jerozolimy. Pomódl się za mnie, biednego grzesznika, żeby Pan w swym wielkim miłosierdziu przygotował mi drogę ku dobremu.

- Z całej mej duszy życzę ci, umiłowany w Panu bracie - powiedział on - by przepełniona miłością łaska Boża chroniła twą drogę i towarzyszyła ci jak anioł Rafael Tobiaszowi!

Część II



Spotkania z pielgrzymem. Czyli rozmowy o modlitwie

Spotkanie pierwsze: piąta opowieść pielgrzyma [41]

Rok już minął od ostatniego spotkania z pielgrzymem, gdy wreszcie ciche stukanie do drzwi i modlitewne pozdrowienie obwieściło nadejście owego błogosławionego brata, ku wielkiej radości serca tego, który nań oczekiwał.

- Wejdz, umiłowany bracie! Razem będziemy składać dzięki Panu, który pobłogosławił twą drogę i powrót!

- Chwała i dziękczynienie Najwyższemu Ojcu łask za wszystko, co tylko przygotowuje według swego zamysłu, zawsze przynoszącemu dobro nam, pielgrzymom i przybyszom w "ziemi obcej"! Przecież i ja, grzesznik, pożegnawszy cię w zeszłym roku, teraz znowu, dzięki Bożej łasce, doznaję zaszczytu ujrzenia cię i usłyszenia twego serdecznego powitania. Pewnie oczekujesz ode mnie szczegółowej opowieści o świętym Bożym mieście, Jerozolimie, ku której tęskniła moja dusza i ku której niezachwianie kierowałem moje pragnienia, ale nie zawsze spełnia się to, co zamierzamy. Także mnie się to przydarzyło i nic w tym dziwnego, bo czyż mnie, biednemu grzesznikowi, miał przypaść w udziale zaszczyt stąpania po tej uświęconej ziemi, noszącej ślady boskich stóp naszego Pana, Jezusa Chrystusa?

Przypominasz sobie, ojczulku, że wyruszyłem tam w zeszłym roku w towarzystwie głuchego starca, mając list irkuckiego kupca do jego syna w Odessie, z prośbą o wyprawienie mnie do Jerozolimy. Rzeczywiście, szczęśliwie i szybko dotarliśmy do Odessy. Mój towarzysz podróży zaraz znalazł miejsce na statku płynącym do Konstantynopola i wyruszył w drogę, a ja zostałem z owym listem, by odszukać syna irkuckiego kupca. Dom jego odnalazłem szybko, ale ku memu zdziwieniu i z żalem stwierdziłem, że mój dobroczyńca nie żyje: minęły już trzy tygodnie od momentu, gdy zmarł po krótkiej chorobie i został pochowany. Zasmuciło mnie to wprawdzie bardzo, ale zdałem się na wolę Boga. Wszyscy domownicy pogrążeni byli w smutku, wdowa po zmarłym, która została z trójką maleńkich dzieci, smuciła się do tego stopnia, że nieustannie płakała i po kilka razy dziennie padała w udreće na ziemię. Zdawało się, że ten głęboki żal nie pozwoli jej żyć długo. Mimo wszystko jednak przyjęła mnie życzliwie, a nie mając, ze względu na sytuację, możliwości wyprawienia mnie do Jerozolimy, zaprosiła mnie w gościnę do siebie na dwa tygodnie, po tym bowiem czasie obiecał przyjechać do Odessy ojciec zmarłego, by rozporządzić, rozliczyć i zorganizować handlowe sprawy osieroconej rodziny. Tym sposobem zostałem.

Mieszkam tak tydzień, miesiąc jeden, drugi, ale zamiast przyjechać, kupiec przysłał list, w którym powiadał, że ze względu na okoliczności nie może do nich przyjechać i radził, by rozliczeń dokonali oficjaliści, a oni wszyscy by, nie zwlekając, wyjeżdżali do niego, do Irkucka. Zaczęły się przygotowania do podróży, krzątania, a ponieważ zauważyłem, że nie mają dla mnie czasu, to podziękowawszy za gościnność i pożegnawszy się, zacząłem znów moją wędrówkę po Rosji.

Myślałem, oj, myślałem: dokądże teraz pójdę? Wreszcie uchwyciłem się myśli, by najpierw pójść do Kijowa, bo nie byłem tam już wiele lat. Powędrowałem...

Oczywiście, bolałem nad tym, że nie spełniło się moje pragnienie dotarcia do Jerozolimy, ale przecież nie nastąpiło to bez Bożego zamysłu, myślałem sobie i uspokojałem się nadzieją, że Bóg miłujący człowieka przyjmie ten mój zamiar za sam czyn i w tym pełnym ubóstwa wędrowaniu nie pozostawi mnie bez pouczenia i duchowego pożytku...

Tak też się stało, spotykałem bowiem ludzi, którzy objawili mi wiele rzeczy, których dotąd nie znałem, i oświecali moją ciemną duszę niosąc jej ratunek. Gdybym nie wyruszył w tę drogę zmuszony koniecznością, nigdy nie napotkałbym tych dobroczyńców mojej duszy.

Tak to wędrowałem, w ciągu dnia modliłem się, a wieczorami, zatrzymując się na nocleg, czytałem moje Dobrotolubije ku pokrzepieniu i pobudzeniu mojej duszy do walki z niewidzialnymi wrogami zbawienia.

Wreszcie odszedłszy od Odessy jakieś siedemdziesiąt wiorst, zobaczyłem coś wspaniałego: wielki tabor z towarem, ze trzydzieści wozów, i dopędziłem go. Jakiś woźnica jako przewodnik, szedł przy swoim koniu na przedzie, a pozostali, gromadą szli nie opodal. Droga biegła obok stawu, przez który przepływała woda; pokruszony wiosenny lód wirował niesiony przez nią ze straszliwym łoskotem. Idący przodem młody woźnica zatrzymał nagle konia, a zaraz musiał się zatrzymać cały tabor. Pozostali woźnice podbiegli, patrzą, a tu ten, co się zatrzymał, zaczyna ściągać ubranie. Pytają go, dlaczego to robi, a on powiada, że ma ochotę wykąpać się w stawie. Woźnice byli zdziwieni, jeden z nich zaczął się naśmiewać, inny zaklął, wyzywając go od głupców, a jego rodzony, starszy brat zaczął go powstrzymywać i nakłaniać, by jechał dalej. Ten jednak bronił się i w żaden sposób nie chciał posłuchać. Niektórzy spośród młodych woźniców zaczęli dla żartu czerpać wodę ze stawu wiaderkami do pojenia koni i lać ją na amatora kąpieli, jeden na głowę, inny za kołnierz; wołali: No, już my cię wykąpiemy. Jak tylko poczuł wodę, krzyknął: Och, jak mi dobrze i siadł na ziemi; lali na niego wodę dalej, a ten zaraz całkiem się położył i spokojnie umarł. Wszyscy się przestraszyli, nie rozumiejąc, czemu się to stało. Starsi woźnice, zmartwieni, mówili, że trzeba o tym zawiadomić sąd, inni dowodzili, że widać od urodzenia taka śmierć była mu pisana.

Postałem tam z nimi godzinkę i poszedłem dalej. Po przejściu jakichś pięciu wiorst zobaczyłem wieś, przez którą biegła szeroka droga. Zaszedłszy do wsi spotkałem staruszką kapłana idącego ulicą. Pomyślałem, że warto opowiedzieć mu o tym, co widziałem, i usłyszeć, co o tym sądzi. Kapłan zaprosił mnie do domu. Opowiedziałem mu to, co widziałem, i poprosiłem, by wyjaśnił mi przyczynę wypadku.

- Nic ci nie mogę na to odpowiedzieć, drogi bracie, oprócz tego, że wiele jest w naturze rzeczy cudownych i niezrozumiałych dla naszego umysłu. Myślę, że Bóg tak to ustanowił, by wyraźniej ukazać człowiekowi swe rządy i opatrność w przyrodzie: poprzez nadzwyczajne i bezpośrednie zmiany jej praw w pewnych przypadkach... Mnie kiedyś też zdarzyło się być świadkiem podobnego wydarzenia: niedaleko od naszej wsi jest wyjątkowo głęboki, urwisty parów, szeroki nie jest, ale głęboki na dziesięć sążni [42], albo więcej, aż strach patrzeć na jego dno. Dla pieszych zbudowali przezeń mostek. Chłop z mojej parafii, posiadający rodzinę i żyjący do tej pory porządnie, nagle, bez powodu, poczuł nieprzepartą chęć rzucenia się z mostka do tego głębokiego rowu. Przez cały tydzień zmagał się z tą myślą i chęcią, wreszcie, nie mogąc już wytrzymać tego silnego przymusu, wstał rankiem, wyszedł szybko i skoczył do rowu. Wkrótce ktoś usłyszał jęki, z trudem go wyciągnęli, miał połamane nogi. Kiedy pytali, dlaczego skoczył, odpowiadał, że choć teraz odczuwa silne bóle, to jednak w duszy jest spokojny, bo spełnił to swoje nieprzeparte pragnienie, które przez cały tydzień tak go pociągało, że życie gotów był oddać, byleby tylko je spełnić. Ponad rok leżał w miejskim szpitalu, odwiedzałem go nierzadko, widywałem przy nim lekarzy i chciałem, tak jak ty, usłyszeć coś od nich o przyczynie tego wypadku. Jednogłośnie odpowiedzieli, że był to "szał", ale gdy poprosiłem, by mi naukowo wyjaśnili, co to takiego i dlaczego przytrafia się człowiekowi, nie powiedzieli mi nic więcej poza tym, że to tajemnica przyrody, jeszcze przez naukę nie odkryta... Wtedy powiedziałem im, że gdyby zwracać się do Boga w modlitwie z prośbą, by tę tajemnicę objawił dobrym ludziom, to wtedy owa, nieuleczalna według nich choroba nie dosięgnęłaby człowieka. Doprawdy wiele jest w naszym człowieczym życiu przypadków, których nijak nie daje się jasno zrozumieć...

Rozmawialiśmy tak, a tu już pociemniało i zostałem na nocleg. Rankiem naczelnik policji przysłał pisarza, żeby pozwolili pochować zmarłego na cmentarzu; lekarz podczas sekcji nie znalazł żadnych oznak pomieszczenia zmysłów i śmierć przypisał nagłemu udarowi.

- No i popatrz - powiedział kapłan - nawet medycyna nie mogła określić przyczyny tego niepohamowanego pociągu do wody.

Pożegnałem się z kapłanem i powędrowałem dalej. Podróżując tak przez kilka dni, dosyć znużony, doszedłem do dużego kupieckiego miasteczka. Nazywało się Biała Cerkiew. Ponieważ wieczór już się zbliżał, zacząłem szukać noclegu. Na targowisku trafiłem na człowieka wyglądającego też na wędrowca; rozpytywałem po sklepikach o dom jakiegoś tam mieszczanina. Zobaczywszy mnie podszedł i mówi - Widać, że i ty jesteś pielgrzymem, pójdziemy razem, znajdziemy tutejszego mieszczanina, nazywa się Jewreinow. To dobry chrześcijanin, prowadzi bogaty zajazd, lubi tam gościć pielgrzymów, mam to zapisane. - Zgodziłem się z radością i wkrótce odnaleźliśmy

jego mieszkanie. Wprawdzie nie zastaliśmy samego gospodarza domu, ale jego żona, dobra, starsza już kobieta, mile nas powitała i zaprowadziła na poddasze, byśmy odpoczęli w osobno położonym pokoiku z okienkiem. Ulokowaliśmy się tam i trochę odpoczęliśmy. Przyszedł gospodarz i zaprosił nas na kolację. Jedząc zaczęliśmy rozmawiać: kto, skąd, i tak doszliśmy do tego, dlaczego on nazywa się Jewreinow.

- Opowiem wam o tym, to niezwykła historia - odpowiedział i zaczął swą opowieść. - Pomyślcie tylko, mój ojciec był Żydem, urodził się w Szkłowie i nie znosił chrześcijan. Od młodych lat szykował się na rabina i pilnie studiował wszystkie europejskie plotki mające chrześcijaństwo ośmieszyć. Zdarzyło mu się kiedyś, że

przechodził przez chrześcijański cmentarz. Zobaczył tam czaszkę jakiegos człowieka, miała ona jeszcze obie szczęki (a w nich szpetne zęby), pewnie wywlekli ją przy okazji kopania nowego grobu. W swojej zawziętości zaczął się nad czaszką znęcać, pluł na nią, wymyślał jej, deptał, a że jeszcze mu to nie wystarczało, wsadził ją na kij, tak jak to się robi z kośćmi zwierząt dla odstraszenia drapieżnych ptaków. Drwił tak, drwił, aż nasycił się wreszcie i poszedł do swego domu. Następnego nocy, akurat zdążył zasnąć, stał przed nim nagle jakiś nieznajomy i zaczepia go z wyrzutem, mówiąc Jak śmiałeś tak sponiewierać śmiertelne szczątki moich kości? Jestem chrześcijaninem, a ty - wrogiem Chrystusa! - Po kilka razy w ciągu nocy powtarzało się to widzenie, pozbawiając go snu i spokoju. Potem nawet w ciągu dnia przemykała mu przed oczami zjawia i słyszał echo słów pełnych wyrzutu. Z czasem widzenia zdarzały mu się coraz częściej, aż wreszcie, czując znużenie, lęk i utratę sił, udał się do swoich rabinów. Odmawiali nad nim modlitwy i dokonywali egzorcyzmów, ale widzenia nie tylko nie ustawały, ale były coraz częstsze i gwałtowniejsze.

A ponieważ jego przypadek stał się głośny, to dowiedział się o tym wszystkim chrześcijanin, znany mu, bo spotykali się przy interesach. Zaczął mu doradzać, by przyjął wiarę chrześcijańską, przekonując go, że nic innego nie wyzwoli go od niepokojących wizji. Żyd ów nie miał na to najmniejszej ochoty, jednak dał taką odpowiedź - Zrobię, co chcesz, byle tylko uwolnić się od tych dręczących mnie i nieznośnych widziadeł. - Chrześcijanin ucieszył się, namówił go, by przedstawił prośbę o chrzest i włączenie do Kościoła miejscowemu biskupowi.

Prośbę napisali i Żyd, choć niechętnie, podpisał ją. Jak tylko to uczynił, widziadła znikły i nigdy już go nie dręczyły. Ucieszył się tym bardzo i całkiem już uspokojony poczuł tak płomienną wiarę w Jezusa Chrystusa, że natychmiast udał się do biskupa, opowiedział o wszystkim i wyraził gorące pragnienie przyjęcia chrztu. Pilnie, szybko i skutecznie przestudiował dogmaty wiary chrześcijańskiej, ochrzcił się i wyjechał, by zamieszkać akurat tu; ożenił się z moją matką, dobrą chrześcijanką i wiódł zadowolony życie bogobojne. Wobec ubogich był szczodry, czego nauczył także mnie, a przed śmiercią zostawił mi nakaz bycia szczodrym i błogosławieństwo. Oto dlaczego nazywam się Jewreinow [43].

Ze złością i wzruszeniem wysłuchałem tej opowieści i pomyślałem sobie: Mój Boże! Jakże miłosierny jest nasz Pan, Jezus Chrystus i jak wielka jest Jego miłość! Jakże różnymi sposobami pociąga on ku sobie grzeszników i z jaką mądrością obraca drobne przypadki ku kierowaniu sprawami wielkimi! Kto mógł przewidzieć, że swawolenie z martwymi kośćmi posłuży prawdziwemu poznaniu Jezusa Chrystusa i skieruje ku pobożnemu życiu.

Po kolacji, podziękowawszy Bogu i gospodarzowi, poszliśmy na spoczynek do naszej izdebki. Spać nam się jeszcze nie chciało i zaczęliśmy z moim towarzyszem rozmawiać. Wyjawił mi, że jest kupcem z Mohylewa, że dwa lata odbywał nowicjat w Besarabii w jednym z tamtejszych monasterów, miał jednak tylko paszport tymczasowy i teraz wraca do ojczyzny starać się w zrzeczeniu kupców o wieczyste zwolnienie, by zostać mnichem. Wychwalał przede mną tamtejsze monasteria, ich regułę i zwyczaje, a także surowe życie licznych bogobojnych starców tam zamieszkujących; zapewniał, że monasteria Besarabii w porównaniu z rosyjskimi, to jak niebo i ziemia. Namawiał i mnie, by ruszyć w tamte strony. W czasie naszej rozmowy przyprowadzono na nocleg jeszcze jednego. Był to jakiś podoficer, czasowo zwolniony z armii, udawał się na urlop do domu. Widzieliśmy, że był bardzo znużony drogą. Pomodliliśmy się razem i położyliśmy się spać. Przebudziwszy się rankiem, zaczęliśmy wybierać się w drogę. Właśnie mieliśmy pójść podziękować gospodarzowi, gdy usłyszeliśmy dzwon na jutrznię. Zaczęliśmy się z kupcem zastanawiać: jakże to, słysząc dzwon, pójdziemy i nie wstąpimy do Bożej cerkwi? Już lepiej wysłuchać jutrzni, pomodlić się w świątyni, zaraz będzie weselej iść. Tak postanowiliśmy i jeszcze zaprosiliśmy podoficera. Ten mówi - Cóż to za modlitwy w drodze i coż to za korzyść dla Boga z naszego przebywania w cerkwi? Zajdziemy do domu, to się pomodlimy! Idźcie sobie, gdzie chcecie, ja nie pójdę. Przez ten czas, co wy przestoicie na jutrzni, ja przejdę już pięć wiorst, a w domu chciałbym być jak najszybciej... Kupiec odpowiedział mu na to - Uważaj, bracie, nie zgadniesz z góry, jakie są Boże zamiary!

Na tym stanęło: my poszliśmy do cerkwi, a podoficer ruszył w drogę. Wysłuchawszy jutrzni (zaraz była też liturgia) wróciliśmy do naszej izdebki i zaczęliśmy szykować się do drogi. Patrzymy, a tu gospodyni przynosi nam samowar i mówi Dokądże to? Napijcie się herbaty, zjedzcie z nami obiad, przecież was głodnych nie puścimy. Tym sposobem zostaliśmy. Nie minęło nawet pół godziny tego naszego siedzenia przy samowarze, gdy wbiega do nas podoficer, cały zdyszany.

- Przychodzę do was ze smutkiem i z radością. - Co się stało? - zapytaliśmy.

- Oto posłuchajcie! Jak tylko się z wami pożegnałem, przyszło mi do głowy zajść do karczmy, zmienić na drobne banknot i wypić kieliszek, żeby mi się lepiej szło. Poszedłem tam, zmieniłem pieniądze i jak sokół ruszyłem w drogę. Przeszedłem już ze trzy wiorsty, gdy zachciało mi się przeliczyć pieniądze, czy dobrze mi je dał karczmarz. Siadłem sobie przy drodze, wyjąłem portfel, przeliczyłem, wszystko się zgadzało. Sięgam po paszport, który tam zawsze był, a tu tylko zapiski i pieniądze. Przestraszyłem się tak, że mało nie straciłem głowy, ale zaraz się połapałem, w czym rzecz: oczywiście zgubiłem go w karczmie przy wymianie pieniędzy. Trzeba tam wracać. Biegnę, biegnę, a tu strach znów mnie bierze: a jak tam go nie będzie? To dopiero będzie bieda! Przybiegam, pytam karczmarza, a ten powiada - Nie widziałem. - Znowu ogarnął mnie smutek. Przyjdzie mi szukać, kręcić się po tych miejscach, gdzie bywałem, po których chodziłem. I oto, co się stało? Znalazłem paszport, na swoje szczęście: złożony poniewierał się wśród słomy i brudów na podłodze, cały w błocie. Dzięki

Bogu! Ucieszyłem się, jakby mi górę z ramion zdjęli! Wprawdzie za niechlujny wygląd i to wybrudzenie błotem przejadą mi się po zębach, ale to nic, przynajmniej w domu i po powrocie będę się mógł pokazać na oczy. A do was zaszedłem, by opowiedzieć o wszystkim, ale też poprosić o trochę słoniny, bo gdy biegłem pełen strachu, to obtarłem sobie nogę do żywego mięsa i teraz chcę ranę opatrzeć, bo wprost nie mogę chodzić.

- Tak to bywa, bracie! Masz to dlatego, że nas nie posłuchałeś i nie poszedłeś się pomodlić - zaczął kupiec. - Chciałeś być przed nami daleko, a wróciłeś tu, w dodatku kulawy. Mówiłem ci, nie myśl z góry, co zrobisz, i miałem rację! Nie dość, że nie poszedłeś do cerkwi, to jeszcze mówisz: Cóż to za korzyść dla Boga z naszej modlitwy. Tak nie można, bracie... Pewnie, że Bóg nie potrzebuje naszej, grzeszników, modlitwy, ale kocha nas tak, że podoba Mu się, gdy się modlimy. I lubi nie tylko świętą modlitwę, do której pobudza nas sam Duch Święty, której Bóg wymaga od nas nakazując: "Wytrwajcie we Mnie, a Ja [będę trwał] w was" (J 15,4), ale w Jego oczach cenna jest każda, wydawałoby się najmniejsza rzecz spełniona dla Niego, każdy zamiar, chęć, nawet myśl ku Jego chwale, a naszemu zbawieniu. Za to wszystko bezgraniczne Boże miłosierdzie szczerze wynagradza. Boża miłość odplaca dobrodziejstwami tysiącokrotnie większymi niż na to zasługują nasze ludzkie czyny; uczynisz coś dla Boga za grosz, a On ci odplaca czystym złotem. Wystarczy, że tylko powźmiesz zamiar powrotu do Ojca, a On już ci wychodzi na spotkanie. Krótko i oschle powiesz: Przyjmij mnie, zmiłuj się nade mną, a On już cię obejmuje i całuje. Oto jak wielka jest miłość Niebieskiego Ojca do nas niegodnych! I dlatego cieszy Go każdy, nawet najmniejszy czyn wiodący ku zbawieniu. Ty myślisz sobie: jaka z tego chwała dla Boga, a dla ciebie korzyść, że się trochę pomodlisz, a potem robisz swoje; albo że spełnisz jakiś mały dobry czyn, na przykład odmówisz jakąś modlitwę, zrobisz pięć czy dziesięć pokłonów, szczerze sobie westchniesz i wezwiesz imienia Jezusa Chrystusa; albo, że przemknie ci jakaś dobra myśl, zdecydujesz się przeczytać coś pożytecznego dla duszy, powstrzymasz się od jakiegoś kłaska, zniesiesz w milczeniu jakąś małą przykrość... Wszystko to wydaje ci się zbyt małe i bez znaczenia wobec sprawy twego zbawienia, ale tak nie jest! Żaden z tych małych czynów nie przepada, dostrzega je wszechwidzące Boże oko i każdy z nich otrzyma stokrotną nagrodę nie tylko w wieczności, ale już w tym życiu. Potwierdza to św. Jan Złotousty: żadne dobro, choćby najmniejsze, mówi, nie będzie zaniedbane przez sprawiedliwego Sędziego. Jeśli grzechy będą badane z taką dokładnością, że odpowiemy nawet za nasze słowa, pragnienia i zamysły, to jakże będzie inaczej z czynami dobrymi, nawet najmniejszymi? Będą policzone ze szczególną dokładnością i staną się dla nas tytułem zasługi przed obliczem przepelnionego miłością Sędziego.

Jako przykład dam ci coś, co sam widziałem w zeszłym roku. W jednym z monasterów Besarabii, gdzie przebywałem, żył przykładnie mnich, starzec. Kiedyś naszła nań pokusa: strasznie zachciało mu się suszonej ryby, a że w monasterze jej nie było, pomyślał, że pójdzie na targ i kupi. Długo walczył z tą myślą, rozważał, że mnich winien zadowalać się tym, co jedzą wszyscy bracia, że powinien ze wszystkich sił unikać pożądlivosti, że nawet na targu, pośród tłumu, czyha wiele pokus i nie przystoi mu tam bywać. W końcu wraże podszepty wzięły górę nad rozsądkiem i oddawszy się samowoli zdecydował się pójść po rybę. Wyszedł z monasteru i idąc już ulicami miasta zauważył, że w rękę nie ma różańca. Zaczął myśleć: Jakże tak pójdę, jak wojownik bez miecza? Jest to nieprzyzwoicie i ludzie żyjący pośród świata będą mnie osądzać i gorszyć się, widząc mnicha bez różańca. Już chciał wracać, gdy wtem znalazł różaniec w kieszeni. Wyjął, przeżegnał się, nałożył na dłoń i spokojnie poszedł. Podchodząc do targu zobaczył przy sklepikach konia zaprzęgniętego do wielkiego wozu pełnego ogromnych kadzi. Nagle koń czegoś się wystraszył i ruszył z całych sił, wałąc kopytami. Wpadł na mnicha, uderzył go w ramię, przewrócił na ziemię, ale potłukł nie bardzo. W chwilę potem, dwa kroki od niego, wóz się wywrócił i rozwalił w kawałki. Mnich zerwał się, oczywiście wystraszony, ale i zdziwiony, że Bóg uratował mu życie, bo wystarczyło, żeby wóz wywrócił się sekundkę wcześniej, a z niego zostałyby też tylko kawałki. Nie namyślając się już dalej kupił rybę, wrócił, podjadł sobie, pomodlił się i położył się spać. Był już w północy, gdy zjawił się przed nim jakiś nieznanemu mu dostojny starzec i powiada - Słuchaj, jestem patronem tego monasteru i chcę cię pouczyć, byś zrozumiał i zapamiętał lekcję, którą dostałeś. Popatrz: twoje słabe zmaganie z chęcią nasycenia zmysłów, lenistwo w poznawaniu siebie i w samowyrzeczeniu, pozwoliły wrogowi przystąpić do ciebie i zgotował ci wypadek, który widziałeś na własne oczy. Twój Anioł Stróż przewidział to, podsunął ci myśl o modlitwie, o różańcu, a ponieważ poddałeś się jej, byłeś posłuszny i uczyniłeś, co należało, to to uratowało cię od śmierci. Widzisz teraz, jak Bóg kocha człowieka? Jak szczerze mu odplaca za najmniejsze nawet zwrócenie się ku Niemu? Powiedziawszy to starzec szybko wyszedł z celi, a mnich pokłonił mu się do stóp i tak się obudził, ujrzawszy się nie w łożu, a na kolanach przy progu celi. Całe to swoje widzenie opowiedział zaraz wielu osobom, w tym także i mnie, by służyło ku pożytkowi duszy.

Doprawdy bezgraniczna jest miłość Boga ku nam, grzesznikom! Czyż to nie dziwne, że za czyn tak mały, jak wyjęcie różańca z kieszeni, nałożenie go na dłoń i wezwanie imienia Bożego, za coś tak małego człowiek miał darowane życie? Tak to na wadze ludzkiego losu krótka chwila wzywania Jezusa Chrystusa przeważała liczne godziny stracone na lenistwie... Rzeczywiście, za każdy grosz odplata była w złocie... Zobacz więc, bracie, jak silna jest modlitwa i jak pełne mocy jest imię Jezusa Chrystusa, którego wzywamy! Święty Jan z Karpatos w księdze Dobrotolubija mówi, że gdy podczas Jezusowej modlitwy wzywamy imienia Jezusa mówiąc: "zmiłuj się nade mną, grzesznikiem", to na każdą taką prośbę tajemny głos Boga odpowiada: "dziecię moje, twoje grzechy są ci odpuszczone". Dodaje też, że w czasie, gdy się modlimy, nie różnimy się niczym od świętych, wielbnych ojców i męczenników, bo, jak mówi św. Jan Złotousty, "modlitwa, choćby zanoszona przez nas,

przepelnionych grzechami, natychmiast nas oyczyszca". Wielkie jest wobec nas miłosierdzie Boga, a my, grzeszni i niedbali, nie chcemy nawet godzinki oddać z wdzięczności, odsuwamy czas modlitwy, która jest przecież najważniejsza, by oddać się życiowym troskom i kłopotom, zapominając o Bogu i swoim obowiązku! W ten sposób nierzadko wpadamy w tarapaty, narażeni na ataki, ale i to wszystko w pełnym miłości zamysle Bożym służy ku oświeceniu nas i nawróceniu ku Bogu.

Kupiec skończył rozmowę z podoficerem, a ja powiedziałem - Cóż, czcigodny, ponieważ napełniłeś moją duszę rozkoszą, to pokłonię ci się do stóp. Usłyszawszy to powiada - Widać jesteś amatorem duchowych opowieści? Poczekaj, zaraz przeczytam ci coś podobnego do tego, co opowiadałem. Mam tu książeczkę, dobrą na podróż, nazywa się Agapiusz albo Ratunek grzeszników, jest w niej opowiedzianych wiele cudownych wydarzeń.

Wyjął z kieszeni książkę i zaczął czytać przepiękną opowieść o pewnym świątobliwym człowieku imieniem Agatonik. Od dzieciństwa został on przyuczony przez pobożnych rodziców do codziennego, i to niezawodnego, odmawiania przed ikoną Bożej Matki modlitwy "Bogurodzico, Dziewico, raduj się" i innych. Czynił to każdego dnia, potem jednak, doszedłszy do pełnoletniości, zaczął żyć po swojemu i wpadłszy w wir życiowych trosk i zmartwień, rzadko już odmawiał wspomnianą modlitwę, a w końcu całkiem ją porzucił. Pewnego wieczoru przyjął na nocleg pielgrzyma. Ten wyznał, że jest pustelnikiem z Tebaidy. Miał on widzenie, w którym otrzymał nakaz pójścia do Agatonika i wytknięcia mu tego, że porzucił modlitwę do Matki Bożej. Agatonik jako przyczynę podał mu to, że po wielu latach odmawiania jej, nie widział żadnej korzyści. Wtedy pustelnik powiedział - Przypomnij sobie, ślepy i niewdzięczny człowieku, ile razy pomogła ci ta modlitwa i uchroniła cię od nieszczęścia! Przypomnij sobie, że jako wyrostek cudem się nie utopiłeś. A pamiętasz, jak zaraza wielu twoich sąsiadów zaprowadziła do grobu, a ty pozostałeś żywy? A o tym, jak jechałeś z pewnym człowiekiem i spadłeś razem z nim z bryczki? On złamał nogę, a tobie nic się nie stało. A czyż nie wiesz, że twój znajomy, dawniej młody, zdrowy człowiek, leży teraz wyczerpany, a ty jesteś zdrow i nie cierpisz? - Wiele jeszcze spraw przypomniiał Agatonikowi i na koniec powiedział - Wiedz, że wszystkie te przypadki ominęły cię dzięki opiece Świętej Bożej Rodzicielki i to za tę krótką modlitwę, którą każdego dnia pobudzałeś swą duszę do zjednoczenia z Bogiem. Uważaj zatem, czyn to nadal i nie przestawaj tą modlitwą wysławiać Królowej Niebios, która cię nie opuściła aż do tej chwili.

Po skończeniu lektury zaproszono nas na obiad, a my, pokrzepiwszy się i podziękowawszy gospodarzowi, ruszyliśmy w drogę, każdy w swoją stronę, gdzie kto chciał.

Szedłem potem z pięć dni, ciesząc się wspomnianiem opowieści, które usłyszałem od bogobojnego kupca z Białej Cerkwi. Potem, gdy już zacząłem zbliżać się do Kijowa, poczułem nagle, bez żadnej przyczyny, jakąś ociężałość, osłabienie, naszły mnie jakieś ponure myśli. Modlitwa szła mi z trudem, ogarnęło mnie rozleniwienie. Żeby trochę odpocząć, gdy tylko dostrzegłem przy drodze las i gęste zarośla, poszedłem usiąść sobie pod krzakiem i poczytać Dobrotolubije, chciałem trochę pokrzepić osłabłą duszę i poskromić moją małoduszność. Znalazłem zaciszne miejsce i zacząłem czytać wielebnego Kasjana Rzymianina [44], w czwartej części Dobrotolubija, o ośmiu rodzajach myśli. Czytałem tak z radością jakieś pół godziny, gdy nieoczekiwanie, jakieś pięćdziesiąt sążni ode mnie, w głębi lasu, dostrzegłem klęczącego nieruchomo człowieka. Ucieszyłem się tym, pomyślałem bowiem, że pewnie się modli, i znowu zacząłem czytać. Poczytałem tak z godzinkę, albo i więcej, patrzę znowu, a ten klęczy wciąż nieruchomo. Wzruszyło mnie to bardzo i pomyślałem sobie: oto jacy bywają świątobliwi Boży słudzy. Kiedy tak rozmyślałem, człowiek ten upadł nagle na ziemię i leżał bez ruchu. To już mnie zdziwiło, a ponieważ nie widziałem jego twarzy, bo klęczał odwrócony do mnie tyłem, wzięła mnie ciekawość, by pójść i zobaczyć, kim jest. Podeszedłem i zastałem go w lekkim śnie. Był to chłopak ze wsi, miał jakieś dwadzieścia pięć lat i jasną, miłą, ale bladą twarz. Ubrany był w chłopską kapotę, przepasaną łykiem, więcej nie miał nic, ani torby, ani nawet kija. Postyszał szelest moich kroków, przebudził się i wstał. Zapytałem go, kim jest. Powiedział, że jest chłopem ze smoleńskiej guberni, idzie zaś do Kijowa.

- Dokądże tak wędrujesz? - zapytałem.

- Sam nie wiem - odpowiedział - dokąd Bóg zaprowadzi. - Długo już tak poza zagrodą?

- Tak, już piąty rok.

- Gdzie bywałeś w tym czasie?

- Chodziłem po różnych świętych miejscach, a to po monasterach, a to po cerkwiach, bo nie było gdzie mieszkać. Jestem sierotą, bez rodziny, w dodatku kuleję na jedną nogę i tak tułam się po tym jasnym świecie!

- Widać jakiś bogobojny człowiek nauczył cię chodzić, nie tak zwyczajnie, po ludziach, ale po świętych miejscach - powiedziałem.

- Widzisz, to było tak - opowiedział. - Od małego, jako sierota, chodziłem z pastuchami z naszej wsi i przez dziesięć lat szło mi dobrze. W końcu pewnego razu po przygnaniu stada do domu nie zauważyłem, że brakuje najpiękniejszej owcy starosty. A nasz starosta był chłopem złym, nieludzkim. Wrócił do domu wieczorem, zobaczył, że nie ma jego owcy i zaraz przybiegł do mnie. Zaczął wymyślać i grozić, chciał, bym mu zaraz owcę odszukał. Zapowiadał - Na śmierć cię zatłukę, ręce i nogi połamię. - Znając jego złość poszedłem szukać owcy tam, gdzie za dnia pasalem stado. Szukałem jej, szukałem, zeszło mi na to pół nocy, ale nigdzie ani widu, ani słyhu. Noc była ciemna, bo zbliżała się jesień. Byłem już w głębi lasu, a lasy w naszej guberni nieprzebyte, gdy nagle zerwała się burta. Dosłownie wszystkie drzewa przygięto! Gdzieś daleko zawyły wilki, a mnie strach ogarnął taki, że włosy stanęły mi dęba. Z każdą chwilą było coraz gorzej. Ze strachu i grozy wprost bierz i

padaj na ziemię. Runąłem więc na kolana, przeżegnałem się i z całych sił zawołałem: "Panie, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną!" Ledwie zdążyłem to powiedzieć, a zaraz zrobiło mi się lekko, jakbym nie miał żadnego powodu do smutku. Wróciła mi odwaga, a w sercu poczułem się tak dobrze, jakbym po niebie fruwał... Ucieszyło mnie to i dalejże, zacząłem bez przerwy powtarzać tę modlitwę. Nie pamiętam już teraz, jak długo trwała burza i jak minęła ta noc. Patrę, a to już biały dzień, a ja wciąż klęczę na tym samym miejscu. Wstaję spokojnie, widzę, że owcy nie znajdę, więc poszedłem do domu. Na sercu tak mi było lekko i wciąż mi się chciało odmawiać ową modlitwę. Przyszedłem do wsi i jak tylko starosta zobaczył, że owcy nie przyprowadziłem, zbił mnie tak, że byłem na pół martwy; właśnie wtedy wywichnął mi nogę. Po tym pobiciu sześć tygodni leżałem prawie bez ruchu. Wiedziałem tylko, że odmawiam tę modlitwę. To ona była dla mnie pociechą. Później troszeczkę mi się polepszyło i zacząłem chodzić po świecie. Smutno mi jednak było ciągle przepychać się wśród ludzi, a i grzechu nie brakowało, poszedłem więc na wędrowną po świętych miejscach i po lasach; chodzę tak już piąty rok.

Słuchałem tego i cieszyłem się w duszy, że Pan pozwolił mi spotkać człowieka tak bogobojnego. Zapytałem go - A teraz często zajmujesz się tą modlitwą?

- Jakże mi bez tego żyć? - odpowiedział. - Jak tylko sobie przypomnę, co czułem wtedy w lesie, to zaraz jakby ktoś popychał mnie na kolana, i zaczynam się modlić... Nie wiem, potrzebna ta moja, grzesznika, modlitwa, czy nie, bo nieraz czuję wielką radość, gdy się pomodlę, sam nie wiem, dlaczego. A czasem mi lekko i taki we mnie spokój, pełen radości. Bywa też, że przychodzi ociążałość, smutek i przygnębienie. Mimo wszystko zawsze mam wielką ochotę się pomodlić.

- Nie dręcz się tym, miły bracie. Mówią święci ojcowie, że w czasie modlitwy, co by się nie działo, wszystko jest przed Bogiem dobre i wszystko służy zbawieniu, czy to lekkość, czy ociążałość. Żadna modlitwa, ani dobra, ani kiepska, nie zginie przed obliczem Boga. Uczucie lekkości, ciepła czy słodczy pokazuje tylko, że Bóg nagradza za ten czyn, a ociążałość, ciemność i oschłość oznaczają, że Bóg oczyszcza i pokrzepia duszę, i poprzez to pożyteczne cierpienie wiedzie ją ku zbawieniu, osuwając z pokorą, by zasmakowała przyszłej błogosławionej słodczy. Na dowód tego przeczytam ci, co pisze św. Jan Klimak.

Odnalazłem potrzebny rozdział i przeczytałem mu. Wysłuchał z uwagą i zadowoleniem i bardzo mi dziękował. Na tym rozstaliśmy się, on powędrował w głąb lasu, a ja wyszedłem na drogę, ruszając dalej i dziękując Bogu za to, że obdarzył mnie, grzesznika, takim pouczeniem.

Następnego dnia, z Bożą pomocą, dotarłem do Kijowa. Pierwszym, najważniejszym moim pragnieniem było odbyć rekolekcje, wypowiedać się i przystąpić do świętych Chrystusowych sakramentów w tym błogosławionym miejscu i dlatego zatrzymałem się jak najbliżej Bożych błogosławionych, żeby łatwiej mi było chodzić do Bożej świątyni. Przyjął mnie do swej chaty dobry, stary Kozak, a ponieważ mieszkał samotnie, było mi u niego spokojnie i cicho. W ciągu tygodnia, gdy szykowałem się do spowiedzi, przyszła mi do głowy myśl, by wypowiedać się jak najdokładniej. Zacząłem wspominać i przyglądać się moim grzechom, jeszcze od czasów młodości, i to jak najszczegółowiej, by tego wszystkiego nie zapomnieć. Co sobie tylko przypominałem, zacząłem zapisywać w najdrobniejszych szczegółach, i tak zapisałem wielki arkusz. Dowiedziałem się, że siedem wiorst od Kijowa, w pustelni kitajewskiej, żyje spowiednik, bardzo mądry i rozsądny, asceta. Kto tylko przyjdzie do niego otworzyć swą duszę, zaraz ogarnia go uczucie wzruszenia i wraca ze zbawczym pouczeniem, lekki na duchu. Bardzo mnie to ucieszyło i zaraz do niego poszedłem. Poradziłem się go, porozmawiałem i daję mu swój arkusz z notatkami, żeby je przejrzał.

Przeczytał to i powiada - Napisałeś, miły przyjacielu, wiele rzeczy niepotrzebnych. Posłuchaj! Po pierwsze, nie należy się spowiadać z grzechów, które już wyznałeś, za które żałowałeś i które miałeś odpuszczone, chyba że się powtarzały, bo byłoby to brakiem wiary w moc sakramentu spowiedzi. Po drugie: nie należy mówić o innych osobach, mających związek z twoimi grzechami, a obwiniać tylko siebie. Po trzecie: święci ojcowie zabraniają wyznawania grzechów ze wszystkimi szczegółami, a polecają czynić to w ogólności, by poprzez szczegółowe rozpatrywanie ich nie wzbudzać pokus w sobie samym i w spowiedniku. Po czwarte: przyszedłeś żałować, a nie żałujesz tego, że nie potrafisz żałować, bo skruczę wyrażasz oziębłość i niedbałość. Po piąte: wyliczyłeś wszystkie drobiazgi, ale tego, co najważniejsze, nie zauważyłeś, nie wyjawileś bowiem grzechów najcięższych, nie uświadomiłeś ich sobie: nie zapisałeś tego, że Boga nie kochasz, bliźniego nienawidzisz, Słowu Bożemu nie wierzysz, że przepełnia cię pycha i ambicja. Te cztery grzechy zawierają w sobie całą otchłań zła i całą deprawację naszego ducha. To one są korzeniami głównymi, to z nich wyrasta cała gęstwina naszych grzechów, upadków.

Usłyszawszy to, zdziwiłem się i mówię - Jakże to, wielobny ojciec, można nie kochać Boga, Stwórcy i Obrońcy naszego! Komu mamy wierzyć, jeśli nie Bożemu słowu, wszystko w nim jest prawdziwe i święte. A każdemu bliźniemu życzę dobra, za cóż miałbym go nienawidzić? Pysnić się nie mam czym: poza moimi niezliczonymi grzechami, co mogę opowiedzieć, czym się pochwalić? A z moją biedą i chorobami, gdzie mi do pożądlivosti i rozpusty! Pewnie, gdybym był wykształcony albo bogaty, na pewno znalazłbym swą winę w tym, co powiedziałeś.

- Szkoda, mój miły, że tak mało zrozumiałeś z tego, co ci mówiłem. Żeby ci to lepiej wyjaśnić, dam ci tu parę wskazań, według których sam się zawsze spowiadam. Przeczytaj je, a zobaczysz wyraźnie dowody na to, co ci teraz mówiłem.

Spowiednik podał mi kartkę i zacząłem czytać.

Wyznanie wiodące człowieka wewnętrznego ku pokorze

Uważnie przyglądając się sobie i obserwując bieg mojego życia wewnętrznego, przekonałem się pośród doświadczeń, że Boga nie kocham, brak we mnie miłości do bliźniego, nie wierzę niczemu z dziedziny religii, a przepełniony jestem pychą i ambicją. Wszystko to rzeczywiście w sobie znajduję rozważając, jakie są moje uczucia i czyny:

1. Nie kocham Boga, bo przecież gdybym Go kochał, to wciąż bym o Nim myślał ku radości mego serca, a każda myśl o Bogu przynosiłaby mi radosną słodycz. Przeciwnie, znacznie częściej i chętniej rozmyślam o sprawach zwyczajnych, codziennych, a rozmyślanie o Bogu przynosi mi utrudzenie i oschłość. Jeślibym Boga kochał, to rozmowa z Nim poprzez modlitwę ożywiałaby mnie, napełniała słodyczą i pociągała ku stałemu z Nim obcowaniu, ale jest przeciwnie: nie tylko nie rozkoszuję się modlitwą, ale zajmując się nią odczuwam utrudzenie, zmagam się z niechęcią, osłabiam się poprzez oddawanie się lenistwu i gotów jestem z chęcią zająć się czymkolwiek błahym, byle tylko modlitwę przerwać lub całkiem jej zaprzestać. Podczas pustych zajęć czas mija mi niezauważenie, a gdy zajmuję się Bogiem, stając w Jego obecności, czuję, że każda godzina jest długa jak rok. Jeśli kochasz kogoś, to w ciągu dnia myślisz o nim nieustannie, wyobrażasz go sobie, troskasz się o niego, a podczas wszystkich zajęć umiłowany przyjaciel twój nie znika ci z myśli. A ja w ciągu dnia przecież ledwie godzinkę znajdę na to, by głęboko rozmyślać o Bogu, rozpalać się Jego miłością, a przez dwadzieścia trzy godziny ochoczo, gorliwie, składam ofiary idolom moich namiętności... Podczas rozmów o rzeczach marnych, dalekich od spraw ducha, jestem rześki, czuję zadowolenie, a podczas rozmyślenia o Bogu czuję oschłość, nudę i rozleniwienie. Nawet jeśli mimo woli ktoś pociągnie mnie ku pobożnej rozmowie, to zaraz staram się zmienić ją na rozmowę schlebiającą moim namiętnościom. Niestrudzenie ciekaw jestem nowości, rozporządzeń władz, wydarzeń politycznych, chciwie poszukuję sposobów zaspokojenia mojej ciekawości w zakresie światowej nauki, sztuki, wynalazków, a pouczenia o Prawie Pańskim, poznawaniu Boga, o religii nie robią na mnie wrażenia, nie sycą mej duszy i uważam to nie tylko za mało istotne zajęcie dla chrześcijanina, ale jakby za sprawę uboczną, nieważną, którą winienem się zajmować przecież tylko w wolnym czasie, przy okazji odpoczynku. Krótko mówiąc: jeśli miłość ku Bogu rozpoznać można po wypełnieniu Jego przykazania - Jezus mówi przecież: "Jeśli Mnie miłujecie, będziecie zachowywać moje przykazania" (J 14,15) - a ja przykazań Jego nie tylko nie przestrzegam, ale nawet mało się o nie troszczę, to istotnie należy wnioskować, że Boga nie kocham... Potwierdza to Bazyli Wielki mówiąc: "Dowodem tego, że człowiek nie kocha Boga i Jego Pomazańca (Chrystusa) jest to, że nie przestrzega Jego przykazań".

2. Nie ma we mnie miłości do bliźniego, ponieważ nie tylko nie mogę zdecydować się na oddanie życia za bliźniego (według Ewangelii), ale dla dobra bliźniego nie poniosę uszczerbku na moim dobrym imieniu, nie poświęcę mych dóbr i spokoju. Jeśli kochałbym go stosownie do nakazu Ewangelii, jak siebie samego, to jego nieszczęście dotykałoby i mnie, a jego pomyślność wprawiałaby mnie w zachwyt. A jest inaczej: z ciekawością słucham opowieści o nieszczęściach bliźnich, nie smucę się, a bywam obojętnym, lub, co gorsza, znajduję w tym jakby zadowolenie i złe postęпки mego brata rozgłaszam, potępiając je, miast spuszczać na nie zasłonę miłości. Dobrobyt, sława i szczęście mego brata nie zachwycają mnie tak jak moje, przeciwnie, jak wszystko, co mi obce, nie wywołują we mnie uczucia radości, a delikatnie pobudzają ku zawiści czy pogardzie.

3. Nie wierzę w nic z dziedziny religii, ani w nieśmiertelność, ani w Ewangelię. Jeśli wierzyłbym mocno i byłbym przekonany, że po śmierci czeka mnie życie wieczne i odpłata za ziemskie czyny, to wciąż bym o tym myślał, a sama myśl o nieśmiertelności napełniałaby mnie przerażeniem i prowadziłbym życie przybysza gotującego się wkroczyć do swej ojczyzny. Przeciwnie, nawet nie pomyślę o wieczności, a kres ziemskiego życia traktuję jako granicę mego istnienia. Skrycie tkwi we mnie myśl: kto wie, co będzie po śmierci? Jeśli nawet mówię, że wierzę w nieśmiertelność, to mówię to tylko rozumem, bo serce moje dalekie jest od pewności, o czym wyraźnie świadczą moje czyny i stała stroska o dobre urządzenie się w życiu zmysłowym. Jeśli też święta Ewangelia byłaby z wiarą przyjęta do mego serca jako Słowo Boże, to bezustannie bym się nią zajmował, zgłębiał ją, rozkoszował się i nawet spoglądałbym na nią ze czcią. Niezmierzona mądrość, dobroć i miłość, ukryte w niej wprawiałyby mnie w zachwyt, i dniem, i nocą rozkoszowałbym się zgłębianiem Prawa Bożego, syciłbym się nim jak codziennym pokarmem i sercem przykładiałbym się do pełnienia jego zasad. Nic ziemskiego nie byłoby w stanie powstrzymać mnie od tego. Jest przeciwnie: jeśli z rzadka czytam lub słucham Słowa Bożego, to albo z konieczności, albo z ciekawości, a i to bez głębokiej uwagi, czując oschłość i brak zainteresowania, jakby to była zwykła lektura. Zostaję bez żadnych owoców i chętnie zamieniłbym ją na lekturę światową, w niej znajduję bowiem więcej zadowolenia, więcej nowych zajmujących mnie spraw.

4. Przepełniony jestem pychą i zmysłową miłością własną. Potwierdzają to wszystkie moje czyny: widząc w sobie dobro, zaraz pragnę je uwidocznic albo obnoszę się z nim przed innymi, albo w mym wnętrzu zachwykam się sobą. Chociaż na zewnątrz okazuję pokorę, to jednak wszystko przypisuję swoim siłom, uważam siebie za lepszego od innych, albo przynajmniej, że nie jestem od innych gorszy. Jeśli zauważam w sobie jakąś wadę, zaraz staram się ją usprawiedliwić, ukryć ją za maską konieczności albo niewinności. Złoszczę się na tych,

który mnie nie szanują, uważam, że nie potrafiam ocenić ludzi. Chwałę się, gdy kogós obdarzę, nieudane przedsięwzięcia uważam za obraźliwe dla mnie, szemrzę, cieszę się z nieszczęść mych wrogów, a jeśli już dążę do czegoś dobrego, to mam w tym jakiś cel: pochwałę lub duchowe wyrachowanie, albo światową pociechę. Jednym słowem wciąż czynię z siebie idola, którego nieustannie otaczam czcią, szukając we wszystkim zmysłowych rozkoszy i pożywki dla mych namiętności i zachcianek, które przepelnia pożądlivość.

Na podstawie tego, co przedstawiłem, uważam się za człowieka pysznego, zmysłowego, bez wiary, nie kochającego Boga i nienawidzącego swego bliźniego. Jaki stan może być jeszcze bardziej grzeszny? Stan duchów ciemności lepszy jest od mojej sytuacji: chociaż nie kochają one Boga, człowieka nienawidzą, żyją sycąc się pychą, ale przynajmniej wierzą, wierzą i drżą. A ja? Czy może być los gorszy od tego, który jest moim udziałem? I za co może być wyrok sądu sroższy i bardziej karzący, niż za taką obojętność i lekkomyślne życie, które sobie uświadamiam!...

Przeczytałem tę kartkę daną mi przez spowiednika i przestraszyłem się. Pomyślałem sobie: Mój Boże, jakież straszne kryją się we mnie grzechy, a wcale ich do tej pory nie zauważałem! Pragnienie oczyszczenia się z nich sprawiło, że poprosiłem tego wielkiego duchownego ojca o pouczenie, w jaki sposób, po poznaniu przeze mnie przyczyny wszelkiego zła, znaleźć teraz drogę jego naprawienia. Zaczął mi więc wyjaśniać.

- Widzisz, miły bracie, przyczyną tego, że nie kochasz Boga, jest brak wiary, przyczyną braku wiary jest brak przekonania, a jego przyczyną jest z kolei zarzucenie poszukiwań światłej i prawdziwej wiedzy, zaniedbanie duchowego oświecenia. Jednym słowem: nie wierząc, nie możesz kochać, a nie będąc przekonanym, nie możesz wierzyć. Do nabycia przekonania konieczne jest pozyskanie pełnego i szczegółowego poznania przedmiotu, o który nam chodzi. Należy koniecznie, poprzez rozmyślanie, zgłębianie Słowa Bożego i obserwowanie własnych doświadczeń, wzbudzić w duszy pragnienie i pożądanie albo jak to określają inni, zdziwienie, które powoduje nienasyconą chęć bliźszego i lepszego poznania rzeczy i głębszego wnikania w ich właściwości.

Pewien duchowny pisarz wyraża to tak: "miłość - powiada - rośnie zazwyczaj dzięki poznaniu, a im jest ono głębsze i obszerniejsze, tym więcej będzie miłości i dusza tym łatwiej się rozrzewni i tym bardziej stanie się podatna na działanie Bożej miłości, kontemplując pilnie najdoskonalszą i najwspanialszą istotę Boga i Jego bezgraniczną miłość do człowieka".

- Teraz więc widzisz, że przyczyną podanych przez ciebie grzechów jest lenistwo w myśleniu o sprawach ducha, gasi ono uczucie potrzeby tej czynności. Jeśli pragniesz poznać także sposoby pokonania tego zła, to ze wszystkich twych sił staraj się o oświecenie twego ducha, a dąż do tego poprzez staranne zajmowanie się Słowem Bożym, naukami świętych ojców, ich rozmyślaniami i duchowymi radami, albo poprzez rozmowy o Chrystusie, prowadzone z ludźmi mądrymi. Miły mój bracie, ileż to nieszczęść spotyka nas dlatego, że leniwi jesteśmy w oświecaniu naszej duszy słowem prawdy, nie zgłębiamy dniem i nocą prawa Bożego i nie modlimy się o to gorliwie i uporczywie! Dlatego nasz człowiek wewnętrzny, wyczerpany głodem i chłodem, nie ma siły, by raźnie kroczyć ku zbawieniu drogą prawdy. Dlatego najukochańszy bracie, trzeba się zdecydować i, wykorzystując te sposoby, jak najczęściej napełniać swój umysł rozmyślaniem o sprawach nieba, a wtedy miłość, wylana z góry na nasze serca, rozwinie się w nas i rozpali. Będziemy jednocześnie, i to jak najczęściej modlić się, bo modlitwa jest sposobem najważniejszym i najskuteczniejszym osiągnięcia naszego odrodzenia i powodzenia. Modlić się będziemy, jak naucza święty Kościół: "Panie, spraw, bym umiłował Cię tak, jak niegdyś miłowałem grzechy moje!"

Wysłuchałem tego wszystkiego uważnie i wzruszony poprosiłem owego świętego ojca o to, by mnie wypowiedał i udzielił świętych Chrystusowych sakramentów. Rankiem, przystąpiwszy do nich, chciałem wracać do Kijowa, mając na drogę tak zbawienne dary, ale ów dobry ojciec zamierzał udać się wkrótce do Ławry [45] zostawił mnie na ten czas w swej celi pustelnika, bym bez przeszkód, pośród ciszy, mógł oddawać się modlitwie. Rzeczywiście, dni te spędziłem jakby w niebie: dzięki modlitwom mojego starca cieszyłem się, i to ja, niegodny, całkowitym spokojem. Modlitwa tak lekko i rozkosznie wylewała się w mym sercu, że w tym czasie zapominałem chyba o wszystkim, nawet o sobie, moją myślą trwałem jedynie przy Jezusie Chrystusie!

W końcu spowiednik wrócił i spytałem go o pouczenie i radę, dokąd ruszyć w moją drogę pielgrzyma. Pobłogosławił mnie tak - Idź do Poczajowa [46], pokłoń się cudownemu śladowi stopy Przczystej Bożej Rodzicielki, a ona twoje stopy skieruje na drogę pokoju. Przyjąłem więc jego radę z wiarą i po trzech dniach ruszyłem do Poczajowa.

Nie bez znużenia wędrowałem ze dwieście wiorst, bo droga biegła obok żydowskich karczm i osiedli, rzadko trafiały się zabudowania chrześcijan. W jakimś chutorze znalazłem rosyjski chrześcijański zajazd i ucieszywszy się zaszedłem doń przenocować i poprosić o trochę chleba na drogę, bo kończyły się już moje suchary. Napotkałem tam gospodarza, starca, wyglądał na zamożnego, i usłyszałem od niego, że pochodzi, jak ja, z guberni orłowskiej. Wszedłem tylko do izby, a ten zaraz - Jakiej jesteś wiary?

Odpowiedziałem, że prawosławny chrześcijanin.

- Jaki tam prawosławny! - zaśmiał się. - Prawosławie macie na języku, a zachowujecie się jak poganie. Znam ja już, bracie, tę waszą wiarę! Kusił mnie pewien uczonej pop, aż uległem i poszedłem do tej waszej cerkwi, ale po pół roku wróciłem do naszej ugody. Do tej waszej cerkwi pójść, to jedno zgorzenie: w czasie świętej liturgii

diaczek coś tam mamrocze, ciągle opuszczać nie można, śpiewacy nie lepsi niż w karczmie, ludzie też stoją, jak się da, kobiety razem z mężczyznami, w czasie liturgii rozmawiają, kręcą się na wszystkie strony, rozglądają się, to robią krok do przodu, to do tyłu, tak że nie dadzą się spokojnie pomodlić. Czy jest to zatem Boża liturgia? Toż to jeden grzech! U nas jest całkiem inaczej: zrozumiałe, bez opuszczeń, śpiew miły dla ucha, ludzie stoją spokojnie, mężczyźni osobno, kobiety osobno, wszyscy też wiedzą, gdzie i jaki pokłon oddawać według zwyczaju świętej Cerkwi. Tak, tak, przyjdiesz do nas, to zaraz czujesz, że to służba Boża, a u was nie zrozumiesz, w świątyni, czy na bazarze!

Słuchając go zrozumiałem, że jest starowiercem, ale ponieważ mówił prawdę, to nie miałem się z nim co spierać albo go nawracać. Pomyślałem sobie tylko, że nie ma co prawdziwej Cerkwi przywracać staroobrzędowców, dopóki u nas nie poprawi się cerkiewna liturgia i nie dadzą im przykładu, zwłaszcza duchowni. Staroobrzędowiec nie zna się na życiu wewnętrznym, ważne są dla niego sprawy zewnętrzne, a u nas o to nie dbają.

Chciałem sobie stamtąd pójść, byłem już w sieni, gdy nieoczekiwanie przez otwarte drzwi dostrzegłem w oddzielnej izdebce człowieka (nie wyglądał na Rosjanina) leżącego na łóżku i czytającego książkę. Kiwnął na mnie i zapytał, kim jestem. Powiedziałem mu, a on zaczyna - Posłuchaj, mój miły, nie zgodziłbyś się, choć przez tydzień, aż mi się przy Bożej pomocy poprawi, pomagać choremu? Jestem Grekiem, mnichem ze świętej Góry Atos. Byłem w Rosji, by zebrać coś na monaster, a tu, wracając już do siebie, zachorowałem. Nogi bolą mnie tak, że chodzić nie mogę, dlatego wynajęłem tu pokoik. Nie odmawiaj mi, Boży słuگو! Zapłacę ci.

- Zapłaty mi nie trzeba, będę pomagał ci tak gorliwie, jak tylko będę mógł, dla Bożego imienia. I tak przy nim zostałem. Wiele usłyszałem od niego zbawiennych dla duszy spraw. Opowiadał mi o świętej Górze Atos, o wielkich tamtejszych ascetach, o licznych pustelnikach i samotnikach. Miał ze sobą greckie wydanie Dobrotolubija i książkę Izaaka Syryjczyka. Czytaliśmy razem i porównywaliśmy słowiański przekład Paisija Wieliczkowskiego z greckim oryginałem. Mówił, że dokładniej, wierniej niż to uczynił Paisij, nie da się przetłumaczyć Dobrotolubija z greckiego na słowiański. Zauważyłem, że wciąż się modli i że doświadczony jest w wewnętrznej modlitwie serca (a mówił czysto po rosyjsku), dlatego wypytałem go o to. Opowiadał chętnie, a ja słuchałem go uważnie, i nawet sporo zapisałem z tego, co mówił. O wspaniałości i wzniosłości Jezusowej modlitwy mówił tak:

- Wzniosłość modlitwy Jezusowej ukazuje nawet sama jej forma. Składa się ta modlitwa z dwu części: w pierwszej z nich, tzn. "Panie, Jezu Chryste, Synu Boży", wprowadza umysł w historię życia Jezusa Chrystusa albo jak to powiadają święci ojcowie, streszcza w sobie całą Ewangelię; w części drugiej, tzn. "zmiłuj się nade mną, grzesznikiem", ukazuje historię naszej niemocy i grzeszności. Zwraca uwagę to, że nie można wprost znaleźć sposobu, by mądrzej, bardziej rzeczowo i jaśniej wyrazić pragnienie i prośbę duszy biednej, grzesznej i pokornej, niż w tych właśnie słowach: "zmiłuj się nade mną!" Żadne inne wyrażenie nie byłoby tak pełne i wystarczające, jak to. Jeślibyś powiedział na przykład: "Wybacz mi!", "Przebacz mi grzechy, przebacz moje nieprawości, zmaż me występki", to wszystkie te wyrażenia oznaczałyby tylko prośbę o wybawienie od kary, rodzącą się ze strachu przed nią w duszy bojaźliwej i niedbałej. Natomiast wyrażenie "zmiłuj się nade mną" ukazuje nie tylko pragnienie otrzymania wybaczenia, wynikające ze strachu, ale jest też prawdziwie krzykiem synowskiej miłości, mającej nadzieję na Boże miłosierdzie i pokornie uznającej swoją bezsilność wobec konieczności przełamania swej woli i duchowego czuwania nad sobą; jest wołaniem o zmiłowanie, to jest o łaskę okazywaną w darowaniu nam przez Boga ducha Jego mocy, ducha umacniającego nas, by oprzeć się pokusom i zwyciężać skłonność do grzechu. Podobnie jak dłużnik-żebrak, błagający litościwego wierzyciela o to, by nie tylko darował mu dług, ale poruszony jego skrajną nędzą dał mu jeszcze jałmużnę, owo głębokie wołanie: "zmiłuj się", mówi jakby: "Miłościwy Panie, wybacz mi grzechy, pomóż naprawić me życie, rozpal w mej duszy gorliwe pragnienie pełnienia twoich poleceń, stwórz miłość poprzez wybaczenie popełnionych grzechów i nawrócenie ku Tobie Jedynemu mego zagubionego umysłu, mej woli i serca".

Słuchałem tego i dziwiłem się mądrości jego mowy, dziękując za pouczenie mej grzesznej duszy, a on wyjaśnił mi jeszcze jedną rzecz, godną uwagi.

- Jeśli chcesz - powiedział - to opowiem ci o (i jakoś uczenie to nazwał; mówił, że studiował na Akademii w Atenach), czyli o rodzajach intonacji przy odmawianiu Jezusowej modlitwy.

Popatrz, często zdarzało mi się słyszeć, jak liczni bogobojni chrześcijanie odmawiają Jezusową modlitwę stosownie do nakazu płynącego ze Słowa Bożego i nauczania świętej Cerkwi, i czynią to nie tylko podczas modlitwy domowej, ale także w Bożej świątyni. Uważnie i z radością przysłuchując się temu cichemu wypowiedaniu modlitwy, można zauważyć ku pożytkowi duszy, że różna bywa nuta tego modlitewnego wołania, a mianowicie: jedni podnoszą ton przy wypowiedaniu pierwszego słowa modlitwy, to znaczy powiedziawszy "Panie", pozostałe słowa wypowiedają obniżając głos i jednostajnie. Inni zaczynają modlitwę niższym tonem, podwyższają go w środku modlitwy, to jest przy słowie "Jezu" i wykrzykują je, pozostałe natomiast słowa znowu kończą obniżając ton, tak jak zaczęli. Inni znów, zaczynając i kontynuując wypowiedanie wszystkich wcześniejszych słów modlitwy tonem niskim i jednostajnym, dopiero przy końcowym "ulituj się" podwyższają głos, jakby w uniesieniu. A niektórzy wypowiedają całą, pełną modlitwę "Fanie, Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem", podwyższając głos tylko przy wypowiedaniu słów "Synu Boży".

Teraz popatrz: modlitwa jest ta sama, prawosławni chrześcijanie wyznają tę samą wiarę, ogólne wyobrażenie o tym, że ta najważniejsza i najwznioślejsza modlitwa zawiera w sobie dwie części: wezwanie Pana Jezusa i Jego zmiłowania, znane jest wszystkim. Dlaczego zatem nie wszyscy wyrażają to jednakową intonacją, to jest sposobem wypowiedzenia modlitwy? Dlaczego zatem nie w miejscu tym samym, ale sobie wiadomym, dusza ma upodobanie i wyraża to poprzez szczególnie wysoki, napięty ton? Być może powie ktoś na to, że przyczyną jest tu przyzwyczajenie, albo przykład wzięty z innych, albo sposób rozumienia, odpowiadający poglądom każdego człowieka, czy wreszcie, że wynika to z łatwości i wygody wypowiedzenia, stosownie do zdolności w zakresie słowa mówionego... Sam myślę, że chodzi tu o coś całkiem innego. Chciałbym tu doszukać się czegoś wznioślejszego, nieznanego nie tylko dla tego, kto słucha, ale też dla tego, kto się modli; czy nie ma tu tajemniczego poruszenia Ducha Świętego, który wstawia się wzdychaniem niewymownym (Rz 8,26) w tych, co nie wiedzą, jak i o co się modlić? I jeśli nawet wszyscy modlimy się, wzywając imienia Jezusa Chrystusa dzięki Duchowi Świętemu, według tego, co mówi Apostoł, to Duch Święty działając skrycie, dając modlitwę temu, kto się modli, może wraz z nią, każdemu stosownie do jego sił, dawać swój zbawienny dar: jednemu pełną cziłości Bożą, innemu miłość, innemu pewność wiary, jeszcze innemu pełną skruchy pokorę itd. Dlatego właśnie, otrzymawszy ów dar, jeden cziłości i wysławia rządy Wszechwładcy i w modlitwie swej ze szczególnym uczuciem i zapałem wypowiada słowo "Panie", pamiętając właśnie o wielkości i władzy Stwórcy świata. Ten, który otrzymał w swym sercu tajemnicze wylanie miłości, przede wszystkim zachwyca się i napełnia słodyczą, wykrzykując "Jezu Chryste", podobnie jak pewien starzec, który nie mógł bez szczególnego miłosnego zachwycenia i rozkoszy posłyszeć imienia Jezusa, wypowiedzanego nawet w zwykłej rozmowie. Ktoś, kto niewzruszenie wierzy w bóstwo Jezusa Chrystusa, współistotnego Bogu Ojcu, rozplómienia się i umacnia w wierze wypowiadając słowa "Synu Boży", a ten, kto otrzymał dar pokory i głęboko doświadcza swej bezsilności, przy słowach "zmiłuj się nade mną" napełnia się skruchą, upokarza i ze szczególnym napięciem wyraża ten stan swego wnętrza za pomocą ostatnich słów Jezusowej modlitwy, żywiąc nadzieję na Boże miłosierdzie i gardząc swymi upadkami. Oto, jak sądzę, przyczyny różnej intonacji przy odmawianiu modlitwy w imię Jezusa Chrystusa!

A na podstawie tego spostrzeżenia można, słuchając jej, zrozumieć (Bogu na chwałę, sobie ku pouczeniu), kto jakim uczuciem przeniknięty jest w szczególności i jaki dar ducha otrzymał. Niektórzy mówili mi na to: Dlaczego wszystkie te oznaki tajemnych duchowych darów nie objawiają się jednocześnie, razem? Wtedy przecież nie jedno tylko, ale wszystkie słowa modlitwy, przeniknięte byłyby jednakowo wzniosłą intonacją modlącego się... Odpowiedziałem następująco: ponieważ łaska Boża, jak to wynika z Pisma Świętego, rozdziela dary w sposób najmądrzejszy, różnie, każdemu stosownie do jego sił, to któż zbada i przeniknie swym ograniczonym umysłem wyroki łaski? Czyż glina nie jest w całkowitej władzy garncarza i czyż nie jest on w mocy uczynić z niej to, albo inne naczynie?

Pięć dni spędziłem z tym starcem i powoli wracał do zdrowia.

Czas ten był dla mnie tak pouczający, że nawet nie zauważałem, jak przemijał, bo w tej izdebce, jakby w cichym zamknięciu, stanowczo nie zajmowaliśmy się niczym innym, tylko modliliśmy się skrycie, wzywając imienia Jezusa Chrystusa, albo rozmawialiśmy o jednym tylko: o wewnętrznej modlitwie.

Pewnego razu zaszedł do nas jakiś pielgrzym i bardzo narzekał na Żydów. Wymyślał i smucił się, bo szedł przez ich osiedla i wiele tam wycierpiał nieprzyjemności i oszustw. Tak był rozżłoszczony, że przeklinał ich i uważał za niegodnych życia na tej ziemi z powodu uporu i niewiary, jaką mieli, wreszcie powiedział, że czuje do nich niepokonywany wstręt. Mój starzec wysłuchał tego, a potem zaczął mu tłumaczyć:

- Daremnie, mój przyjacielu, tak wymyślasz i przeklinasz Żydów; oni też są Bożym dziełem, tak jak my, trzeba im współczuć, modlić się za nich, a nie przeklinać. Uwierz, że twoje do nich obrzydzenie wynika stąd, że nie jesteś umocniony w Bożej miłości i brak ci wewnętrznej poręki modlitwy, dlatego nie ma w tobie wewnętrznego pokoju. Przeczytam ci o tym ze świętych ojców. Posłuchaj, co pisze Marek Asceta: dusza, która wewnętrznie zjednoczyła się z Bogiem, z wielkiej radości staje się jak dziecko, łagodna i prostoduszna, i nie osądza już nikogo: ni Greka, ni poganina, ani Żyda, ani grzesznika, ale na wszystkich spogląda bez różnicy jasnym wzrokiem, jednakowo cieszy się całym światem i pragnie, by wszyscy, i Grecy, i Żydzi, i poganie wystawiali Boga. A Makary Wielki z Egiptu powiada, że ci, którzy dokonują wewnętrznej kontemplacji, rozpalają się miłością tak wielką, że każdego człowieka bez różnicy, dobrego czy złego, ogarnęliby w swym wnętrzu. Sam więc słyszysz, miły bracie, co myślą o tym święci ojcowie, i dlatego radzę ci, byś odrzuciwszy złość spojrzął na wszystko i dostrzegł, jak podlega opatrności wszechwiedzącego Boga, a przy napotkaniu przykrości, byś przede wszystkim siebie obwinał za brak cierpliwości i pokory.

Minął w końcu już ponad tydzień. Starzec powrócił całkiem do zdrowia, podziękowałem mu z serca za wszystkie jego pouczenia i pożegnałem się z nim. On pojechał w swoją stronę, a ja ruszyłem we wskazanym mi kierunku.

Byłem już coraz bliżej Poczajowa, ale nie uszedłem jeszcze stu wiorst, gdy dogonił mnie jakiś żołnierz. Zapytałem go, dokąd idzie. Odpowiedział mi, że w swe rodzinne strony w kamieniecko-podolskiej guberni. Przeszliśmy w milczeniu z dziesięć wiorst i zauważyłem, że wzdycha ciężko, jakby się czymś smucił, i był bardzo posępny. Zapytałem go - Czemuś tak smutny? Przybliżył się i mówi - Dobry człowieku, jeśli już

zostregłeś mój smutek, to przysięgnij mocno i zapewnij, że nikomu nie doniesiesz, a opowiem ci o sobie wszystko, bo śmierć mnie czeka, a poradzić się nie mam kogo.

Zapewniłem go po chrześcijańsku, że żadna to dla mnie korzyść na niego donosić, a rad będę dać mu z braterskiej miłości pomoc, jaką będę mógł.

- Popatrz - powiedział - dali mnie do wojska, byłem pańszczyźnianym chłopem. Gdy minęło pięć lat służby, poczułem się nieznośnie ciężko, często mnie tłukli za niesolidność, no i za pijaństwo. Umyśliłem sobie, że ucieknę. Teraz już piętnasty rok jestem dezertorem. Przez sześć lat kryłem się, chowałem, gdzie się dało, kradłem po spiżarniach i składach, uprowadzałem konie, włamywałem się do sklepików, obławiałem się zawsze sam, a to, co ukradłem, upychałem różnym kanciarzom; pieniądze przepijałem, oddawałem się rozpuście i popełniłem wszystkie grzechy; tyle, że nie zabijałem. Wszystko mi szło dobrze, gdy w końcu dostałem się do więzienia za włóczenie się bez paszportu, ale i stamtąd uciekłem przy najbliższej okazji. Potem przypadkowo spotkałem żołnierza, który przeszedł w stan spoczynku i wędrował do domu w odległej guberni. Był chory, ledwie mógł iść i poprosił, bym podprowadził go do najbliższej wsi, żeby tam łatwiej mu było znaleźć kwaterę. Zaprowadziłem go, dziesiętnik wpuścił nas na nocleg do stodoły na siano i tam położyliśmy się spać. Budzę się wczesnym rankiem, patrzę, a mój żołnierz nie żyje, cały już zeszywniał. Szybko go obszukałem, by znaleźć jego papiery, to znaczy dymisję, i jak tylko ją znalazłem, a i sporo pieniędzy, to zaraz, póki jeszcze wszyscy spali, uciekłem ze stodoły, potem między opłotkami i do lasu... Tak uciekłem. Przejrzałem jego paszport i zauważyłem, że wiek i inne cechy miał prawie jak ja. Ucieszyłem się tym i śmiało powędrowałem do odległej guberni astrachańskiej. Zacząłem się tam statkować i najmować do pracy. Tak przyłączyłem się do podeszłego wiekiem mieszczanina mającego własny dom i handlującego bydlęm. Był to człowiek samotny, żył tylko z owdowiałą córką. Przeżyłem z nimi rok i ożeniłem się z tą jego córką, potem starzec zmarł. Nie potrafilimy podtrzymać handlu, zacząłem znowu pić, żona też, i w ciągu jednego roku przepuściliśmy wszystko, co zostało po jej starym ojcu. W końcu żona moja zachorowała i umarła, a ja sprzedałem to, co jeszcze zostało wraz z domem, i pieniądze szybko roztrwonilem. Nie miałem już teraz z czego żyć i co jeść.

Wróciłem do mego poprzedniego fachu i dalejże obławiać się na kradzieżach, i to jeszcze śmielej, bo miałem paszport. Przez jakiś rok żyłem tak pośród zepsucia. Potem przyszedł taki czas, że długo nic mi się nie wiodło. Pewnego dnia uprowadziłem więc starą, chudą klaczkę jakiemuś biedakowi i sprzedałem ją za pół rubla w rakarni. Wziąłem pieniądze, poszedłem do karczmy, wypilem wina i umyśliłem sobie, że pójdę na jakieś wiejskie wesele: jak tam już sobie wszyscy podjedzą i popiją, to łatwiej będzie coś ukraść. Ponieważ do zachodu słońca było jeszcze daleko, poszedłem do lasu czekać północy. Położyłem się tam i mocno zasnąłem. Patrzę we śnie: stoję na wielkiej, pięknej łące. Nagle zaczęła nadciągać straszliwa chmura i zaraz piorun strzelił tak, że ziemia się pode mną rozstała i jakby mnie ktoś w nią wbił po same ramiona, ze wszystkich stron mnie przygniotło, tylko głowa i ręce wystawały. Potem ta groźna chmura jakby opadła na ziemię i wyszedł z niej mój stary dziadek, który zmarł przed dwudziestu laty. Był on człowiekiem świątobliwym i w naszej wsi przez trzydzieści lat był cerkiewnym starostą. Rozgniewany i groźny podszedł do mnie, aż zatrząsałem się ze strachu. Spojrzałem, a tu dokoła mnie kilka kupkę rzeczy, które niegdyś pokradłem. Przestraszyłem się jeszcze bardziej. Mój dziad, podszedłszy do mnie, wskazał pierwszą kupkę rzeczy i groźnie powiedział - A to co takiego? Bierzcie się za niego! I nagle ziemia ze wszystkich stron mnie tak zaczęła ścisnąć i dusić, że nie mogąc znieść bólu, smutku i niepokoju jęknąłem i zakrzyczałem: Ulitujcie się! Ale męczarnia trwała nadal... Dziadek pokazał drugą kupkę rzeczy i też powiedział - A to co? Duście go silniej! Poczulem tak silny ból i smutek, że nie może się z nimi równać żadna męka na tej ziemi. W końcu ten mój dziadek przyprowadził blisko mnie skradzioną poprzedniego dnia klaczkę i krzyknął - A to? Duście go, jak tylko możecie! - Zdusiło mnie tak ze wszystkich stron, że nawet trudno opowiedzieć, jak było to okrutne, straszne i męczące; jakby ktoś ze mnie wypruwał żyły, a straszliwy ból dusił tak, że nie można było tego znieść; potrwaloby tak jeszcze trochę, to padłbym bez zmysłów, ale klaczka wierzgnęła i walnęła mnie w szczękę, raniąc ją. W momencie uderzenia zbudziłem się przerażony, a trząsałem się jak osłabiony chorobą.

Patrzę, a to już biały dzień, słońce wschodzi; dotykam szczęki - krew z niej cieknie, a co mi się śniło, że było w ziemi - jak z drewna, i tylko jakby mrówki mi chodziły. Jakoś w tym przestraszu wstałem i poszedłem do domu. Szczęka bolała mnie długo, jeszcze teraz widać bliznę, przedtem jej nie miałem. Po tym widzeniu zaczął przychodzić na mnie strach, przerażenie, a jak tylko wspomniałem moją męczarnię, a jawiła mi się wciąż na nowo, to taki ogarniał mnie smutek i niepokój, tak mnie to dręczyło, że nie wiedziałem już, gdzie się podziać... Potem jawiło mi się to coraz częściej, zacząłem się bać ludzi i wstydzić się, wydało mi się, że wszyscy wiedzą o moich łotrystwach. Ze smutku nie mogłem już potem ani pić, ani jeść, ni spać, błąkałem się tylko jak cień. Pomyślałem, by wrócić do mego pułku i przyznać się do wszystkiego: poniósłbym karę, a nuż Bóg wybaczyłby grzechy, ale bałem się. Przeląknęłem się, że przepędzą mnie wzdłuż dwuszeregu i wysieką różgami. W końcu, by uciec od tej męki, chciałem się powiesić. Przyszła mi jednak myśl, że będę żył krótko i trzeba pożegnać się z rodzinnymi stronami i umrzeć. Mam tam krewnego, idę tak już pół roku, a smutek i strach wciąż mnie dręczą... Jak myślisz, dobry człowieku, co mam robić? Brak mi już cierpliwości!...

Wysłuchałem tego, zdumiałem się i wysławiałem wielkość Bożej mądrości i łaski, widząc jak różnymi sposobami nawraca ona grzeszników, i mówię do niego - Miły bracie. Przychodzi na ciebie strach i smutek, to módl się do Boga. To najlepsze lekarstwo na wszystkie nasze boleści...

- To niemożliwe - odpowiedział - wydaje mi się, że jak tylko zacznę się modlić, to Bóg zaraz mnie pogruchocze.

- Bzdura, bracie! Takie myśli podsuwa ci diabeł. Bóg jest nieskończenie miłosierny i pełen współczucia dla grzeszników, a tym, którzy wyznają swe winy i żałują za nie, przebacza szybko. Znasz przecież Jezusową modlitwę: "Panie, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem". Odmawiaj ją bez przerwy.

- Jakże mógłbym jej nie znać! Nawet kiedy kradłem, to czasem ją odmawiałem, by mi było raźniej.

- To teraz popatrz: Bóg nie zdruzgotał cię za to, że idąc czynić nieprawości, modliłeś się, a teraz wyda cię na zgubę, gdy zaczniesz się modlić na drodze skruchy? Sam widzisz, że twoje myśli pochodzą od diabła! Uwierz, mój miły, że jeśli

będiesz odmawiał tę modlitwę, nie bacząc na to, co ci się w myślach mami, to wkrótce poczujesz radość, minie twój strach i udręka, a ty w końcu całkiem się uspokoisz, staniesz się człowiekiem pobożnym i cały twój pociąg do grzechu ustąpi. Zapewniam cię, bo sam tego doświadczyłem.

Opowiedziałem mu wtedy kilka przypadków, w których Jezusowa modlitwa okazała wobec grzeszników swą cudowną moc. Wreszcie zacząłem go też namawiać, by zamiast iść w rodzinne strony, zaszedł najpierw ze mną do Bożej Matki, Ucieczki Grzesznych w Poczajowie, by tam się wyspowiadał i przystąpił do Bożych sakramentów. Słuchał tego mój żołnierz z uwagą i, jak dostrzegłem, z radością, i w końcu zgodził się na wszystko. Powędrowaliśmy do Poczajowa razem, ale umówiliśmy się, że nie będziemy ze sobą rozmawiać, tylko odmawiać bezustannie Jezusową modlitwę. Całą dobę przeszliśmy w milczeniu. Następnego dnia powiedział, że czuje się lepiej; widać też było, że jest spokojniejszy. Na trzeci dzień dotarliśmy do Poczajowa i znów mu przypomniałem, by dniem i nocą, dopóki nie zaśnie, nie przerywał modlitwy. Zapewniałem go, że Najświętsze Imię Jezusa jest nieznośne dla wrogów i ma moc go zbawić. Przeczytałem mu też z Dobrotolubija o tym, że choć zawsze należy odmawiać modlitwę Jezusową, to szczególnie jednak, z gorliwą starannością, należy się do niej przykładać wtedy, gdy przygotowujemy się do uczestniczenia w świętych Chrystusowych sakramentach. Czynił tak i zaraz się wyspowiadał i przystąpił do Komunii. Wprawdzie zjawy jeszcze, choć rzadko, nań przychodziły, to jednak łatwo przepędzał je Jezusową modlitwą. By łatwiej wstać w niedzielę na jutrznię, położył się wieczorem wcześniej i wciąż odmawiał Jezusową modlitwę, a ja w kąciku, przy nocnej lampce, czytałem jeszcze moje Dobrotolubije. Minęła tak pewnie godzina i zasnął. Zacząłem się modlić, gdy po jakichś dwudziestu minutach drgnął, przebudził się, wstał, podbiegł do mnie cały zapłakany i powiedział z wielką radością - Och, bracie, co ja widziałem! Jak mi lekko i radośnie. Wierzę, że Bóg nie dręczy, a miłuje grzeszników. Chwała Tobie, Panie, chwała Ci!

Zdziwiony tym i uradowany, poprosiłem, by opowiedział mi, co się stało.

- Było to tak: jak tylko zasnąłem, zobaczyłem siebie na tej samej łące, gdzie przeszedłem męczarnie. Na początku się przestraszyłem, ale widzę, że chmury nie ma. Zamiast niej wschodzi jasne słońce; wspaniała jasność rozświetliła całą łąkę i ujrzałem tam piękne kwiaty i trawy. Nagle podszedł do mnie bliźniuteńko mój dziadek, tak piękny, że nie mogłem się napatrzeć, i mówi do mnie mile i życzliwie - Idź do Żytomierza, do cerkwi świętego Jerzego Zwycięzcy, przyjmą cię na cerkiewnego stróża. Zostań tam aż do śmierci i módl się nieustannie. Bóg zmiłuje się nad tobą. - Powiedziawszy to uczynił nade mną znak krzyża i zaraz zniknął. Poczułem w sobie radość taką, że nie można jej wypowiedzieć. Jakby zwał się ze mnie jakiś ciężar, a ja uleciałbym ku niebu... Z tym się obudziłem, czując, że mi lekko. Moje serce nie wie, co ma czynić z radości. Cóż mi pozostaje? Idę zaraz do Żytomierza, jak mi to polecił dziadek. Z modlitwą łatwiej mi będzie iść!

- Ulitujże się, miły bracie, dokąd pójdziesz o północy? Wysłuchaj chociaż jutrzni. Tak, pomódl się, i z Bogiem. Nie zasnęliśmy już i po tej rozmowie poszliśmy do cerkwi. Całą jutrznię modlił się gorliwie, ze łzami w oczach. Mówił, że tak mu jest lekko i radośnie, i że modlitwę Jezusową odmawia z rozkoszą. Potem podczas liturgii przyjął świętą Komunię, a po obiedzie odprowadziłem go na trakt wiodący do Żytomierza. Pożegnaliśmy się ze łzami, ale pełni radości.

Zacząłem teraz myśleć o sobie i zastanawiać się, dokąd mam iść. Wreszcie postanowiłem powrócić do Kijowa. Ciągnęły mnie tam wspomnienia mądrych pouczeń spowiednika i myśl, że może mieszkając u niego trafię na jakichś pobożnych dobroczyńców, którzy wyprawią mnie do Jerozolimy, albo przynajmniej na Górę Atos. Tydzień jeszcze zostałem w Poczajowie, spędzając czas na wspomnianiu tych pouczających spotkań, które trafiły się podczas moich wędrówek, i na zapisywaniu niektórych budujących spraw. Wybrałem się już w drogę, zabrałem torbę i poszedłem do cerkwi, by przed wyprawą pokłonić się Matce Bożej, pomodlić się na świętej liturgii i zaraz ruszać przed siebie.

Stałem z tyłu cerkwi, gdy pojawił się jakiś człowiek. Nie był ubrany zbyt bogato, ale wyglądał na szlachetnie urodzonego. Zapytał mnie, gdzie sprzedają świece. Wskazałem mu to miejsce. Liturgia się skończyła. Zostałem jeszcze, by pomodlić się przy śladzie stopy Bożej Matki. Pomodliłem się i ruszyłem w drogę. Przeszedłem kawałek ulicą, gdy zobaczyłem, że w jednym z domów otwarte jest okno, a pod nim siedzi jakiś pan i czyta książkę. Musiałem przejść obok tego okna i zobaczyłem, że to siedzi ten człowiek, który pytał mnie w cerkwi o świece. Przechodząc zdjąłem więc czapkę, a on skinął na mnie i pyta - Pewnie jesteś pielgrzymem? Zaprosiwszy do domu wypytał, kim jestem i dokąd idę. Potem przyniósł mi herbatę i powiada Posłuchaj, mój miły! Radziłbym ci pójść do monasteru sołowieckiego [47], jest tam całkiem samotna i spokojna pustelnia, zwana anzerską. To jakby druga Góra Atos. Przyjmują tam każdego, a ćwiczenie polega tylko na czytaniu w

cerkwi psaltera, po kolei, po cztery godziny na dobę. Ja też tam właśnie wędruję, i to tak, jak przyrzekłem, pieszo. Poszlibyśmy razem, byłoby mi z tobą bezpieczniej, bo powiadają, że drogi tam głucho, a ja mam pieniądze. Żywiłbym cię przez całą drogę, szlibyśmy jeden od drugiego o trzy sążnie, by sobie nie przeszkadzać w modlitwie. Pomyśl, bracie, i zgódź się! Także dla ciebie będzie to pożyteczne.

Usłyszawszy to zaproszenie, uznałem to wydarzenie, tak nieoczekiwane, za daną mi przez Bożą Matkę wskazówkę co do dalszej mej drogi. Prosiłem Ją bowiem o skierowanie mnie na drogi dobra, dlatego bez namysłu zgodziłem się.

Wyruszyliśmy następnego dnia w drogę. Szliśmy trzy doby, jak umówiliśmy się, jeden za drugim. Mój towarzysz podróży wciąż czytał książkę, ni dniem, ni nocą nie wypuszczał jej z rąk, a czasem nad czymś rozmyślał. Zatrzymaliśmy się wreszcie, by zjeść obiad. Jadł samotnie, książka leżała przed nim otwarta, zaglądał do niej raz po raz. Zobaczyłem, że książka ta to Ewangelie i powiedziałem - Ośmielę się zapytać, ojczulku, czemu to tak dniem i nocą nie wypuszczasz z rąk Ewangelii, a trzymasz je wciąż i nosisz ze sobą?

- Dlatego - odpowiedział - że prawie zawsze z niej jednej się uczę.

- Czego się pan uczy? - pytałem dalej.

- Chrześcijańskiego życia polegającego na modlitwie. Uważam modlitwę za najważniejszy i niezbędny sposób zbawienia, za pierwszy obowiązek każdego chrześcijanina. Modlitwa to pierwszy stopień, ale i korona życia bogobojnego. Dlatego Ewangelie wciąż nakazują nieustanną modlitwę. Inne sprawy pobożne mają wyznaczony swój czas, ale dla modlitwy każdy czas jest stosowny. Bez niej nic dobrego nie uczynisz, a z kolei bez Ewangelii właściwej modlitwy się nie nauczysz. Dlatego wszyscy, którzy osiągnęli zbawienie drogą życia wewnętrznego, czy byli to święci głosiciele Bożego słowa, czy pustelnicy i samotnicy, a nawet wszyscy bogobojni chrześcijanie, za swoje stałe, ciągłe zajęcie uważali zgłębianie Słowa Bożego, a czytanie Ewangelii było dla nich sprawą zasadniczą. Wielu z nich wciąż miało w swych dłoniach Ewangelie, a tym, którzy prosili ich o pouczenie, dawali taką radę: Siądź w cichej celi i czytaj Ewangelie raz, a potem na nowo.

Bardzo mi się spodobały te wywody i jego pragnienie modlitwy. Zapytałem - Z którego zwłaszcza pouczenia Ewangelii zaczerpnął pan naukę modlitwy?

- Od wszystkich czterech Ewangelistów - odpowiedział - jednym słowem z całego Nowego Testamentu, czytając jego księgi po kolei. Czytałem je długo, wczytywałem się, aż dostrzegłem, że we wszystkich Ewangeljach, poczynając od pierwszego Ewangelisty, odnaleźć można podane stopniowo i powiązane ze sobą elementy nauczania modlitwy. Przedstawione są one po kolei, w należyтым porządku i tworzą cały system. Na przykład: na samym początku podane jest wprowadzenie do nauki modlitwy, potem forma albo zewnętrzny sposób wyrażania jej w słowach, dalej warunki, których spełnienie konieczne jest przy modlitwie, sposób jej nauczania się i przykłady. Wreszcie tajemna nauka wewnętrznej, duchowej, nieustannej modlitwy w imię Jezusa Chrystusa, która ukazana jest jako wznioślejsza i bardziej dobroczynna, niż modlitwa mająca formę zwykłą. Potem o niezbędności tej modlitwy, jej błogosławionych skutkach i o innych sprawach. Jednym słowem wszystko szczegółowo, pełne poznanie praktyki modlitwy, systematycznie czy też logicznie przedstawione w Ewangeljach od samego początku aż do końca.

Usłyszawszy to, zamierzałem prosić, by pokazał mi wszystko szczegółowo, i dlatego powiedziałem - Ponieważ najbardziej lubię słuchać i rozmawiać o modlitwie, to ogromnie pragnąłbym ujrzeć ze wszystkimi szczegółami te tajemne związki widoczne w nauczaniu modlitwy. Pokażże mi to wszystko, na Boga, w samej Ewangelii.

Zgodził się chętnie i powiedział - Otwórz swoje Ewangelie, patrz uważnie i zaznaczaj to, co będę mówił (podał mi ołówek). Pozwól, że zajrzę do moich notatek. Odszukaj - zaczął najpierw szósty rozdział Ewangelii według św. Mateusza i przeczytaj w nim wiersze od piątego do ósmego. Tu znajdziesz przygotowanie do modlitwy albo wprowadzenie do niej, pouczające, żebyś modlitwę zaczynał nie dla próżności i nie pośród hałasu, ale w miejscu samotnym i spokojnym, prosząc w niej tylko o przebaczenie grzechów i o zjednoczenie z Bogiem, nie wymyślając licznych i zbytnich prośb w różnych życiowych potrzebach, jak to czynią poganie. Potem przeczytaj w tym samym rozdziale wiersze od dziewiątego do trzynastego. Tu pokazana jest forma modlitwy, to znaczy jakimi słowami należy ją wypowiadać. W niezwykle mądry sposób łączy się tu wszystko, co jest niezbędne i konieczne dla naszego życia. Dalej przeczytaj jeszcze wiersze czternasty i piętnasty tego rozdziału, a ujrzysz warunek, jaki musi być spełniony, by modlitwa była prawdziwa, rzeczywista, bo bez przebaczenia tym, którzy nas urażają, Pan nie wybaczy naszych grzechów. Przeszedłszy do rozdziału siódmego znajdziesz w wierszach od siódmego do jedenastego sposoby osiągnięcia skuteczności modlitwy i zachętę do nadziei: proście, szukajcie, kołaczcie. To wzmocnione wyrażenie wskazuje na częstotliwość modlitwy i na konieczność głównie takiego się w niej ćwiczenia, by modlitwa nie tylko towarzyszyła wszystkim naszym zajęciom, ale by przewyższała je czasowo. Jest to najważniejsza cecha modlitwy. Przykład tego zobaczysz w czternastym rozdziale Ewangelisty Marka, w wierszach od trzydziestego drugiego do czterdziestego, gdzie sam Jezus Chrystus powtarza kilkakrotnie tę samą modlitwę. Podobny przykład częstej modlitwy ukazuje Ewangelista Łukasz (11,5-13) w przypowieści o natrętnym przyjacielu, a także o wdowie naprzykrzającej się sędziemu (18,1-8), przedstawiając polecenia Chrystusa, by zawsze, w każdym czasie i na każdym miejscu modlić się i nie ustawać, to znaczy nie być leniwym.

Po tym dokładnym pouczeniu także Ewangelia według św. Jana odsłoni nam dostęp do tak ważnej nauki tajemnej wewnętrznej modlitwy serca. Po pierwsze, w pouczający sposób przedstawiona jest tam rozmowa

Jezusa z Samarytanką, gdzie objawione zostaje wewnętrzne, w duchu i w prawdzie, oddawanie czci Bogu, czego On właśnie pragnie i czym jest nieustanna i prawdziwa modlitwa, płynąca jak woda żywa ku żywotowi wiecznemu (J 4,5-25). Dalej w rozdziale piętnastym, w wierszach od czwartego do ósmego, jeszcze wyraźniej ukazana jest moc, siła i niezbędnosc modlitwy wewnętrznej, to jest przebywania duszy w Chrystusie, w stanie nieustannego pamiętania o Bogu. Wreszcie przeczytaj w szesnastym rozdziale u tego Ewangelisty wiersze od dwudziestego trzeciego do dwudziestego piątego. Popatrz, jak wielka jest tu ujawniona tajemnica! Czyż nie widzisz, że modlitwa w imię Jezusa Chrystusa, tak zwana modlitwa Jezusowa, to znaczy: "Panie, Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną", powtarzana często i wielokrotnie, ma moc przeogromną i z wielką łatwością otwiera serce i uświęca. Prawdziwie można to zobaczyć na przykładzie Apostołów, którzy niejednym razem byli uczniami Pana Jezusa i zostali przez Niego nauczeni modlitwy Pańskiej, to jest Ojczy nasz, znanej dzięki nim także nam: przy końcu swego ziemskiego życia Jezus Chrystus ujawnił im tajemnicę tego, czego brakowało jeszcze ich modlitwie, by była rzeczywiście skuteczna. Powiedział im: "Do tej pory o nic nie prosiście w imię moje: Proście, a otrzymacie, aby radość wasza była pełna" (J 16,24). I tak też się stało, bo gdy Apostołowie nauczyli się wypowiadać modlitwę w imię Pana Jezusa Chrystusa, ileż dokonali zdumiewających cudów i jak sami zostali oświeceni! Czy już dostrzegasz związek i pełnię nauki modlitwy, tak mądrze przedstawionej w świętej Ewangelii? Jeśli teraz zaczniesz czytać także listy Apostołów, to w nich znajdziesz logiczny wykład modlitwy. Wskażę ci teraz, by kontynuować moje poprzednie uwagi, te miejsca, które ukazują wszystko, co ma związek z modlitwą. Tak w Dziejach Apostolskich opisana jest praktyka pierwszych chrześcijan, oświeconych wiarą w Jezusa Chrystusa (4,31), gorliwego i stałego ćwiczenia się w modlitwie; opowiedziane jest tam o owocach, skutkach tego stałego przebywania na modlitwie, to jest o wylaniu Ducha Świętego i Jego darów na tych, którzy się modlili. Podobną rzecz zobaczysz w rozdziale szesnastym, w wierszach 25 i 26. Potem przejdź po kolei listy Apostołów, a zobaczysz: 1. Jak niezbędna jest modlitwa we wszystkich życiowych sytuacjach (Jk 5,13--16); 2. Jak Duch Święty pomaga się modlić (Jud 1,20-21 i Rz 8,26); 3. Że zawsze należy modlić się w Duchu (Ef 6,18); 4. Jak potrzebne jest w modlitwie wyciszenie albo wewnętrzny pokój (Flp 4,6-7); 5. Jak konieczna jest nieustanna modlitwa (1 Tes 5,17); 6. Wreszcie zauważmy, że modlić się należy nie tylko za siebie, ale za wszystkich (1 Tm 2,1-5).

Tym sposobem, wczytując się przez długi czas uważnie, można znajdować liczne jeszcze objawienia ukrytej w Słowie Bożym tajemnej wiedzy, która umyka przy czytaniu rzadkim albo pośpiesznym. Czy zatem dostrzegłeś, jak niezwykle mądrze i logicznie, to znaczy z tajemną wewnętrzną więzią, ukazuje Nowy Testament naszego Pana Jezusa Chrystusa, pouczenie o tym przedmiocie, który teraz śledzimy? W jakim cudownym, logicznym porządku ułożone jest to we wszystkich czterech Ewangeliiach? Oto przykład: u św. Mateusza widzimy wstęp, wprowadzenie do modlitwy, samą jej postać, warunki i inne sprawy; dalej u św. Marka znajdujemy przykłady, u św. Łukasza - przypowieści, u św. Jana - tajemne ćwiczenia w zakresie modlitwy wewnętrznej, choć wszystko to można znaleźć, w większym czy mniejszym stopniu, u wszystkich Ewangelistów. W Dziejach Apostolskich ukazana jest praktyka i skutki modlitwy; w listach Apostołów, jak i Apokalipsie liczne sprawy nierozdzielnie łączą się z modlitwą! Oto dlaczego zadawałam się samą tylko lekturą Ewangelii przy badaniu wszelkich dróg życia wiodącego ku zbawieniu duszy.

Przez cały czas zaznaczałam w mojej Biblii wskazywane przez niego i wyjaśniane miejsca z Ewangelii. Wszystko to było dla mnie nadzwyczaj pouczające i bardzo mu dziękowałam.

Wędrowaliśmy potem jeszcze przez pięć dni w milczeniu. Mego towarzysza podróży bardzo rozboleły nogi, nie był pewnie przyzwyczajony do ciągłego chodzenia, dlatego najął podwoz z dwójką koni i zabrał mnie ze sobą. Tak dojechaliśmy do waszych granic i zatrzymaliśmy się na trzy doby, by po odpoczynku zaraz wyruszyć do Anzerów, z niecierpliwością bowiem pragnął się tam dostać.

- Zdumiewający jest ten twój towarzysz podróży! Tak pobożny! Jest też pewnie wielce wykształcony, chętnie bym go poznał. - Mieszkamy razem na tej samej kwaterze, może jutro przyjdziemy razem. Teraz już późno... Wybacz mi!

Spotkanie drugie

Brat wspomagany przez brata jest jak twierdza wysoka, umocniony jest jak potężne królestwo. Prz 18,19

- Według danego wczoraj słowa i obietnicy przychodzę dziś, zaprosiwszy tego godnego szacunku towarzysza podróży, który zbawczą rozmową osładzał trudy mojej drogi pielgrzyma i którego pragnęłam ujrzeć.

- Wielka to przyjemność dla mnie, a także, mam nadzieję, dla moich najszlachetniejszych gości ujrzeć was obu i usłyszeć pożyteczne słowo człowieka doświadczonego. Oto są u mnie wielebny mnich-pokutnik i pobożny kapłan, a ponieważ tam, gdzie dwóch lub trzech zbierze się w imię Jezusa Chrystusa, tam On sam obiecuje swą obecność, to zapewne na nas pięciu zebranych w Jego imię, łaska Jego wyleje się jeszcze obficie!

Wczorajsza opowieść twego towarzysza podróży, miły bracie, o twoim żarliwym przywiązaniu do świętej Ewangelii, bardzo jest ciekawa i pouczająca. Chciałbym usłyszeć, w jaki sposób została ci objawiona ta wielka tajemnica pobożności?

- Bóg pełen miłości, pragnący zbawić wszystkich i doprowadzić umysły do poznania prawdy, objawił mi tę wiedzę przez wielką swą miłość w sposób cudowny, bez jakiegokolwiek ludzkiego pośrednictwa. Przez pięć lat byłem profesorem liceum. Życie moje biegło mrocznymi ścieżkami rozpusty, pociągała mnie gorączka filozofowania według sposobu tego świata, a nie Chrystusa. Może całkiem bym się zatracił, gdyby nie powstrzymało mnie jeszcze trochę to, że mieszkalem z bogobojną moją matką i z rodzoną siostrą, troskliwą i cnotliwą...

Pewnego razu, przechadzając się po miejskim bulwarze, spotkałem wspaniałego młodego człowieka i zaznajomiłem się z nim. Opowiedział mi, że jest Francuzem, studentem, ale już po egzaminach, że przyjechał z Paryża, i że chciałby być zatrudniony jako guwerner. Jego doskonale wykształcenie bardzo mi odpowiadało, jako przyjeźdnego zaprosiłem go więc do siebie i tak zaprzyjaźniliśmy się. W ciągu dwóch miesięcy nierzadko mnie odwiedzał. Czasem chodziliśmy obaj na spacer, życie prowadziliśmy lekkie, razem bywaliśmy w różnych towarzystwach, oczywiście najbardziej niemoralnych. Wreszcie pojawił się on u mnie z zaproszeniem do takiego właśnie towarzystwa i żeby jeszcze bardziej mnie przekonać, zaczął wysławiać wesołość i przyjemność miejsca, do którego mnie zapraszał. Powiedział o tym kilka słów i nagle poprosił, byśmy wyszli z mego gabinetu, tam bowiem rozmawialiśmy, i usiedli w salonie. Wydało mi się to dziwne, a że już nieraz zauważałem jego niechęć do przebywania w moim gabinecie, zapytałem go o przyczynę tej prośby. Zatrzymałem tu go jeszcze także dlatego, że salon znajdował się obok pokoju mojej matki i siostry i rozmawianie z nim o sprawach błahych byłoby nieprzyzwoitością. Podtrzymał swoją prośbę używając różnych wykrętów, wreszcie powiedział mi szczerze: masz tu na półce między książkami Ewangelie, szanuję je tak, że trudno mi w ich obecności rozmawiać o naszych próżniactwach. Zabierz je stąd, proszę, a będziemy mogli rozmawiać swobodnie.

Z powodu swej lekkomyślności uśmiechnąłem się na te słowa, wziąłem Ewangelie z półki i mówię: dawno mi to już mogłeś powiedzieć! Podałem mu je i powiadam: sam zanieś do tamtego pokoju! Ewangelie tylko go dotknęły, a on zaraz się zatrząsł i zniknął. Byłem tak przerażony, że upadłem bez czucia na podłogę. Usłyszeli to inni domownicy, przybiegli i przez dobre pół godziny nie mogli przywrócić mi przytomności. Wreszcie ocknąłem się, poczułem silny strach, drżenie, niespokojne wzburzenie i zupełne odrętwienie ręki i nogi, takie, że nie mogłem nimi poruszać. Wezwany lekarz określił to mianem paraliżu wskutek jakiegoś silnego wstrząsu lub przest్రachu. Przez cały rok po tym wydarzeniu, troskliwie kurowany przez licznych medyków, leżałem bez najmniejszej poprawy w chorobie, która w konsekwencji zmusiła mnie do porzucenia uczonych zajęć i przejścia na rentę. W tym czasie zmarła także moja będąca już w starszym wieku matka, moja siostra zdecydowała się poświęcić życiu w monasterze, a wszystko to jeszcze bardziej pogarszało moją chorobę. Jedno tylko było radością w tym bolesnym dla mnie czasie: czytanie Ewangelii, której od początku mej choroby nie wypuszczałem z rąk, bo była ona dla mnie gwarancją tego cudu, który mi się przydarzył.

Nieoczekiwanie zaszedł do mnie pewnego razu nie znany mi pustelnik, który zbierał datki na monaster. Przekonywał mnie, że nie powinienem pokładać nadziei w samych tylko lekarstwach, bo bez Bożej pomocy nie są one w stanie nic polepszyć. Winienesz raczej prosić Boga i pilnie się modlić, bo modlitwa jest najpotężniejszym sposobem uleczenia wszystkich chorób, zarówno ciała, jak i duszy. Jakże ja mogę w tej sytuacji się modlić? Nie mogę przecież zrobić ani jednego pokłonu, a nawet ręki podnieść dla uczynienia znaku krzyża - sprzeciwiłem się w swej głupocie. Odpowiedział mi na to: Módl się jak chcesz, ale nie potrafił mi właściwie wyjaśnić, jak mam się modlić... Po wyjściu mojego gościa jakby mimo woli zacząłem rozmyślać o modlitwie, o jej mocy i działaniu, przypominałem sobie wykłady z teologii, których słuchałem jeszcze jako student. Zająłem się tym z radością. Przywołałem w mej pamięci całą, tak jasną, wiedzę religijną, grzała ona moją duszę i zaraz poczułem, że choroba ustępuje. Ponieważ nieustannie miałem przy sobie Ewangelie, a wierząc w nie skutkiem widzianego przeze mnie cudu i przypominając sobie, że cały traktat o modlitwie, którego wysłuchałem podczas wykładów, za swą podstawę miał teksty Ewangelii, uznałem, że rzeczą najwłaściwszą jest uczyć się modlitwy i chrześcijańskiej pobożności jedynie z pouczeń Ewangelii. Rozczytując się w nich, czerpiąc jak z obfitego źródła, odnajdywałem pełny system zbawczego sposobu życia i prawdziwej modlitwy wewnętrznej. Ze czcią zaznaczywszy wszystkie miejsca i teksty dotyczące tego przedmiotu, staram się od tego czasu nieustannie zgłębiać te Boże postanowienia i w miarę swych sił, choćby nawet z trudem, przetwarzać je w czyn. Stopniowo podczas owych zajęć moja choroba zaczęła ustępować i wreszcie, jak to widzicie sami, wyzdrowiałem całkowicie. Ponieważ zostałem sam, to dziękując Bogu za Jego ojcowską miłość, ocalenie i pouczenie zdecydowałem się, idąc za przykładem mej siostry i za pragnieniem mej duszy, poświęcić się życiu pustelniczemu, by już bez przeszkód przyjmować, przyswajając sobie te, tak słodkie, słowa życia wiecznego, ukazane mi w Bożym słowie.

Tak oto obecnie usiłuję dotrzeć do samotnej pustelni, zwanej Anzerską, przy monasterze Sołowieckim na Morzu Białym; słyszałem bowiem z wiarygodnego źródła, że to najlepsze miejsce dla życia kontemplacyjnego. Powiem wam coś jeszcze: prawdą jest, że choć w podróży pociesza mnie święta Ewangelia, bo obficie rozświetla mój niedojrzały umysł i rozgrzewa chłód mego serca, to wyznając moją bezsilność powiem szczerze, że warunki spełniania dzieł pobożności i osiągnięcia zbawienia, wymagające całkowitego samozaparcia i czynów nadzwyczajnych, pokory najgłębszej, jak to nakazuje Ewangelia, przerażają mnie swą wzniosłością,

gdy widzę swą niemoc i zepsucie mego serca. Stojąc teraz między rozpaczą i nadzieją nie wiem, co się ze mną stanie w przyszłości!

MNICH-POKUTNIK: Mając tak zobowiązującą gwarancję, szczególnej, cudownej Bożej miłości i taką uczoność nie można nie tylko wpadać w przygnębienie, byłoby to niewybaczone, ale nie należy nawet dopuszczać do naszej duszy cienia wątpliwości w opiekę i pomoc Bożą! Czyż nie wiesz, co mówi o tym oświecony przez Boga Chryzostom? Nikt nie powinien wpadać w przygnębienie, poucza, i mylnie uważać, że nakazy Ewangelii są niewykonalne lub trudne do wykonania! Bóg, postanawiając zbawienie człowieka, oczywiście nie po to dał mu nakazy, żeby uczynić go przestępcą, gdy ich nie wypełni. Przeciwnie - dzięki ich świętości i dobroci chciał pobłogosławić nam zarówno w tym życiu, jak i w wieczności.

To oczywiście, że regularne i stanowcze wypełnianie Bożych nakazów jest dla naszej natury nadzwyczaj trudne, a zatem i zbawienie nie jest łatwe do osiągnięcia, ale to samo Słowo Boże, które prawnie nadało przykazania, ukazuje także środki nie tylko właściwego ich wypełnienia, ale także radowania się tym. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka jest to okryte zasłoną tajemnicy, to oczywiście po to, by najpierw uczynić pokornym tego, który się w tym zaprawia i łatwiej doprowadzić go do łączności z Bogiem, ukazując sposób chronienia się u Niego poprzez modlitwę i błaganie o Jego ojcowską pomoc. Na tym polega tajemnica zbawienia, a nie na pokładaniu nadziei we własnych wysiłkach.

PIELGRZYM: Tak bardzo pragnąłbym, ja, słaby i bezsilny, poznać tę tajemnicę i dzięki temu jakoś poprawić moje leniwe życie, ku Bożej chwale i mojemu zbawieniu!

MNICH-POKUTNIK: Tajemnicę tę posiadałeś już, umiłowany bracie, z księgi Dobrotolubija. Zawiera się ona w nieustannej modlitwie, którą zgłębiałeś tak usilnie, gorliwie się nią zajmując i radując!

PIELGRZYM: Padam do twych stóp, wielbny ojcze! Proszę cię w imię Boga, pozwól mi usłyszeć z twych ust coś pożytecznego o tej zbawczej tajemnicy i o świętej modlitwie, o której słuchać pragnę najbardziej, a i czytać lubię ku pokrzepieniu i pocieszeniu mej, tak bardzo grzesznej duszy.

MNICH-POKUTNIK: Choć nie mogę spełnić twego życzenia za pomocą moich własnych rozważań nad tą wzniosłą czynnością, bo zbyt mało jeszcze jestem doświadczony w tym przedmiocie, to mam jednak pouczający zeszycik jednego z duchownych pisarzy właśnie na ten temat. Jeśli zadowolony to także naszych współrozmówców, to zaraz go przyniosę, a jeśli zechcecie, przeczytam wam. Pozwólcie, proszę!

WSZYSCY: Bądź łaskaw, wielbny ojcze! Nie pozbawiaj nas tej zbawczej wiedzy.

Tajemnica zbawienia objawiana dzięki modlitwie nieustannej

Jak się zbawić? To pobożne, chrześcijańskie pytanie rodzi się oczywiście w umyśle każdego, kto odczuwa zranienie i osłabienie ludzkiej natury, ale i pozostałości pierwotnego dążenia do prawdy i sprawiedliwości. Każdy, kto choć trochę wierzy w nieśmiertelność i nagrodę życia wiecznego, mimo woli napotyka myśl o tym, jak się zbawić, gdy zwraca swe spojrzenie ku niebu... Trudząc się nad rozwiązaniem tego zadania, wypytuje o to ludzi rozważnych i światłych, potem czyta wskazane przez nich pouczające książki duchownych pisarzy, pragnąc niezachwianie postępować według usłyszanych i wyczytanych prawd i zasad. We wszystkich tych pouczeniach napotyka on, podkreślone jako niezbędne, warunki zbawienia: pobożne życie, uczynki, pracę nad sobą dla osiągnięcia zdecydowanego samowyrzeczenia, kierującego ku pełnieniu dobrych dzieł i ku stałemu spełnianiu wszystkich Bożych przykazań, poświadczającemu niewzruszoność i stałość wiary! Głosi się mu jeszcze, że wszystkie te warunki zbawienia winny być wypełniane z najgłębszą pokorą i łącznie, bo skoro wszystkie cnoty związane są ze sobą, to jedna drugą winna powstrzymywać, jedna drugą doskonalić i dawać natchnienie, podobnie do promieni słońca, które dopiero wtedy ujawniają swą moc i rodzą płomień, gdy skupione są przez szkło soczewki w jednym punkcie. W przeciwnym bowiem razie ten, "kto w drobnej rzeczy jest nieuczciwy, ten i w wielkiej nieuczciwy będzie" (Łk 16,10).

Na dodatek, po to by całkowicie został przekonany o konieczności tego tak złożonego i złączonego w całość działania, słyszy wysokie pochwały piękna cnót i osąd niegodziwości i nieszczęść niesionych przez wady. Wszystko to przypieczętowane się prawdziwą zapowiedzią wspaniałej nagrody i szczęśliwości albo karcącej udręki i nieszczęść w życiu wiecznym.

W taki to szczególny sposób wygłaszane są w naszych czasach kazania! Człowiek gorąco pragnący zbawienia, pouczony w ten sposób, przystępuje do wypełniania pouczeń i doświadczania tego, co usłyszał i wyczytał. Ale niestety! Już u samego progu urzeczywistniania tych pragnień nie może osiągnąć swego celu, przewidując, a nawet doświadczając, że jego zraniona i osłabiona natura weźmie górę nad argumentami rozumu, że jego wolna wola jest zniewolona, skłonności - zepsute, a moc ducha - zupełnie wyczerpana. Mając doświadczalne potwierdzenie swej bezsilności dochodzi oczywiście do wniosku, że powinny istnieć jakieś środki sprzyjające wypełnieniu tego, co nakazuje prawo Boże, czego wymaga chrześcijańska pobożność i tego, co wypełniali wszyscy godni otrzymać zbawienie i świętość. Wskutek tego, a także po to, by pogodzić w sobie wymagania umysłu i sumienia z brakiem sił do ich wykonania, zwraca się jeszcze ku tym, co przepowiadają zbawienie, z

pytaniem: jak się zbawić? Jak wypełnić tak trudne dla niego warunki zbawienia? I czy ten, który je obwieszcza, jest w stanie niewzruszenie wypełnić to, o czym naucza? "Proś Boga, módl się do Boga o pomoc!" To czyż nie byłoby lepiej najpierw, albo zawsze i wszędzie uczyć modlitwy, jako sprawczyni wypełniania tego wszystkiego, czego wymaga chrześcijańska pobożność i co wiedzie ku zbawieniu? - myśli ktoś stawiający sobie te pytania i zaraz przystępuje do zgłębiania modlitwy czyta, rozmyśla, przyswaja sobie nauki tych, co na ten temat piszą. To prawda, że znajduje przy tym wiele myśli światłych, wiedzy głębokiej i słów ujmujących. Jeden z nich pięknie prowadzi rozważania o konieczności modlitwy, inny - o jej mocy, dobroczynnym wpływie, obowiązku modlitwy, o tym, że w modlitwie potrzebna jest wytrwałość, skupienie, gorliwość ducha, czystość myśli, pojednanie z nieprzyjaciółmi, pokora, skrusza, i wszystko inne, co tylko powinno być tu użyteczne. Ale czym jest modlitwa sama w sobie i jak właściwie należy się modlić? Ponieważ na te najważniejsze przecież i najbardziej naglące pytania rzadko zdarzy się znaleźć odpowiedzi wyczerpujące i zrozumiałe dla wszystkich, to człowiek gorliwie pragnący modlitwy znów natrafia na zasłonę tajemnicy. Z tego ogólnego odczytania zostanie mu w pamięci, chociaż i świątobliwa, ale przecież tylko zewnętrzna strona modlitwy, i dojdzie do takiego wniosku: modlić się, to znaczy chodzić do cerkwi, czynić znak krzyża, pokłony, klęczeć, odmawiać psalterz, kanony, akatysty... To ogólne przekonanie o modlitwie panuje wśród tych, którym nie są znane pisma o modlitwie wewnętrznej i kontemplacyjnym życiu świętych ojców.

Tak poszukując, napotyka wreszcie księgę zwaną Dobrotolubije, w której dwudziestu pięciu świętych ojców w sposób zrozumiały przedstawiło naukę prawdziwej, rzeczywistej modlitwy serca. Tutaj tajemnica zbawienia i modlitwy zaczyna się odsłaniać i spostrzega on, że modlić się prawdziwie oznacza skierować umysł i pamięć ku nieustannemu wspomnianiu Boga, chodzić w Jego obecności, wzbudzać w sobie miłość ku Niemu, wciąż o Nim myśleć, i łączyć imię Boga z oddechem i biciem serca, zmierzając ku temu wszystkiemu poprzez wzywianie swymi ustami Najświętszego Imienia Jezusa Chrystusa, albo odmawianie modlitwy Jezusowej w każdym miejscu, o każdym czasie, przy każdym zajęciu, nieustannie...

Chociaż te jaśniejsze prawdy, rozświetliwszy wiedzę poszukującego i otworzywszy mu drogę zgłębiania i osiągnięcia modlitwy, przekonają go o konieczności natychmiastowego przystąpienia do wypełniania tych mądrych pouczeń, jednakże podczas tych swoich prób, działając co jakiś czas, nie będzie pozbawiony trudności, dopóki doświadczony nauczyciel nie odkryje przed nim (według tej samej księgi Dobrotolubija) całkowicie tej tajemnicy, że tylko częstość i nieustanność modlitwy (w jakikolwiek sposób byłaby ona na początku odmawiana) jest jedynym skutecznym sposobem zarówno doskonalenia modlitwy wewnętrznej, jak i ratowania duszy: częstość modlitwy jest podstawą, fundamentem utrzymującym cały krąg zbawczego działania, jak to potwierdza św. Symeon Nowy Teolog: Ten - powiada - kto modli się nieustannie, złączył w tym jednym wszystkim, co dobre.

Chcąc zatem przedstawić istotę tego odkrycia w całej pełni, nauczyciel rozwija myśl w sposób następujący:

Po pierwsze: dla zbawienia duszy potrzebna jest prawdziwa wiara. Mówi Pismo Święte: "Bez wiary zaś nie można podobać się Bogu" (Hbr 11,6). Kto wiary nie ma, będzie osądzony.

Z tegoż Pisma Świętego wynika, że człowiek sam w sobie nie może wzbudzić wiary nawet tak małej jak ziarnko gorczycy, bo wiara pochodzi nie od nas, lecz jest darem Boga; wynika też, że wiara jako dar duchowy dawana jest przez Ducha Świętego.

Cóż zatem czynić? Jak pogodzić potrzebę wiary u człowieka z niemożnością wzbudzenia jej w sobie? W Piśmie Świętym ukazany jest prowadzący do tego sposób i przykłady: "Proście, a będzie wam dane" (Mt 7,7). Apostołowie nie mogli sami wzbudzić w sobie wiary doskonałej, ale prosili Jezusa Chrystusa: "Przymnóż nam wiary!" (Łk 17,5). Oto przykład pozyskiwania wiary. Widać że, że wiarę pozyskuje się dzięki modlitwie.

Do zbawienia duszy, oprócz prawdziwej wiary, potrzebne są jeszcze dobre czyny - cnoty, ponieważ wiara bez uczynków jest martwa (Jk 2,17), bo dzięki uczynom, a nie tylko samej wierze człowiek dostępuje usprawiedliwienia: chcesz mieć życie wieczne, zachowuj przykazania: "nie będziesz zabijał, nie będziesz cudzołożył, nie będziesz kradł, nie będziesz dawał fałszywego świadectwa, czcij ojca swego i matkę swoją, a bliźniego swego miłuj jak siebie samego" (Mt 19,18--19). Wszystkie te przykazania zachowuj łącznie: "Choćby ktoś przestrzegał całego Prawa, a przestąpiłby jedno tylko przykazanie, ponosi winę za wszystkie", uczy św. Apostoł Jakub (Jk 2,10).

A św. Apostoł Paweł ukazując człowieczą bezsilność powiada, że z uczynków Prawa żaden człowiek nie może dostąpić usprawiedliwienia (Rz 3,20). "Wiemy przecież, że Prawo jest duchowe. A ja jestem cielesny, zaprzędany w niewolę grzechu. (...) łatwo przychodzi mi chcieć tego, co dobre, ale wykonać nie. Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię to zło, którego nie chcę (...) umysłem służę Prawu Bożemu, ciałem zaś prawu grzechu" (Rz 7,14.18-19.25). W jaki zatem sposób wypełnić niezbędne dzieła wynikające z Prawa Bożego, jeśli człowiek jest bezsilny i nie ma możliwości uznania w sobie słuszności przykazań?

Nie ma takiej możliwości tylko dopóty, dopóki o nią nie prosi, póki się o nią nie modli: "...nic nie posiadacie, gdyż się nie modlicie" (Jk 4,2), ukazuje tego przyczynę św. Apostoł, ale także sam Jezus Chrystus mówi: "Beze Mnie nic nie możecie uczynić" (J 15,5c). A jak działać z Nim, poucza: "Wytrwajcie we Mnie, a Ja [będę trwał] w was. (...) Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity" (J 15,4a.5b). A trwać w Nim znaczy nieustannie odczuwać Jego obecność, nieustannie prosić w Jego imię (por. J 15,7). Widać i tu, że możliwość pełnienia dobrych dzieł zawdzięczamy znowu modlitwie! Przykład tego widzimy u samego Apostoła Pawła,

który trzykrotnie (por. 2 Kor 12,7-8), zgiąwszy kolana przed Bogiem Ojcem, modlił się o zwyciężenie pokusy, by umocnić Bóg człowieka wewnętrznego. W końcu Bóg nakazał mu przede wszystkim modlić się, i to o wszystko modlić się nieustannie. Z tego wszystkiego wynika, że całe zbawienie człowieczej duszy zależy od modlitwy, dlatego jest ona ważniejsza od wszystkiego i konieczna, bo ożywia wiarę, bo dzięki niej dopełniają się wszystkie cnoty. Jednym słowem dzięki modlitwie wszystko się wie dzie, a bez niej nie można dokonać żadnego dzieła chrześcijańskiej pobożności.

Dlatego nieustanność, stałość należą się tylko modlitwie; inne cnoty mają swój czas, a modlitwą należy zajmować się bez przerwy: módlcie się nieustannie; modlić się należy zawsze, o każdej porze, na każdym miejscu.

Prawdziwa modlitwa wymaga spełnienia pewnych warunków: winna być wymawiana z czystością myśli i serca, z płomienną gorliwością, uważnym skupieniem, trwożną czcią i najgłębszą pokorą. Ale któż z nas nie przyzna w szczerości, że daleki jest od spełnienia podanych warunków, że modlitwę odmawia raczej z konieczności, przymuszając się, a nie z ochoty, płynącej ze słodyczy, jaką modlitwa daje, nie z powodu umiłowania modlitwy? Także Pismo Święte świadczy o tym, że człowiek nie jest w stanie powstrzymać i rzeczywiście oczyścić, opróżnić swego umysłu z niewłaściwych myśli: bowiem myśli człowieka są złe już od jego młodości (Rdz 8,21), a jedynie Bóg może dać nam inne serce i nowego ducha (por. Ez 11,19; 36,26), bo nawet chcenie i działanie pochodzą od Boga (por. Flp 2,13). Nawet sam Apostoł Paweł powiedział: duch mój [tj. głos] wprowadzie się modli, ale umysł nie odnosi żadnych korzyści (1 Kor 14,14). I potwierdza to: nie umiemy się modlić tak, jak trzeba (Rz 8,26). Wynika z tego, że w naszej modlitwie nie możemy odnaleźć istotnych jej cech!

Cóż zatem, wobec takiej bezsilności każdego człowieka, zostaje możliwym dla jego woli i mocy w ratowaniu jego duszy?

Wiary osiągnąć nie może bez modlitwy, dobrych czynów także; w końcu okazuje się, że nie jest w stanie modlić się w sposób właściwy. Cóż mu pozostaje? Co może być jeszcze udziałem jego wolności i sił, by nie zginął, a uratował się?

Ponieważ jednak wszelkie dzieło ma pewną swoją cechę, jakość, to jej rodzaj zastrzegł Bóg dla swojej woli i swojego daru, a żeby jaśniej ukazać zależność człowieka od Bożej woli i głębiej zanurzyć go w pokorze, pozostawił Bóg woli i siłom człowieka jedynie ilościową stronę modlitwy, nakazując modlić się nieustannie, o każdej porze, na każdym miejscu. Poprzez to otwiera się tajemny sposób osiągnięcia prawdziwej modlitwy, a wraz z nią także i wiary, i wypełniania przykazań, i zbawienia. Tak to udziałem człowieka jest ilość modlitwy. Częstość modlitwy pozostawiona jest woli człowieka... Dokładnie tak uczą o tym Ojcowie Kościoła. Św. Makary mówi: jakiegokolwiek modlenie się (ale częste) leży w mocy naszej woli, ale prawdziwa modlitwa jest darem łaski. Wielebny Hezychiasz powiada, że częstość modlitwy sprzyja powstaniu nawyku i staje się naturą, że bez częstego wzywania imienia Jezusa Chrystusa nie można oczyścić serca.

Wielebni Kalikst i Ignacy przed wszelkimi czynami ascetycznymi i przed wszelkim dobrym czynem radzą modlitwę w imię Jezusa Chrystusa, częstą, nieustającą, bowiem częstość nawet modlitwę nieczystą prowadzi ku czystości. Błogosławiony Diadoch twierdzi, że gdyby człowiek jak tylko można często wzywał imienia Boga (modlił się), to nie wpadałby w grzechy. Jak sprawdzone, mądre i bliskie sercu są te praktyczne pouczenia świętych ojców! Z odczuwalną prostotą rzucają one światło na sposoby i środki doskonalenia duszy. Jak wielce różnią się one od pouczeń w dziedzinie moralności pochodzących od umysłów teoretycznych! Umysł przekonuje: uczyni to i to dobro, bądź mężny, użyj siły woli, utwierdzi się w przekonaniu myśląc o błogosławionych skutkach cnoty, na przykład: oczyść umysł i serce z pustych marzeń, ich miejsce niech zajmą pouczające rozmyślenia, czyni dobro, a będziesz szanowany i spokojny, żyj tak, jak tego domaga się rozum i sumienie... Ale niestety, mimo wszelkich wysiłków, nie przynosi to wszystko owocu bez częstej modlitwy, bez Bożej pomocy uzyskanej dzięki niej.

Po tym wszystkim otworzymy jeszcze nauki świętych ojców, popatrzymy, co mówią na przykład o oczyszczeniu duszy.

Św. Jan Klimak pisze: Jeśli twą duszę wypełnił mrok nieczystych myśli, to twych przeciwników zwyciężaj imieniem Jezusa, często je powtarzając. Broni mocniejszej i pewniej dającej zwycięstwo nie znajdziesz ni na niebie, ni na ziemi. Św. Grzegorz Synaita poucza: Wiedz, że nikt sam nie panuje nad swym umysłem, dlatego, gdy najdą cię nieczyste myśli, często i wielokrotnie wzywaj imienia Jezusa Chrystusa, a myśli te same przycichną. Jaki to prosty, łatwy i sprawdzony sposób, choć przeciwny jest on radom teoretycznego umysłu, zarozumiałego dążącego do osiągnięcia czystości za pomocą własnych wysiłków! Rozważywszy te sprawdzone rady świętych ojców dochodzimy do naturalnego wniosku, że podstawowym, jedynym i najłatwiejszym sposobem osiągnięcia doskonałości ducha i pełnienia zbawczych czynów jest częstość, nieustanność, choćby nawet najsłabszej, najmniej doskonałej modlitwy.

Duszo chrześcijańska! Jeśli nie znajdujesz w sobie siły, by oddawać Bogu cześć w duchu i prawdzie, jeśli twoje serce nie odczuwa ciepła i rozkosznego smaku modlitwy w twym umyśle i wnętrzu, to przynieś jako modlitewną ofiarę to, co możesz, to, na co pozwala twoja wola, co odpowiada twoim siłom. Niech niższe organy twoich ust najpierw nawykną do częstego, nieustępliwego modlitewnego wołania, niech często, nieustannie wzywają pełnego mocy imienia Jezusa Chrystusa. Nie jest to trudne i każdemu starczy na to sił.

Przecież tego samego domaga się wypróbowany nakaz świętego Apostoła: "składajmy Bogu ofiarę czci ustawicznie, to jest owoc warg, które wyznają Jego imię" (Hbr 13,15). Częstość modlitwy niezawodnie spowoduje powstanie nawyku i przekształci się w naturę, z czasem doprowadzi umysł i serce do właściwej postawy. Pomyśl też, że jeśli człowiek spełniałby ten jeden tylko Boży nakaz nieustannej modlitwy, to tym samym wypełniałby wszystkie przykazania, bo przecież gdyby nieustannie, w każdym czasie, podczas wszelkich zajęć i spraw modlił się, w sekrecie wzywał Bożego imienia Jezusa Chrystusa, choćby nawet na początku nie odczuwając ciepła i gorliwości duszy, choćby tylko przymuszając się, to wtedy nie miałby już czasu na grzeszne rozkosze zmysłów. Każda jego występna myśl napotykałaby w swym biegu przeszkodę, żadna grzeszna sprawa nie mogłaby być tak skutecznie obmyślana, jak to ma miejsce w umyśle beczynnym: zmniejszyłoby się, albo i całkowicie zanikło, wielomówstwo, gadatliwość, a każdy postępek zaraz byłby oczyszczany zbawienną mocą tak często przyzywanego imienia Bożego. Częste ćwiczenie w modlitwie raz po raz odciągałoby duszę od spraw grzesznych, a prowadziłoby ją do tego, co prawdziwie jest jej powołaniem: do jedności z Bogiem! Czy teraz już widzisz, jak ważna i niezbędna w modlitwie jest ilość? Częstość modlitwy jest jedynym sposobem osiągnięcia jej czystości i prawdziwości, stanowi ona najlepszy i najbardziej skuteczny sposób przygotowania do modlitwy i najpewniejszą drogę osiągnięcia celów modlitwy i zbawienia!

Aby przekonać się jeszcze bardziej, i to jak najmocniej, o konieczności i owocności częstej modlitwy, zauważ:
1. Każdy impuls ku modlitwie, każda o niej myśl, są działaniem Ducha Świętego i głosem twego Anioła Stróża;
2. Imię Jezusa Chrystusa, przyzywane podczas modlitwy, zawiera w sobie samoistną i samoczynną moc zbawczą i dlatego
3. Nie popadaj w zamieszanie z powodu braku czystości i z powodu oschłości modlitwy, a cierpliwie oczekuj owoców częstego wzywania imienia Bożego. Nie słuchaj niedoświadczonego, bezsensownego podszeptu rozgorączkowanego świata, że jakoby samo, nawet natarczywe, ale chłodne wołanie jest bezcelowym wielomówstwem... Nie! Moc imienia Bożego i częstość wezwań wydadzą owoce w swoim czasie!

Pięknie rozważa to jeden z duchownych pisarzy: "Wiem, powiada on, że dla wielu rzekomo duchownych, niby to mądrych filozofów, wszędzie poszukujących fałszywej wielkości i jakoby szlachetnych w oczach rozumu i pychy ćwiczeń, zwykle wymawianie ustami, w jeden sposób, takie częste ćwiczenie w modlitwie jest zajęciem znaczącym niewiele i niskim; wręcz uważają to za próżnowanie. Oszukują jednak, nieszczęśliwi, samych siebie i zapominają o pouczeniu Jezusa Chrystusa: «Jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego» (Mt 18,3). Tworzą sobie jakąś szkołę modlitwy na chwiejnym fundamencie własnego rozumu. A czy wiele potrzeba nauki, rozumu albo wiedzy, żeby z czystego serca powiedzieć: «Jezusie, Synu Boży, zmiłuj się nade mną!» Czyż nie taką właśnie częstą modlitwę pochwalał sam nasz Boski Nauczyciel? Czyż cuda nie były uproszone i spowodowane przez takie właśnie krótkie, ale częste modlitwy? O duszo chrześcijańska! Czuwaj i nie ustawaj w odmawianiu Jezusowej modlitwy! Choćby twoje wołanie pochodziło z serca pełnego jeszcze rozproszeń i zajętego w dużej części sprawami świata - nie szkodzi! Wołaj dalej, nie zamilknij, nie niepokój się: twoje wołanie oczyści się od tego. Nie zapominaj nigdy, że «większy jest Ten, który w was jest, od tego, który jest w świecie» (1 J 4,4), bowiem «Bóg jest większy od naszego serca i zna wszystko» (1 J 3,20), mówi Apostoł.

Po tych wszystkich rozważaniach, mających na celu przekonanie, że częstość modlitwy przy całej bezsilności człowieka jest tak pełna mocy, bezwzględnie dostępna człowiekowi i podlega jego woli, zdecyduj się spróbować, na pierwszy raz choć przez dzień, obserwować siebie i częstość twojej modlitwy tak, by na modlitewnym wzywaniu imienia Jezusa Chrystusa zeszło ci w ciągu doby znacznie więcej czasu niż na innych zajęciach. Ta przewaga modlitwy nad sprawami życiowymi z czasem poświadczy ci na pewno, że dzień ten nie był stracony, ale pozyskany dla zbawienia, że na wadze Bożej sprawiedliwości częsta modlitwa przechyla szalę twoich słabości i postępków, zmazuje grzechy tego dnia w księdze pamięci sumienia, stawia cię na stopniu wiodącym ku prawości i daje ci nadzieję uświęcenia także w życiu wiecznym. (Z rękopisu autora, otrzymanego przez o. Ambrożego z monasteru Dobry).

PIELGRZYM: Dziękuję ci z całej duszy, święty ojcze! Napełniłeś moją grzeszną duszę słodyczą. Pozwól mi, na miłość Boga, przepisać te karty, kilka godzin mi na to wystarczy. To, co przeczytałeś, tak jest piękne, raduje tak, że nawet mój głupi umysł to pojmuje, a dokładniutko jest takie samo jak rozważania świętych ojców w Dobrotolubiju. Na przykład Jan z Karpatos w czwartej części Dobrotolubija także mówi, że jeśli brak ci sił do powściągliwości i stanowczych poświęceń, to wiedz, że Bóg chce cię uratować poprzez modlitwę. A w tym zeszyciku jakże jest to pięknie i w zrozumiałym sposób wywiedzione. Błogosławię najpierw Boga, a potem ciebie, za to, że pozwolił mi to usłyszeć!

PROFESOR: Z wielką uwagą i zadowoleniem wysłuchałem tego wykładu, najczcigodniejszy ojcze! Wszystkie argumenty odpowiadają surowym wymaganiom logiki i zasługują na uwagę, ale jednocześnie wydaje mi się, że możliwość nieustannej modlitwy warunkują przede wszystkim sprzyjające jej okoliczności i odosobnienie dające całkowity spokój. Zgadzam się bowiem, że częsta czy nieustanna modlitwa jest potężnym i jedynym sposobem zyskania zbawiennej pomocy we wszystkich czynach pobożności i uświęcania duszy. Sposób ten jest na miarę sił człowieka, ale może być stosowany jedynie wtedy, gdy człowiek ma możliwość przebywania w samotności i spokoju: często czy nieustannie modlić się można tylko po odsunięciu się od zajęć, i trosk i

rozproszeń; wtedy pozostaje już tylko zmaganie się z lenistwem albo znużeniem wywołanym przez myśli. Ale jeśli ciężą na nim obowiązki, nieustanne załatwianie spraw zmusza go do ciągłego przebywania w hałaśliwym towarzystwie innych, to choćby nawet gorliwie pragnął często się modlić, będzie to dla niego niemożliwe z powodu nieuniknionego rozproszenia. Dlatego jedyny sposób częstej modlitwy, pod warunkiem sprzyjających okoliczności, nie przez wszystkich może być stosowany i nie dla wszystkich jest dostępny.

MNICH-POKUTNIK: Takie wnioski nie jest trafne! Nie mówiąc już o tym, że serce, nauczone wewnętrznej modlitwy, może zawsze, podczas wszelkich zajęć (i fizycznych, i umysłowych), pośród wszelkiego zgiełku nieustannie się modlić i wzywać imienia Bożego (człowiek doświadczony już to wypróbował, a niedoświadczonego trzeba stopniowo uczyć). Można stanowczo powiedzieć, że żadne uboczne rozproszenie nie może przerwać modlitwy w tym, który pragnie się modlić, ponieważ tajemna myśl człowieka nie podlega żadnym zewnętrznym powiązaniom, jest sama w sobie całkowicie wolna, w każdym czasie może być ona odczuwana i przemieniana w modlitwę, nawet sam język może w sposób tajemny, bez zewnętrznych dźwięków, wymawiać modlitwę w obecności innych osób, nawet licznych, podczas zewnętrznych zajęć. W dodatku zajęcia nasze nie są aż tak ważne, a rozmowy aż tak zajmujące, żeby nie można było znaleźć dogodnego sposobu i od czasu do czasu, ale często, wzywać imienia Jezusa Chrystusa, nawet jeśli umysł nie jest jeszcze przyuczony do nieustannej modlitwy, choć jest oczywiste, że oddalenie się od ludzi i spraw rozpraszających stanowi główny warunek uważnej i nieustannej modlitwy. Jeśli jednak warunku tego spełnić nie można, to nie należy usprawiedliwiać rzadkości naszej modlitwy: jako że ilość, częstość leży w możliwościach każdego - i zdrowego, i chorego, i podlega jego woli.

Potwierdza to przykład tych, którzy obciążeni licznymi obowiązkami, rozpraszającymi zajęciami, troskami, kłopotami i pracą, nie tylko zawsze wzywali Boskiego imienia Jezusa Chrystusa, ale poprzez to nauczyli się i osiągnęli stan nieustannej wewnętrznej modlitwy serca. W ten sposób patriarcha Focjusz, wezwany do godności patriarchy spośród senatorów, kierując wiernymi wielkiego patriarchatu konstantynopolskiego, nieustannie wzywał imienia Bożego i nawet osiągnął w ten sposób stan spontanicznej modlitwy serca. Także Kalikst na świętej Górze Atos nauczył się nieustannej modlitwy, jako ćwiczenie podjąwszy pełną trosk pracę kucharza. Również prostoduszny Łazarz, obciążony nieustannymi zajęciami dla dobra braci, bez przerwy, podczas wszystkich hałaśliwych zajęć odmawiał modlitwę Jezusową i uspokajał się: także wielu innych, w podobny sposób ćwiczących się w nieustannym wzywaniu imienia Bożego. Jeśli byłoby rzeczą niemożliwą modlić się przy rozpraszających zajęciach, albo w obecności innych, to oczywiście rzecz niemożliwa nie byłaby nakazywana. Św. Jan Złotousty w swym pouczeniu o modlitwie mówi tak: "Nikt nie powinien odpowiadać, że niemożliwa jest nieustanna modlitwa dla tego, kto zajęty jest troskami życiowymi albo kto nie może przebywać w świątyni. Wszędzie, gdziekolwiek byś się znajdował, możesz poprzez modlitwę postawić w twym umyśle ołtarz ofiarny dla Boga". Dlatego modlić się wypada i na jarmarku, i podczas podróży, i temu, co jako sprzedawca stoi, i temu, co jako rzemieślnik pracuje na siedząco; można modlić się wszędzie, na każdym miejscu.

Rzeczywiście, jeśli człowiek należycie przyjrzy się sobie, to zawsze znajdzie możliwość modlitwy, trzeba jednak, by był przekonany, że modlitwa winna być zajęciem najważniejszym, poprzedzającym wszystkie inne obowiązki. Gdyby rzeczywiście tak było, to oczywiście zajmowałby się swoimi sprawami w sposób bardziej zdecydowany, podczas koniecznych rozmów zważałby na ich zwartość, potrzebę milczenia i uchylania się od próżnego wielomówstwa, nie krzątałby się też nadmiernie wokół różnych spraw, a dzięki temu zyskiwałby więcej czasu na cichą modlitwę. Przy takim nastawieniu wszystkie jego działania, dzięki mocy płynącej z wzywania Bożego imienia, cechowałoby powodzenie. W końcu wdobyłby się do nieustannego modlitewnego wzywania imienia Jezusa Chrystusa i przekonał się, że częstość modlitwy, ten jedyny zbawczy środek, leży w możliwościach i woli człowieka, że można modlić się o każdym czasie, w każdej sytuacji i na każdym miejscu, że dobrze jest przechodzić od częstej modlitwy warg do modlitwy myślanej, a od niej do modlitwy serca, otwierającej w naszym wnętrzu królestwo Boże.

PROFESOR: Zgadza się z tym, że podczas wszelkich zajęć mechanicznych można, a nawet należy, często czy też nieustannie się modlić, ponieważ mechaniczne czynności rąk nie wymagają natężonego zagłębiania się i wielkiego zastanawiania się i dlatego mój umysł może jednocześnie pogрузić się w nieustannej modlitwie, a usta podążają za nim. Kiedy jednak mam się zająć czymś wyłącznie umysłowym, np. uważną lekturą, rozmyślaniami nad jakimś głębokim problemem albo dziełem, to czyż mogę wtedy jednocześnie modlić się moim umysłem i ustami? A ponieważ modlitwa jest głównie sprawą umysłu, to jakże w tym samym czasie jednemu przecież umysłowi mogę dać różnorodne zajęcia?

MMCH-POKUTNIK: Rozwiązanie tego pańskiego problemu nie będzie trudne, jeśli uwzględnimy, że ci, co modlą się nieustannie, dzielą się na trzy grupy: 1. Początkujących, 2. Zaawansowanych, 3. Nauczonych modlitwy. Dlatego początkujący mogą podczas zajęć umysłowych często wznosić umysł i serce ku Bogu i wypowiadać krótką modlitwę ustną, a zaawansowani, albo ci, którzy osiągnęli już stałe nastawienie swego umysłu, mogą zajmować się rozmyślaniami albo pracą w nieustannej Bożej obecności, co jest podstawą

modlitwy. Wyjaśnić może to następujący przykład. Wyobraź sobie, że srogi i wymagający car polecił ci przeprowadzić rozmyślanie nad danym przezeń głębokim problemem, i to w jego obecności, u stóp jego tronu. Choćbyś był całkiem zajęty tą sprawą, to jednak obecność cara, w którego rękę spoczywa twoje życie, o władnawszy tobą nie pozwoli, byś na najmniejszą chwilkę zapomniał, że zastanawiasz się, rozumujesz i tworzysz nie w samotności, a w miejscu wymagającym szczególnej czci, uszanowania i dobrych manier. Właśnie to odczucie, żywe poczucie bliskości cara bardzo jasno ukazuje możliwość nieustannego zajmowania się modlitwą wewnętrzną także podczas zajęć umysłowych.

Jeśli zaś chodzi o tych, którzy dzięki długotrwałym ćwiczeniom albo łasce Bożej przeszli od modlitwy umysłu do modlitwy serca, to nie tylko przy silnym zajęciu umysłu, ale nawet podczas snu nie przerywają oni nieustannej modlitwy, co poświadcza Najwyższa Mądrość: "Ja śpię, lecz serce me czuwa..." (Pnp 5,2). U zaawansowanych serce nabywa takiej zdolności wzywania imienia Bożego, że samo z siebie pobudzając się do modlitwy, pociąga umysł i całą duszę ku nieustannemu wylewaniu modlitwy, niezależnie od stanu modlącego się i od tego, czym się on zajmuje, nawet gdyby to były sprawy abstrakcyjne, wciągające umysł.

K.4rŁ.at~: Pozwól także i mnie, wielebny ojcze, powiedzieć, co myślę. W przeczytanym przez ciebie artykule powiedziane jest jasno, że jedynym sposobem zbawiania i doskonalenia się jest częstość modlitwy, niezależnie od tego, jaka ona będzie... Trudno mi to zrozumieć i dlatego myślę sobie tak: jaki pożytek będzie z tego, gdy bez przerwy będę się modlił i tylko językiem wzywał imię Boże, bez uwagi, nie rozumiejąc, co mówię? Toż to czyste pustostowie! Język się od tego zapłaczę, a umysł, któremu tak będzie się przeszkadzać, też szkodę poniesie. Bóg nie żąda od nas słów, a uważnego umysłu i czystego serca. Czyż nie lepiej odmówić bodaj i krótką modlitwę, nawet rzadko albo tylko w naznaczonym czasie, ale za to z uwagą, gorliwością, ciepłem duszy i należnym zrozumieniem? W przeciwnym przypadku choćbyś dzień i noc odmawiał modlitwę, to nie mając czystej duszy i dobrych czynów nie osiągniesz nic zbawczego. Zostając przy zewnętrznej tylko gadaninie, zmęczysz się wreszcie i znudziwszy, osiągniesz skutek taki, że całkiem ostygnie twoja wiara w modlitwę i całkiem rzucisz to bezowocne ćwiczenie. Bezużyteczność samej tylko modlitwy ustnej można też zobaczyć w demaskujących słowach Pisma Świętego, np. "Ten lud czci Mnie wargami, lecz sercem swym daleko jest ode Mnie..." (Iz 29,13); "Nie każdy, który Mi mówi: «Panie, Panie!», wejdzie do królestwa niebieskiego..." (Mt 7,21); Wolę pięć słów powiedzieć ze zrozumieniem... niżeli dziesięć tysięcy słów językiem (por. 1 Kor 14,19) i inne... Wszystko to ukazuje bezowocność zewnętrznej, pozbawionej skupienia modlitwy ust.

MNICH-POKUTNIK: Przedstawiony wniosek mógłby być w pewnym stopniu uzasadniony, gdyby z zaleceniem ustnej modlitwy nie łączyła się nieustanność czy też stałość, gdyby też modlitwa w imię Jezusa Chrystusa nie miała mocy sama z siebie i gdyby gorliwość w niej i uwaga nie rosły w miarę modlitewnych ćwiczeń. Ponieważ jednak chodzi tu o częstość, długotrwałość i nieustanność modlitwy (choćby początkowo towarzyszyła jej nieuwaga czy oschłość), to tym samym obalone zostają owe przedstawione niewłaściwe wnioski. Rozważmy to dokładniej. Jeden z pisarzy duchownych, przekonując o ogromnych korzyściach i życiodajności częstej modlitwy, wypowiedzianej tymi samymi słowami, na koniec mówi: Choć liczni, niby to wykształceni ludzie, uważają za rzecz bezużyteczną, a nawet błahą, to ustne i częste odmawianie jednej i tej samej modlitwy, nazywając to mechanicznym i bezsensownym zajęciem prostaków, ale na nieszczęście nie znają tej tajemnicy, która objawiona zostaje skutkiem tego mechanicznego ćwiczenia: nie wiedzą, że temu częstemu lamentowi ust towarzyszy w sposób niedostrzegalny rzeczywisty krzyk serca, że przenika on do głębi człowieka, staje się czymś mu najmiłszym, jakby naturalnym dla duszy, oświeca ją bowiem, ożywia i prowadzi ku zjednoczeniu z Bogiem. Wydaje mi się, że owi krytykanci podobni są do małych dzieci, które ktoś chciał nauczyć alfabetu i czytania. Znużone nauką krzyknęły kiedyś: Czyż nie sto razy lepiej pójść łowić ryby, jak to czynią nasi ojcowie, niż cały dzień spędzać na powtarzaniu A, B, C i skrobaniu ptasim piórem po papierze? Korzyść, oświecenie lekturą, co powinno być skutkiem zapamiętywania liter, były przed nimi zakryte.

Podobnie jest najskrytszą tajemnicą owo zwykłe, ale częste wzywanie imienia Bożego, dla tych, co nie wiedzą i nie są przekonani o wynikających stąd największych pożytkach. Mierząc sprawy wiary za pomocą swego niedoświadczonego i krótkowzrocznego umysłu, zapominają jednocześnie, że człowiek składa się z ciała i duszy... Z jakiego to na przykład powodu, pragnąc oczyścić duszę, oczyszczasz najpierw ciało: nakładasz na siebie posty, pozbawiasz ciało pokarmów pożywnych i pobudzających? Oczywiście dlatego, by ci nie przeszkadzało, albo mówiąc lepiej, by sprzyjało czystości duszy i oświeceniu umysłu; żeby nieustanne odczuwanie głodu cielesnego przypominało ci o twej stanowczości w poszukiwaniu wewnętrznego udoskonalenia i tego, co podoba się Bogu, a o czym tak łatwo zapominasz... Przekonujesz i się wtedy doświadczalnie, że poprzez zewnętrzny post twego ciała zyskujesz wewnętrzne wysubtelnienie umysłu, spokój serca, narzędzie do poskramiania namiętności i przypomnienie o ćwiczeniu ducha. W ten sposób za pomocą materii zewnętrznej zyskujesz wewnętrzną duchową korzyść i pomoc. Tak też pojmuj ustną nieustanną czy częstą modlitwę, która poprzez swą długotrwałość rozwija wewnętrzną modlitwę serca: usposabia i sprzyja umysłowemu zjednoczeniu z Bogiem.

Na darmo mniemają, że od częstego powtarzania można sobie zwichnąć język oraz że znudziwszy się oschłą niezrozumiałością zostawia się całkiem to bezużyteczne zewnętrzne ćwiczenie w modlitwie. Nie! Doświadczenie pokazuje coś całkiem przeciwnego: ci, co modlą się nieustannie, zapewniają, że bywa taki ten,

kto zdecydował się nieustannie wzywać imienia Jezusa Chrystusa albo, co na jedno wychodzi, nieustannie odmawiać modlitwę Jezusową, odczuwa oczywiście na początku trud i walczy z lenistwem, ale im dłużej, więcej się ćwiczy, tym bardziej zżywa się, i to niezauważenie, z tym zajęciem, tak że jego usta i język nabywają zdolności do samoczynnego poruszania się i już bez wysiłku, same z siebie, niepowstrzymanie poruszają się i bezgłośnie wypowiadają słowa modlitwy. A zarazem mechanizm mięśni krtani tak się do tego dostraja, że modlący się zaczyna odczuwać, iż wypowiadanie modlitwy stanowi stałą, istotną jego cechę, a nawet przy każdym zatrzymaniu jej odczuwa, że czegoś mu brakuje. Staje się to podstawą tego, że i umysł sam z siebie zaczyna się temu poddawać i przysłuchiwać bezwiednemu ruchowi ust, będąc przezeń pobudzany do uwagi, która bywa w końcu źródłem słodyczy serca i prawdziwej modlitwy. Oto rzeczywiste i dobroczynne skutki nieustannej albo częstej modlitwy ustnej, całkowicie przeczące wnioskowi ludzi niedoświadczonych i nie rozumiejących tych spraw!

Co się zaś tyczy fragmentów Pisma Świętego przytoczonych na poparcie wyrażonego sprzeciwu, to można je wytłumaczyć poprzez należyte ich rozważenie. Fałszywe oddawanie czci Bogu ustami, wynoszenie się z tego powodu, przewrotne zwracanie się wezwaniem: "Panie, Panie!" demaskował Jezus Chrystus dlatego, że pyszni faryzeusze wiarę w Boga wyznawali jedynie językiem, a nie potwierdzali jej życiem i nie uznawali sercem. Słowa te zostały więc skierowane do nich i nie dotyczą odmawiania modlitwy, co do której Jezus nakazywał konkretnie i wyraźnie: Zawsze trzeba się modlić, a nie ustawać (Łk 18,1). Podobnie także św. Apostoł Paweł, gdy daje pierwszeństwo pięciu słowom wypowiedzianym w sposób zrozumiały, a nie mnóstwu słów bez sensu albo w nieznanym języku w Kościele, to ma tu na myśli nauczanie publiczne, a nie modlitwę, o której mówi tak: "Chcę więc, by mężczyźni modlili się na każdym miejscu [...] podobnie kobiety [...]" (1 Tm 2,8-9), radząc ogół

nie: "Módlcie się nieustannie" (1 Tes 5,17). Czyż teraz nie widać, jak owocna jest częsta modlitwa, mimo całej swej prostoty? I jak poważnej refleksji wymaga prawidłowe rozumienie Pisma Świętego!

PIELGRZYM: To jest właśnie tak, najczcigodniejszy ojcze! Wielu spotkałem ludzi, którzy zwyczajnie, bez jakiegoś wyjaśniającego pouczenia, nie wiedząc nawet, czym jest uwaga, sami z siebie wypowiadając ustami nieustanną modlitwę Jezusową osiągnęli to, że ich usta i język nie mogły powstrzymać się od modlitwy, która następnie tak ich radowała i oświecała, że ze słabych i niedbałych czyniła mocarzy ducha i obrońców cnót.

MNICH-POKUTNIK: Tak! Modlitwa jakby przeistacza człowieka. Jej siła jest tak ogromna, że nic, żadna moc namiętności, nie może jej stawić czoła. Jeśli uznacie to za szczęśliwy pomysł, to na pożegnanie przeczytam wam, bracia, króciutki, ale ciekawy artykułek, który akurat mam przy sobie.

WSZYSCY: Posłuchamy ze skupieniem i radością!...

MNICH-POKUTNIK: O potędze modlitwy. Modlitwa jest tak potężna, tak pełna mocy, że módl się i czyń, co chcesz, a modlitwa doprowadzi cię do czynów właściwych i prawych.

Niczego zaś nie trzeba więcej, by podobać się Bogu, tylko kochać: "Kochaj i czyń, co chcesz", mówi święty Augustyn, bowiem ten, kto kocha naprawdę, nie może nawet chcieć uczynić czegoś niemilego temu, kogo kocha... A ponieważ modlitwa jest przejawem miłości, czynem z niej zrodzonym, to naprawdę można powiedzieć o niej podobnie: do zbawienia nie trzeba niczego więcej, prócz nieustannej modlitwy: módl się i czyń, co chcesz, a osiągniesz cele modlitwy, zyskasz płynące z niej oświecenie!

Wyjaśnimy to teraz, dla lepszego zrozumienia, za pomocą przykładów:

1. Módl się i myśl, co tylko chcesz, a modlitwa oczyści twe myśli. Modlitwa przyniesie oświecenie twego umysłu, wyciszy cię, odpędzi wszystkie myśli niestosowne. Potwierdza to św. Grzegorz Synaita: "Jeśli pragniesz, radzi on, odpędzić myśli, oczyścić umysł, to czyń to za pomocą modlitwy, bo nic prócz niej twych myśli nie utrzyma". Mówi o tym także św. Jan Klimaks "Za pomocą Jezusowego imienia zwyciężaj wrogów twych myśli, poza tą bronią innej nie znajdziesz".

2. Módl się i czyń, co chcesz, a czyny twoje będą podobać się Bogu, dla ciebie zaś będą pożyteczne i zbawienne.

Modlitwa częsta, niezależnie od jej celu, nie pozostanie bezowocna (Marek Asceta), ponieważ w niej samej tkwi moc łaski: "Święte jest Jego imię" (Łk 1,49). "Každy, kto wezwie imienia Pańskiego, będzie zbawiony" (J1 3,5; Dz 2,21). Na przykład pewien człowiek modlący się bezskutecznie w stanie grzechu, otrzymał podczas modlitwy dar opamiętania się i wezwanie do okazania skruchy. Zmysłowa dziewczyna modliła się wracając do domu i modlitwa ukazała jej drogę do życia w czystości i posłuszeństwie nauce Jezusa Chrystusa.

3. Módl się, a za wiele się nie trudź, by własnymi siłami pokonać namiętności. Modlitwa zniszczy je w tobie: "Większy jest Ten, który w was jest, od tego, który jest w świecie" (1 J 4,4), mówi Pismo Święte. A św. Jan z Karpatos uczy, że jeśli brak ci daru wstrzemięźliwości, nie smuć się, lecz wiedz, że Bóg wzywa cię w ten sposób do gorliwości w modlitwie; to ona przyniesie ci ratunek.

Starzec opisany w Żywotach Ojców, który "upadłszy zwyciężył", bowiem "potknąwszy się o grzech" nie wpadł w przygnębienie, ale wziął się za modlitwę i dzięki niej się ustatkował, służy tu jako potwierdzający przykład.

4. Módl się i niczego się nie obawiaj, nie bój się nieszczęść, nie lękaj się napaści - modlitwa ochroni cię, powstrzyma je. Wspomnij tonącego Piotra małej wiary, Pawła modlącego się w więzieniu, mnicha wybawionego dzięki modlitwie od ataku pokusy, dziewczynę uratowaną wskutek modlitwy od napaści niegodziwego żołnierza, wspomnij inne podobne przypadki: wszystko to potwierdza moc, potęgę modlitwy w imię Jezusa Chrystusa i to, że ogarnia ona wszystko.

5. Módl się, choć jakkolwiek, ale zawsze, i niczym się nie martw, niech duch twój będzie radosny i pełen pokoju: modlitwa rozwiąże wszystko i pouczy cię. Pamiętaj o tym, co o mocy modlitwy mówią święci Jan Złotousty i Marek Asceta. Pierwszy z nich twierdzi, że "modlitwa, choćby zanoszona była przez nas, którzy jesteśmy pełni grzechów, oczyszcza szybko...", a drugi tak o tym mówi: "Modlić się jakkolwiek - to leży w naszych siłach, a modlić się w sposób czysty - to dar łaski". Zatem to, co leży w twojej mocy, ofiaruj Bogu, najpierw przynosząc Mu w ofierze choćby ilość (co dla ciebie możliwe), a moc Boga wleje się w twoją niemoc. Nawet modlitwa oschła i w rozproszeniu, ale częsta, stała, stawszy się nawykiem, przekształcając się w naturę stanie się modlitwą czystą, jasną, płomienną i taką, jaką winna być.

6. Dlatego wreszcie, jeśli przez cały czas, gdy nie śpisz, modlisz się, to oczywiście zabraknie ci czasu nie tylko na grzeszne czyny, ale nawet na myślenie o nich.

Czyż teraz widzisz, ile to głębokich myśli skupia się w tym mądrym powiedzeniu: "Kochaj i czyń, co chcesz; módl się i czyń, co chcesz!" Jakże pełne radości i pociechy dla grzesznika obciążonego słabościami, jęczącego pod brzemieniem walczących z nim namiętności, są te słowa!

Modlitwa - oto wszystko, co jest nam dane jako wszechogarniający środek zbawienia i doskonalenia duszy... Tak! Ale ze słowem "modlitwa" ściśle związany jest jej warunek: "Módlcie się nieustannie", tak nakazuje Słowo Boże. Zatem modlitwa wtedy ujawni swą wszechmoc i owoce, gdy będzie wznoszona często, nieustannie, bowiem częstość modlitwy bezwzględnie zależy od naszej woli, podczas gdy czystość, gorliwość i doskonałość modlitwy są darem łaski.

Zatem módlmy się jak najczęściej, poświęcajmy całe nasze życie modlitwie, choćby początkowo była ona rozproszona! Częste ćwiczenie się w niej nauczy uwagi, a w ślad za ilością pójdzie bez wątpienia i jakość.

Żeby nauczyć się czynić coś dobrze, trzeba wykonywać to jak najczęściej, powiedział pewien doświadczony duchowny pisarz.

PROFESOR: Doprawdy! Wielka to rzecz, modlitwa! A gorliwość w częstym jej wymawianiu jest kluczem otwierającym jej zbawienne skarby. Ale jakże często dostrzegam w sobie zmaganie pomiędzy gorliwością a lenistwem! Jak bardzo pragnąłbym znaleźć środek, pomoc w odniesieniu zwyczajstwa, by przekonać się i nakłonić do nieustannej modlitwy!

MMCH-POKUTNIK: Liczni duchowni pisarze różne proponują środki, które biorą za podstawę zdrowy rozsądek, by nakłonić do gorliwości w modlitwie, na przykład:

1. Radzą zagłębić się w rozmyślania nad niezbędnością, wzniosłością i skutecznością modlitwy w ratowaniu duszy.
2. Przekonać się mocno, że Bóg bezwzględnie wymaga od nas modlitwy, a Jego słowo wszędzie to obwieszcza.
3. Stale pamiętać, że z powodu lenistwa i zaniedbania modlitwy nie można osiągnąć postępu w pełnieniu czynów pobożności i zyskać pokoju i zbawienia. Dlatego nieuchronnie trzeba się będzie za to poddać zarówno karze na ziemi, jak i mękom w życiu wiecznym.
4. Ożywić swoje zdecydowanie przykładami tych, którzy podobali się Bogu i drogą nieustannej modlitwy osiągnęli świętość i zbawienie itd.

Chociaż wszystkie te sposoby mają swoje zalety i wynikają z właściwego zrozumienia, to jednak dusza chora na niedbalstwo, zmysłowa, przyjmując je i stosując, rzadko dostrzega ich skuteczność, a to dlatego, że lekarstwa te gorzkie są dla jej zepsutego smaku i zbyt słabe jak na głębokie zniszczenie jej natury. Bo któż spośród chrześcijan nie wie, że modlić się należy i często, i pilnie, że wymaga tego Bóg, że za lenistwo w modlitwie poniesiemy karę, że wszyscy święci pilnie i nieustannie modlili się, jednakże cała ta wiedza rzadko przynosi dobroczynne skutki! Każdy, kto obserwuje siebie, dostrzega, że albo mało, albo wcale nie potwierdza czynami tych sugestii umysłu i sumienia i wspominając je, nawet często, nadal żyje źle, oddając się lenistwu...

Dlatego też doświadczeni i pełni Bożej mądrości święci ojcowie, znając słabość woli i ociężałość pożądlivego człowieczego serca, działają na nie w sposób szczególny także i z drugiej strony, podobnie jak to czynią lekarze zaprawiający gorzkie lekarstwo słodkim syropem i smarujący miodem krawędź naczyń z lekarstwem. Otwierają więc najłatwiejszą i najskuteczniejszą drogę wypędzenia lenistwa i zaniedbania w modlitwie, polegającą na nadziei, że przy Bożej pomocy osiągnie się doskonałość i błogość zaufania poprzez modlitwę miłości ku Bogu. Radzą więc rozmyślać, jak tylko można najczęściej, o takim właśnie stanie duszy i uważnie czytać, co o tym napisali święci ojcowie, którzy zachęcając przekonują, jak w sposób przystępny i łatwy, można osiągnąć te błogie stany wnętrza podczas modlitwy i jak bardzo winny być one upragnione. Należą tu: błogość rozlewająca się z serca, pełne słodczy ciepło i światłość przelewające się we wnętrzu, niewypowiedziany zachwyt, radość, lekkość, głęboki pokój, prawdziwa szczęśliwość i radość życia wzbudzane w sercu przez działanie modlitwy. Zagłębiając się w te rozmyślania nawet dusza słaba i ostygła rozgrzewa się, umacnia,

postępy zachęcają ją do modlitwy i, jak mówi o tym św. Izaak Syryjczyk, jest ona jakby przynęcana do doświadczenia ćwiczenia się w modlitwie: "Przynętą dla duszy jest radość, której źródłem jest nadzieja kwitnąca w sercu, a rozmyślanie o tym, w czym się pokłada ufność, daje sercu głębokie pocieszenie". I kontynuuje tak: "na początku tej czynności, ale i aż do końca przewiduje się jakiś sposób i nadzieja na dokonanie... a to pobudza umysł do założenia fundamentów pod owo dzieło, a poprzez wpatrywanie się w cel wpręga umysł do poszukiwania radości w działaniu". Także wielbny Hezychiasz opisując przeszkodę lenistwa w modlitwie i opamiętanie się w celu ponowienia gorliwości w niej, wprost pisze na zakończenie rzecz następującą: "Wtedy bowiem jesteśmy gotowi pragnąć w tym milczeniu serca nie czego innego, tylko tego błogiego w duszy uczucia i radości".

A z tego wynika, że zachętą do gorliwości w modlitwie według pouczenia tego ojca jest owo "błogie uczucie i radość..." Podobnie Makary Wielki uczy, że "nasze duchowe trudy (modlitwę) winniśmy spełniać z nadzieją na osiągnięcie owoców, to jest słodyczy w naszych sercach".

Jasne przykłady tego sposobu jako skutecznego środka znaleźć można w licznych fragmentach Dobrotolubija, gdzie szczegółowo opisane są rozkosze modlitwy. To one właśnie winny stać się jak najczęstszą lekturą tego, kto walczy z chorobą lenistwa czy oschłości podczas modlitwy. Winien on jednak uważać się za niegodnego tych radości i karcić się zawsze za niedbalstwo w modlitwie.

KAPŁAN: Czy takie rozważanie nie doprowadzi kogoś niedoświadczonego do duchowej pożądlivosti, jak teologowie nazywają dążenie duszy, która pragnie nadmiernych pociech i okazywania jej łask, nie zadowolając się tym, że powinna spełniać czyny pobożne ze względu na obowiązek, powinność, a nie marzyć o nagrodzie?

PROFESOR: Sądzę, że teologowie przestrzegają w tym przypadku przed nieumiarkowaniem albo pożądaniem duchowych słodyczy, a nie odrzucają całkiem słodyczy i radości związanych z cnotami, bowiem jeśli pragnienie nagrody nie jest doskonałością, to jednak Bóg nie broni człowiekowi myśleć o nagrodzie i radości, a nawet sam wykorzystuje myśl o nagrodzie, by zachęcić człowieka do wypełniania przykazań i osiągnięcia doskonałości: "Czcij ojca swego i matkę swoją" - oto przykazanie. A zaraz po tym nagroda zachęcająca do wypełniania go: "aby ci się dobrze powodziło" (Pwt 5,16). Albo: "Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz i rozdaj ubogim" - oto mamy wymóg doskonałości, a bezpośrednio po nim nagroda zachęcająca do osiągnięcia doskonałości: "będziesz miał skarb w niebie" (Mt 19,21). I także: Błogosławieni będziecie, gdy będą was ludzie nienawidzić... a imię wasze jako złe będą zniesławiać dla Syna Człowieczego (por. Łk 6,22) - oto wielkie wołanie o czyn, do spełniania którego konieczna jest niezwykła moc ducha i niewzruszona cierpliwość. Oto dlaczego tak wielka nagroda i pociecha, które zdolne są pobudzić i podtrzymać niezwykłą moc ducha: "...bo wielka jest wasza nagroda w niebie" (Łk 6,23). Dlatego też sądzę, że pewne dążenie do osiągnięcia słodyczy podczas modlitwy serca jest potrzebne i stanowi główny sposób osiągnięcia zarówno gorliwości, jak i owoców modlitwy. A wszystko to bezspornie potwierdza wysłuchane właśnie przez nas praktyczne rozważanie ojca pokutnika na ten temat...

MNICH-POKUTNIK: Na ten temat najjaśniej wypowiada się jeden z wielkich teologów, mianowicie św. Makary Egipski: Tak jak podczas sadzenia winnej latorośli dokłada się pilności i trudu z myślą o zebraniu owocu, a jeśli go nie będzie, to cała praca będzie daremna, tak jest i z modlitwą: jeśli nie dojrzyysz w sobie owoców ducha, to znaczy miłości, pokoju, radości i innych, to cały nasz wysiłek będzie daremny. Dlatego wysiłki naszego ducha, "modlitwę, winniśmy spełniać mając na celu nadzieje owoców, to znaczy rozkoszowania się słodyczą w naszych sercach". Czyż nie widzicie, z jaką jasnością rozwiązał ów święty ojciec problem potrzeby rozkoszowania się modlitwą? Akurat przypomniła mi się niedawno przeczytana opinia pewnego duchownego pisarza o tym, że naturalność modlitwy dla człowieka stanowi główny powód pociągu ku modlitwie i dlatego rozważanie tej naturalności może stać się skutecznym środkiem pobudzającym do gorliwości w modlitwie, czego tak bardzo poszukuje pan profesor. Zaraz krótko opowiem o tym, co zapamiętałem z tego traktatu. Pisze na przykład ów duchowny autor, że umysł i przyroda prowadzą człowieka do poznania Boga. Ten pierwszy bada, że nie ma działania bez przyczyny i po drabinie rzeczy dostrzegalnych, przechodząc od niższych ku wyższym, dociera wreszcie do Boga będącego pieszą przyczyną. Druga zaś, na każdym kroku ujawniając zadziwiająca mądrość, harmonię, ład, stopniowość, w ten sposób daje zasadniczy materiał do zbudowania drabiny wiodącej od przyczyn skończonych ku nieskończonej. W ten sposób człowiek natury dochodzi w naturalny sposób do poznania Boga. Dlatego nie było i nie ma narodu czy plemienia, nawet najdzikszego, które nie miałooby jakiegoś pojęcia o Bogu. Wskutek tego nawet najdzikszymi wypiarz bez żadnych dodatkowych zachęt, jakby mimo woli zwraca swój wzrok ku niebu, pada na kolana, wydaje niezrozumiałe dlań, ale tak potrzebne westchnienie, bezpośrednio odczuwa coś szczególnego, coś, co pociąga go ku górze, coś, co popycha go ku Nieznanemu... Na tej glebie wyrastają wszystkie religie naturalne i szczególnie godne uwagi jest to, że wszędzie istotą, duszą każdej religii jest tajemna modlitwa cechująca się jakimś rodzajem ruchów i otwartego składania darów, mniej lub bardziej zaciemnionego wskutek pogańskich wyobrażeń! Im jest to dziwniejsze dla naszego umysłu, tym bardziej domaga się odkrycia tajemniczej przyczyny tego dziwnego zjawiska polegającego na naturalnym dążeniu do modlitwy.

Psychologiczna odpowiedź na to nie jest trudna: korzeniem, wodzem i motorem wszystkich namiętności i działań człowieka jest wrodzone umiłowanie siebie samego. Potwierdza to w sposób wyraźny wrodzona i powszechna idea samozachowania. Każde pragnienie, każde przedsięwzięcie, każde działanie człowieka ma na celu zaspokojenie miłości własnej, szukanie własnego dobra. Zaspokojenie tej potrzeby towarzyszy całemu życiu człowieka. Ale duch człowieczy nie zadowala się niczym, co zmysłowe, i wrodzona miłość własna nie ustaje w swym dążeniu. Dlatego pragnienia wciąż rosną, dążenie ku temu, co uznajemy za dobro, rośnie, napełnia wyobraźnię i dostraja do tego uczucia. Wpływ tych wewnętrznych odczuć i samo z siebie rozwijające się pragnienie stanowią naturalny bodziec do modlitwy, są potrzebą miłości własnej, z trudem osiągniętej swe cele. Im mniej cieszy się człowiek pomyślnością i im więcej ma na uwadze własne dobro, tym więcej pragnie, tym bardziej wylewa swe pragnienia w modlitwie. Z prośbą o to, czego pragnie, zwraca się ku nieznanemu przyczynie wszystkiego, co istnieje. Tym sposobem wrodzona człowiekowi miłość własna, będąca głównym pierwiastkiem życia, jest zasadniczą przyczyną pobudzającą człowieka natury ku modlitwie!

Najmędrszy Stwórca wszechrzeczy wlał w naturę człowieka ową zdolność do miłowania samego siebie właśnie jako przynętę, według wyrażenia ojców, która pociągnęłaby i wyniosłaby upadłą istotę ku obcowaniu z niebem. O, gdyby człowiek nie niszczył tej zdolności, a utrzymywał ją w całej jej wspaniałości w stosunku do swej natury duchowej! Posiadałby wówczas silną zachętę i sposób poruszania się drogą wiodącą do moralnej doskonałości. Ale niestety! Jakże często z tej szlachetnej zdolności czyni on niegodziwą namiętność samolubstwa, gdy przemienia ją w narzędzie swej natury zwierzęcej!

Dziękuję wam serdecznie, moi najdrożsi goście! Wasza rozmowa o tych zbawiennych sprawach bardzo mnie uradowała i wiele nauczyła mnie, niedoświadczonego. Niech wam Bóg wynagrodzi swą łaską za waszą przykładną miłość...

Wszyscy pożegnali się.

Spotkanie trzecie



Módlcie się wzajemnie za siebie, abyście byli zbawieni. Jk 5,16

PIELGRZYM: Wraz z moim pobożnym towarzyszem podróży, profesorem, nie mogliśmy się oprzeć chęci zajścia do was, by ostatecznie się pożegnać i prosić przed wyruszeniem w drogę o modlitwę za nas...

PROFESOR: Głęboko zapadły w nas wasza szczerość i te zbawcze rozmowy, którymi rozkoszowaliśmy się tu, pośród naszych przyjaciół. Wspomnienie tego pozostanie w naszych duszach jako zadatek chrześcijańskiej miłości i obcowania także w tej, tak stąd dalekiej krainie, ku której dążymy.

STARZEC: Dziękuję wam za pamięć i miłość, ale tymczasem przyszlście w samą porę! Zatrzymali się u mnie dwaj podróżni: mnich z Mołdawii i pustelnik, który dwadzieścia lat przeżył w milczeniu w lesie. Chcieliby was ujrzeć, zaraz ich poproszę... Oto oni.

PIELGRZYM: Jakże błogosławione jest życie w pustelni! Jak sprzyja doprowadzeniu duszy bez przeszkód do zjednoczenia z Bogiem! Milczący las jest jak raj, jak Eden, w którym słodkie drzewo życia rośnie w rozmodlonym sercu mieszkańca pustelni. Gdybym tylko miał czym się żywić, to wydaje mi się, że nie rozstałbym się z życiem pustelnika.

PROFESOR: Z daleka wszystko wydaje się nam szczególnie pociągające, ale spróbowawszy przekonują się wszyscy, że każde miejsce ma swoje zalety i wady. Oczywiście dla kogoś, kto ma temperament melancholiczny i pociąg do milczenia, życie pustelnika jest radosne, ale ile niebezpieczeństw czeka na tej drodze! Historia ascezy podaje wiele przykładów, z których widać, jak liczni pustelnicy i samotnicy, którzy wyrzekli się obcowania z ludźmi, popadli w samoufudę i głęboką iluzję.

PUSTELNIK: Dziwię się, jak często w Rosji, i to nie tylko w monasterach, ale nawet pośród bogobojnych ludzi świeckich zdarza się usłyszeć, że licznych spośród tych, którzy pragną życia pustelniczego albo ćwiczenia się w modlitwie, powstrzymuje przed pójściem za tym wołaniem obawa, by nie zatracić się w iluzjach. Upierając się przy tym podają przykłady, by poprzeć swoje wnioski. Sami obcy są życiu wewnętrznemu i oddalają od niego jeszcze innych... Myślę, że wynika to z dwu powodów: albo z niezrozumienia sprawy i braku duchowego oświecenia, albo z własnego lenistwa w kontemplacji i z zazdrości, by inni, stojący na niższym stopniu poznania, nie przewyższyli ich w posiadaniu tej wyższej wiedzy. Szkoda, że ci, którzy trwają przy tych poglądach, nie zagłębiają się w rozważania świętych ojców, którzy wprost i stanowczo pouczają, że nie należy bać się ani mieć wątpliwości podczas wzywania Boga. Jeśli nawet niektórzy popadli w samouwielbienie czy też szaleństwo umysłu, to przydarzyło się to im z powodu pychy, braku nauczyciela i z powodu przyjęcia wizji i marzeń za rzeczywistość. A gdyby zdarzyła się taka pokusa (ciągną ojcowie), to doprowadziłaby do doświadczenia i wieńca chwały, bowiem szybka pomoc Boga chroni przy takich dopustach. Odwagi! Jestem z

wami, nie bójcie się! - mówi Jezus Chrystus. Wynika z tego, że daremną jest bojaźń i lęk przed życiem wewnętrznym pod pretekstem samouwielbienia, bowiem pokorne uznanie swoich grzechów, szczerść duszy względem nauczyciela i brak wizji podczas modlitwy są pewną i bezpieczną ostoją wobec iluzji, której wielu tak bardzo się lęka. Dlatego nie tykają oni sprawy rozumnej, podczas gdy właśnie sami tkwią w złudzeniach, według pełnych doświadczenia słów św. Filoteosa z Synaju, który mówi: "Liczni spośród mnichów nie rozumieją złudzenia swego umysłu, które pochodzi od demonów, to znaczy gorliwie ćwiczą się w samej tylko aktywności zewnętrznej (w cnotach zewnętrznych), natomiast o umysł, to znaczy o kontemplację wewnętrzną, nie troszczą się będąc nieoświeconymi i nieświadomymi". "Jeśli nawet usłyszą o innych, że łaska działała w ich wnętrzu, to z powodu zazdrości uważają to za złudzenie", potwierdza św. Grzegorz Synaita.

PROFESOR: Pozwólcie zadać jedno pytanie. Jest oczywiste, że uznanie swoich grzechów jest czymś właściwym dla każdego, kto zastanawia się nad sobą, ale jak postąpić, gdy brakuje nauczyciela, który sam doświadczony, mógłby kierować na drodze wewnętrznej, a przyjmując wyznania duszy, mógłby zapewnić prawidłowe i godne zaufania kierownictwo życia duchowego? W takim przypadku, oczywiście, lepiej nie tykać spraw kontemplacji, niż samemu, bez nauczyciela porywać się na nie? Następnie trudno mi też zrozumieć, w jaki sposób stawiając się w obecności Boga, uchronić się całkowicie od wizji i wyobrażeń? Nie byłoby to czymś naturalnym, ponieważ nasza dusza czy umysł nie może sobie nic wyobrazić bez postaci, formy, całkowicie bez jakiejś wizji. A właściwie dlaczego zanurzając umysł w Bogu nie wyobrażać sobie Jezusa Chrystusa, Trójcy Przenajświętszej?

PUSTELNIK: Wprawdzie kierownictwo doświadczonego, znającego się na sprawach duchowych nauczyciela czy starca, przed którym bez przeszkód, z zaufaniem i pożytkiem można by było co dzień otwierać duszę, tajniki swych myśli i spotkań na drodze kształcenia swego wnętrza, jest podstawowym warunkiem ćwiczenia się w modlitwie serca, co dokonuje się w milczeniu, ale w przypadku, gdy nie ma możliwości znalezienia kogoś takiego, ci sami ojcowie, którzy to nakazują, czynią tu wyjątek. Wielebny Nicefor Mnich wyraźnie poucza: "Przy ćwiczeniu się w wewnętrznej modlitwie serca potrzebny jest prawdziwy i znający się na rzeczy nauczyciel. Jeśli nie ma kogoś takiego, należy go pilnie szukać, ale jeśli nie znajdujesz, to ze skruszonym sercem wezwij Boga na pomoc, byś mógł zaczerpnąć pouczenie i znaleźć kierownictwo w nauce świętych oków i powierzyć się Słowu Bożemu objawionemu w Piśmie Świętym". Trzeba też uwzględnić i to, że jeśli ktoś prawdziwie, gorliwie pragnie znaleźć pouczenie, to rzecz pożyteczną i pouczającą może usłyszeć i od zwykłego człowieka. Święci ojcowie także zapewniają, że jeśli z wiarą i prawą intencją zapytasz nawet Saracena, to i ten może ci powiedzieć coś pożytecznego, a jeśli bez wiary i w złym celu domagasz się pouczenia proroka, to i on cię nie zadowoli... Przykład tego znajdujemy u Wielkiego Makarego Egipskiego, który pewnego razu został pouczony, dzięki czemu położył kres namiętności, przez prostego wieśniaka. Jeśli zaś chodzi o unikanie wizji, to znaczy by nie wyobrażać sobie i nie dopuszczać do żadnych zjawisk podczas kontemplacji: ani światła, ani anioła, Chrystusa, czy któregoś ze świętych i odrzucać wszelkie marzenia, to nakazują to doświadczeni święci ojcowie zapewne dlatego, że zdolność wyobrażania sobie łatwo może sprawiać, że nasze myśli nabiorą jakby kształtu i ożyją. Dlatego ktoś niedoświadczony łatwo może im ulec, uznać za przejawy łaski i popaść w złudzenia, a przecież samo Pismo Święte mówi, że i szatan podaje się za anioła światłości (por. 2 Kor 11,14). A to, że umysł w sposób naturalny i łatwy może znajdować się w stanie pozbawionym wizji i zachowywać ten stan pamiętając o Bożej obecności, dostrzegamy w tym, że siła wyobraźni może wyraźnie ukazać także coś bezpostaciowego i trwać przy tym odczuciu z uwagą, nawet gdy przedmiot ów nie podlega zmysłowi wzroku, nie mając zewnętrznej postaci czy formy. Na przykład możliwe jest wyobrażenie i odczucie w naszej duszy powiewu powietrza, ciepła, chłodu. Przecież znajdując się na chłodzie łatwo można wyobrazić sobie w umyśle ciepło, choć nie ma ono formy, nie daje się spostrzec wzrokiem, nie daje się zmierzyć dotykiem kogoś, kto na ten chłód jest narażony! Podobnie duchową i niepojętą istotę Boga można jakby uobecnić w umyśle, odczuć w sercu, nie mając przy tym żadnych wizji.

PIELGRZYM: Zdarzyło się i mnie podczas moich wędrówek usłyszeć od ludzi pobożnych i szukających zbawienia, że boją się oni, podejrzewając, że mogą popaść w złudzenia i samooszukiwanie, przybliżać do spraw życia wewnętrznego. Niektórym, z pożytkiem dla nich, czytywałem z Dobrotolubija pouczenia św. Grzegorza Synaity, który mówi, że to, co dzieje się w sercu, nie może być złudne (przeciwnie niż w umyśle), bowiem jeśli nieprzyjaciel zechciałby przemienić ciepło serca w swoje bezładne palenie, albo radość serca zastąpić mdłą słodyczą, to czas, doświadczenie i odczucia same zdemaskują te jego podstępny, nawet u tych, którzy nie są zbyt świadomi jego sztuczek.

Spotykałem też innych, takich, co nawet już poznali ścieżkę milczenia i modlitwy serca, ale napotkawszy niestety jakąś przeszkodę, czy dostrzegłszy grzeszną swą słabość wpadali w smutek, przygnębienie, zostawiając poznany już przez nich wewnętrzny czyn serca!

PROFESOR: I jest to czymś naturalnym! Sam czasem tego doświadczam, gdy zdarzy mi się zboczyć z drogi wewnętrznego skupienia ku temu, co mnie rozprasza, albo coś przewinić... Przecież jeśli wewnętrzna modlitwa serca jest rzeczą świętą, jednoczącą z Bogiem, to czyż wypada, czy nie byłoby zuchwałością wprowadzać

grzechy święte do grzesznego serca, nie oczyściwszy go najpierw przez milczącą, pełną skruchy pokutę i godne przygotowanie do spotkania z Bogiem? Lepiej zamilknąć przed Bogiem niż wypowiadać sercem zamroczonym i rozproszonym słowa szalone.

MNICH: To bardzo smutne, że tak myślicie! Przecież owo zanurzenie się w smutku i przygnębieniu, co jest gorsze jeszcze niż sam grzech, to główna broń świata ciemności skierowana przeciwko nam... Nasi doświadczeni święci ojcowie dają w takiej sytuacji zupełnie inne pouczenie. Wielebny Niceta Stetatos mówi, że jeśliś nawet upadł i zeszedł aż do głębin zła piekielnego, to i wówczas nie wpadaj w rozpacz, ale zaraz zwracaj się ku Bogu, a On szybko podniesie twoje upadłe serce i obdarzy cię siłą większą od tej, którą miałeś poprzednio. Dlatego po każdym upadku i zranieniu serca grzechem, trzeba natychmiast przedstawiać je Bożej obecności, by zyskać uzdrowienie i oczyszczenie, podobnie jak to się czyni z zarażonymi rzeczami, które poleżawszy trochę na słońcu tracą swoją zdolność zakażenia. Potwierdzają to liczni nauczyciele życia duchowego. W walce z wrogami zbawienia, z naszymi namiętnościami, nigdy nie należy odstępować od życiodajnej czynności, jaką jest wzywanie Jezusa Chrystusa, mieszkającego w naszych sercach! Nasze występki nie tylko nie powinny odciągać nas od chodzenia w Bożej obecności i od modlitwy wewnętrznej, pobudzając do niepokoju, przygnębienia i smutku, ale przeciwnie - winny pobudzać do szybkiego zwrócenia się ku Bogu. Dziecko prowadzone przez matkę, gdy zaczyna chodzić, przy potknięciu zwraca się ku niej szybciej i mocno się jej trzyma.

PUSTELK: Myślę, że duch przygnębienia i pogrążanie się w myślach pełnych zwątpienia są głównie skutkiem rozproszenia umysłu, zaniedbania siebie, braku milczenia. Starożytni ojcowie, obdarzeni Bożą mądrością, zwyciężali smutek, przygnębienie, doznawali wewnętrznego oświecenia i umocnienia swej ufności do Boga pośród spokojnej ciszy, w samotności. Przecież i nam zostawili taką mądrą radę: siedź w twej celi w milczeniu, a ona nauczy cię wszystkiego.

PROFESOR: Ze względu na zaufanie, jakim was darzę, chętnie usłyszałbym krytykę moich myśli dotyczących pochwalanego tu milczenia i zbawiennych korzyści płynących z życia samotnego, które tak umiłowali pustelnicy. Sam bowiem myślę o tym tak: ponieważ wszyscy ludzie zgodnie z prawem przyrody nadanym przez Stwórcę znajdują się w stanie niezbędnej wzajemnej zależności i dlatego zobowiązani są pomagać sobie wzajemnie w życiu, pracować dla siebie i być pożytecznymi, to na tym wspólnym działaniu opiera się dobrobyt rodzaju ludzkiego i miłość bliźniego. A czyż milczący pustelnik, zerwawszy kontakty z ludźmi, może w swej beczynności służyć bliźniemu i jaki pożytek przynosi dobru ludzkiej społeczności? Całkiem niszczy w sobie prawo Stwórcy dotyczące więzi miłości z tymi, którzy są mu podobni, i dobroczynnego wpływu na współbraci!

PUSTELNIK: Ponieważ pańskie poglądy na sprawę milczenia i pustelnicstwa nie są właściwe, to także wniosek nie jest prawidłowy. Przeanalizujmy to szczegółowo:

1. Samotnik żyjący w milczeniu nie tylko nie żyje w stanie beczynności i próżniactwa, ale głównie jest aktywny, i to nawet w wyższym stopniu niż ludzie żyjący w społeczeństwie. Niestrudzenie działa stosownie do swej wyższej, rozumnej natury: obserwuje, rozważa, śledzi przebieg i stan swego bytu moralnego. To jest właściwy cel milczenia! A jest to pożyteczne zarówno dla jego własnego doskonalenia się, jak i dla bliźnich pozbawionych możliwości zagłębiania się w siebie bez rozproszeń, dla rozwoju życia moralnego, ponieważ spostrzegawczy milczący samotnik, przekazując swoje wewnętrzne doświadczenia słowami (wyjątkowo) czy też na piśmie, skutecznie działa ku pożytkowi ducha i zbawieniu swych współbraci, i to bardziej, w wyższym stopniu niż żyjący w społeczeństwie pojedynczy dobroczyńca, bowiem dobroczynność ludzi świeckich, prywatna, dotycząca potrzeb zewnętrznych, ogranicza się zawsze do niewielkiej liczby obdarowanych. Tymczasem dobroczyńca w dziedzinie moralności, poszukujący przekonujących i sprawdzonych sposobów doskonalenia życia duchowego, staje się dobroczyńcą całych narodów. Jego doświadczenia i pouczenia przekazywane są z pokolenia na pokolenie, co widzimy i z czego korzystamy od starożytności aż po dzisiejszy dzień. I nie różni się to niczym od szczodrej jałmużny udzielonej z chrześcijańskiej miłości w imię Chrystusa, a nawet przewyższa ją swymi skutkami.

2. Dobroczynny i pożyteczny wpływ milczącego samotnika na bliźnich ujawnia się nie tylko w upowszechnianiu jego pouczających obserwacji życia wewnętrznego, ale nawet sam przykład jego odłączonego życia przynosi korzyść uważnemu człowiekowi żyjącemu pośród świata, prowadząc go ku zastanowieniu nad sobą i przywracając mu uczucie pobożności... Mieszkaniec świata, słysząc o pobożnym pustelniku czy prze chodząc w pobliżu pustelni, odczuwa bodziec w kierunku życia bogobojnego, przypomina sobie, rozmyśla nad tym, czym może być człowiek na ziemi, i o tym, jak możliwe jest przywrócenie człowiekowi pierwotnego stanu kontemplacji, w jakim wyszedł on z rąk Stwórcy. Milczący pustelnik swym milczeniem poucza, swym życiem przynosi korzyści, udziela nauk i pobudza ku szukaniu Boga.

3. Ukazane korzyści płyną z milczenia prawdziwego, oświeconego i ogarniętego światłem łaski, ale gdyby nawet milczący samotnik nie miał tych darów łaski, by być światłem dla świata, jeśli wstąpił na drogę milczenia tylko po to, by ukryć się przed podobnymi sobie, z powodu swego lenistwa i niedbalstwa oraz złego i

kuszącego przykładu, to i tak przyniosłoby wielką korzyść i miałby dobroczynny wpływ na społeczeństwo, pośród którego przebywa. Podobne to jest do wycinania suchych i nie owocujących gałęzi i usuwania chwastów przez ogrodnika, by bez przeszkód rosły rośliny lepsze i pożyteczne. Już to znaczy wiele i przynosi korzyści społeczeństwu, gdy taki samotnik przez swoje odejście do pustelni usuwa pokusy nieuchronnie grożące wskutek jego gorszącego życia wśród ludzi, mogące zepsuć obyczaje bliźnich.

O ważności milczenia św. Izaak Syryjczyk mówi tak: "Jeśli na jednej szali położymy wszystkie czyny tego życia, a na drugiej milczenie, to zobaczymy, że ono przeważa. Nie porównuj czyniących w świecie znaki i cuda, ukazujących moce, z tymi, którzy świadomie żyją w milczeniu. Umiłuj bardziej bezczynność milczenia niż nasycanie łaknących tego świata, niż nawracanie licznych narodów ku Bogu. Lepiej dla ciebie, byś uwolnił się z więzów grzechu, niż byś miał wyrwać niewolników spod jarzma niewoli".

Nawet mędrcy najbardziej pogańscy uznawali korzyści płynące z zachowania milczenia: filozoficzna szkoła neoplatońska kierowana przez filozofa Plotyna, mająca wielu znakomitych zwolenników, głęboko rozwijała życie wewnętrzne, kontemplacyjne, osiągnięte głównie w milczeniu. Pewien duchowny pisarz powiedział, że nawet gdyby państwo miało wykształcenie i moralność rozwinięte w najwyższym stopniu, to i wtedy pozostanie troska i potrzeba posiadania ludzi dla celów innych, kontemplacyjnych, leżących poza społeczną działalnością obywateli, by podtrzymywać ducha prawdy, i przejmując go od wszystkich wieków minionych zachowywać dla nadchodzących czasów i pokoleń. W Kościele takimi ludźmi są pustelnicy, anachoreci, mnisi żyjący w zamknięciu.

PIELGRZYM: Wydaje mi się, że nikt nie ocenił lepiej zalet milczenia, niż to uczynił św. Jan Klimaks "Milczenie, mówi on, jest matką modlitwy, powrotem z niewoli grzechu, niewidzialnym postępem w cnotach, ciągłym wstępowaniem w niebo". Przecież nawet sam Jezus Chrystus, aby ukazać nam pożytek i konieczność milczącej samotności, często zostawiając nauczanie publiczne oddalał się w miejsca ustronne, by w milczeniu i spokoju przebywać na modlitwie.

Ci, co żyją w milczeniu, oddając się kontemplacji, są jak filary podtrzymujące pobożność Kościoła przez swą nieustanną modlitwę: nawet w głębokiej starożytności widzimy, że liczni pobożni ludzie świata, nawet sami władcy narodów i ich dostojnicy, wyprawiali się, by odwiedzać pustelników i tych, co żyją w milczeniu, i błagać ich o modlitwę w intencji swego umocnienia i zbawienia. Wynika z tego, że nawet milczący samotnik może służyć bliźnim i współdziałać dla dobra i pożytku społeczeństwa poprzez swą samotną modlitwę.

PROFESOR: Jeszcze z jedną myślą nie mogę się uporać: wszyscy chrześcijanie mają zwyczaj proszenia siebie wzajemnie o modlitwę; pragnienie by inni modlili się za mnie, zwłaszcza powierzani mi członkowie Kościoła. Czy nie jest to zwyczajna potrzeba płynąca z miłości własnej, a może tylko przejęty, zasłyszany od innych, zwyczaj mówienia tak, bo tak się spodobało, bez głębszego zastanowienia? Czyż Bóg potrzebuje ludzkiego starania się, zabiegów, jeśli przecież przewiduje wszystko i czyni najlepiej według swej Opatrzności, a nie według naszych chęci, wiedząc i wyznaczając wszystko zanim poprosimy, jak to mówi święta Ewangelia? Czyż na Jego wyroki silniej może wpłynąć modlitwa wielu niż jednego? Byłby zatem Bóg kimś stronniczym? Czyż modlitwa innych może uratować mnie, gdy przecież każdy za swoje czyny będzie zawstydzony albo wystawiany? Dlatego proszenie innych o modlitwę jest, jak myślę, tylko pobożnym owocem duchowej uprzejmości, wystawiającej w dodatku na widok publiczny pokorę, chęć przypodobania się przez okazanie wzajemnych względów, i nic ponadto!

MNICH: Po dokonaniu analizy powierzchownej i według zasad filozofii pogańskiej można się z tym zgodzić, ale rozum uduchowiony, ogarnięty światłem religii, wykształcony dzięki doświadczeniom życia wewnętrznego, wnika głębiej, widzi jaśniej i w tajemny sposób odkrywa coś całkiem przeciwnego do tego, co zostało przedstawione! Aby szybciej i jaśniej to zrozumieć, wyjaśnimy za pomocą przykładu i porównamy tę prawdę ze Słowem Bożym. Na przykład: do pewnego nauczyciela przychodził uczeń na lekcje. Małe zdolności, nadto lenistwo i rozproszenie przeszkadzały temu uczniowi w osiągnięciu sukcesów i sprawiły, że zaliczono go do rzędu leni, opóźnionych w nauce. Zasmucony tym nie wiedział, co czynić, jak walczyć ze swymi wadami. Spotkawszy kiedyś innego ucznia, kolegę z klasy, bardziej zdolnego, gorliwego, mającego dobre wyniki, opowiedział mu o swym smutku. Ten, współczując mu, zaprosił go do wspólnej nauki: będziemy uczyć się razem, powiedział, będzie nam raźniej i weselej; dlatego wyniki będą lepsze...

Zaczęli więc uczyć się razem, przekazując sobie wzajemnie to, co zrozumieli, a uczyli się tego samego przedmiotu. I co się okazało po kilku dniach? Ten, co przedtem naukę zaniedbał, stał się uczniem pilnym, szkołę polubił, w miejsce lekceważenia przyszła gorliwość i pojętność, co wywarło dobroczynny wpływ na jego charakter i zachowanie. A jego pojętny kolega stał się jeszcze zdolniejszy i pilniejszy. Oddziaływując wzajemnie na siebie, skorzystali na tym obaj... Jest to całkiem naturalne, ponieważ człowiek rodzi się w ludzkiej społeczności, rozwija dzięki ludziom swą inteligencję; zwyczaje, nastroje, pragnienia, jednym słowem wszystko przejmuje według wzorów tych, co są mu podobni. A ponieważ życie ludzi polega na najściślejszych wzajemnych związkach, na ogromnych wzajemnych wpływach, to przyzwyczajenia, obyczaje i sposoby zachowania przejmują człowiek od tych, pośród których przebywa. Dlatego oziębły może się zapalić, tępy stać

się bystrym, leniwy dać się pobudzić do działania, a wszystko to dzięki żywemu uczestnictwu innego człowieka. Także duch może być przekazywany, może korzystnie oddziaływać na innych: pociągać ku modlitwie, ku skupieniu, dodawać odwagi pośród utrapień, odwozić od złych nałogów, pobudzać do działania uświęcającego i dlatego, dzięki tym wzajemnym wpływom, może okazywać pomoc w sposób bardziej pobożny, żywy i podobający się Bogu. Oto cała tajemnica modlitwy za innych, wyjaśniająca pobożny chrześcijański zwyczaj wzajemnej modlitwy, proszenia o modlitwę braci!

Widać zatem, że to nie Bóg zadowala się licznymi prośbami i zabiegami (jak to bywa z możnymi tej ziemi), a sam duch i moc modlitwy oczyszczają i pobudzają duszę, za którą zanoszona jest modlitwa, i sprawiają, że staje się ona zdolna do zjednoczenia z Bogiem.

Jeśli tak owocna jest wzajemna modlitwa tych, co żyją jeszcze na ziemi, to jest oczywiste, że modlitwa za tych, co zeszedli z tego świata jest tak samo wzajemnie korzystna, a to ze względu na bardzo ściśle więzi łączące świat górny i dolny. Tym sposobem mogą być włączane w obcowanie dusze Kościoła walczącego i dusze Kościoła triumfującego, to znaczy również dusze zmarłych.

Chociaż to, co powiedziałem, jest poglądem z dziedziny psychologii, to jednak otworzywszy Pismo Święte przekonamy się o jego prawdziwości!

1. Jezus Chrystus tak mówi do Apostoła Piotra: "Prosiłem za tobą, żeby nie ustała twoja wiara..." (Łk 22,32) Oto modlitwa Chrystusa umacnia ducha Piotra i dodaje mu otuchy w pokusie przeciwko wierze.

2. Podczas gdy Apostoł Piotr był uwięziony, Kościół modlił się za niego nieustannie (por. Dz 12,5). Jest tu ukazane, jak wielka może być pomoc modlitwy braci w smutnych sytuacjach naszego życia.

3. Najjaśniej wyrażony jest nakaz modlitwy za bliźnich przez świętego Apostoła Jakuba: Wyznawajcie jedni drugim grzechy swoje i módlcie się wzajemnie za siebie, abyście byli zbawieni, albowiem wiele może ustawiczna modlitwa sprawiedliwego (por. Jk 5,16). Mój psychologiczny wniosek znajduje tu wyraźne potwierdzenie.

A co powiedzieć o przykładzie Apostoła Pawła, danym nam jako wzorzec wzajemnej za siebie modlitwy? Jeden z autorów zauważa, że przykład Apostoła Pawła winien nas nauczyć, jak bardzo potrzebna jest wzajemna modlitwa, skoro ten tak święty i mocny bojownik ducha widzi dla siebie potrzebę tej duchowej modlitewnej pomocy. W liście do Hebrajczyków wyrażone jest to tak: "Módlcie się za nas, jesteśmy bowiem przekonani, że mamy czyste sumienie, starając się we wszystkim dobrze postępować" (Hbr 13,18). Zważywszy na to, jakże nierozumnie byłoby szukać oparcia we własnych tylko modlitwach i postępkach, gdy kierujący się pokorą, tak bardzo obdarzony łaską święty mąż prosi o złączenie modlitwy bliźnich (Hebrajczyków) z jego własną! Z jak wielką zatem pokorą, prostotą i w jakim przymierzu miłości trzeba nam nie lekceważyć, nie odrzucać modlitewnej pomocy, nawet kogoś o najsłabszej wierze, gdy przenikliwy duch Apostoła Pawła nie stawiał w tym przypadku wymagań, ale prosił o wspólną modlitwę wszystkich wiedząc, że moc Boża doskonali się w słabości (2 Kor 12,9); może zatem czasem objawić się także w tych, co pewnie słabo się modlą...

Przekonani tym przykładem zauważmy jeszcze, że wzajemna modlitwa podtrzymuje więzi chrześcijańskiej miłości, nakazanej przez Boga, świadczy o pokorze i duchu modlącego się, a od tego rozpala się wzajemna modlitwa.

PROFESOR: Piękna to i dokładna analiza oraz dowody, ale chętnie posłuchałbym o samym sposobie i formie modlitwy za bliźnich, myślę bowiem, że jeśli owocność modlitwy i jej wdrożenie zależą od żywego współczucia bliźniemu i przede wszystkim od stałego wpływu ducha tego, kto się modli, na ducha potrzebującego modlitwy, to czyż takie nastawienie duszy nie będzie odrywać od stałego przebywania w niewidzialnej Bożej obecności i od wylewania duszy przed Bogiem we własnych potrzebach? Bo jeśli tylko raz czy dwa razy w ciągu doby przypomnimy sobie bliźniego, będziemy mu współczuć i prosić o Bożą pomoc dla niego, to czyż to wystarczy do pociągnięcia i umocnienia duszy tego, za kogo się modlimy? Mówiąc krócej, chciałbym dowiedzieć się, w jaki sposób, jak modlić się za bliźnich?

MNICH: Modlitwa zanoszona do Boga z jakiegokolwiek powodu, nie powinna, a nawet nie może wyprowadzać ze stanu przebywania w Bożej obecności: przecież jeśli wypowiedana jest do Boga, to oczywiście odbywa się w Jego obecności... Jeśli zaś chodzi o sposób modlitwy za bliźnich, to należy zauważyć, że moc tej modlitwy polega na szczerym chrześcijańskim związku z bliźnim i wywiera wpływ na jego duszę stosownie do mocy tego związku. Zatem, gdy go wspomnisz (tzn. bliźniego), albo o wybranym czasie, skieruj wzrok ducha ku Bogu i odmów następującą modlitwę: Miłosierny Panie! Niech się spełni Twoja wola, pragnąca zbawić i doprowadzić wszystkich do prawdy, zlituj się i wspomóż sługę Twego NN. Przyjmij tę moją prośbę, jako wołanie miłości, którą nam nakazałeś.

Zazwyczaj słowa te powtarza się, gdy czujesz poruszenie duszy, albo można tę modlitwę odmawiać na paciorkach różańca.

Sam doświadczyłem, jak dobroczynny jest wpływ takiej modlitwy na tego, za kogo się modlimy.

PROFESOR: Ta pouczająca rozmowa i światłe myśli zaczerpnięte z twoich, ojcze, rozważań, zobowiązują do tego, by zatrzymać je niezatarte w pamięci, a w moim sercu żywić szacunek i wdzięczność wobec wszystkich was...

PIELGRZYM I PROFESOR: Tak nadszedł czas naszego rozstania. Jak najgoręcej prosimy o modlitwy za naszą podróż i wspólne wędrowanie!

STARZEC: Niech Bóg pokoju, który mocą krwi wiecznego przymierza wskrzesił spośród umarłych Wielkiego Pasterza owiec, Pana naszego Jezusa Chrystusa, uczyni was zdolnymi do wszelkiego dobrego czynu, byście pełnili Jego wolę. Niech sprawia w was to, co jest Mu miłe, przez Jezusa Chrystusa, któremu niech będzie chwała na wieki wieków. Amen (por. Hbr 13,20-21).

Spis treści 

Wprowadzenie (Placyd Galiński OSB)

Próba przedmowy (Andrzej Wojnowski)

Nota tłumacza

Część I: Szczere opowieści pielgrzyma przedstawione jego ojcu duchownemu

Opowieść pierwsza

1. Wezwanie do modlitwy nieustannej;
2. Spotkanie ze starcem;
3. Nauka modlitwy nieustannej;
4. Śmierć starca i poszukiwania "Dobrotolubija"

Opowieść druga

1. Napad dezertarów i utrata ksiąg;
2. Spotkanie z kapitanem czytającym Ewangelię;
3. Pobyt u leśnika;
4. Napad wilka z rozmowy w zajęździe;
5. Pobyt u kapcana budującego cerkiew i historia wiejskiej dziewczyny;
6. Przemarznięcie i uzdrowienie

Opowieść trzecia

Dzieje pielgrzyma przed wyruszeniem na wędrowkę

Opowieść czwarta

1. Pobyt w domu sędziego;
2. Historia księcia, który zabił swego służącego;
3. Historia ślepego;
4. Wydarzenia na stacji poczty;
5. Rozmowa z kapłanem i z kobietą która wcześniej owdowiała;
6. Historia komandora i jego chrzestnego syna

Część II: Spotkanie z pielgrzymem czyli rozmowy o modlitwie

Spotkanie pierwsze: piąta opowieść pielgrzyma

1. O rządach Boga w przyrodzie: śmierć młodego woźnicy, oszalały mężczyzna;
2. O miłości Boga ku ludziom i o modlitwie: dzieje Jewreinowa, przypadek podoficera wracającego do domu, łakomy mnich, dzieje Agatonika;
3. O spowiedzi;
4. Wyznanie wiodące człowieka wewnętrznego ku pokorze;
5. O wspaniałości i wzniosłości Jezusowej modlitwy;

6. O rodzajach intonacji przy odmawianiu Jezusowej modlitwy;
7. O braku miłości;
8. O Bożym przebaczeniu (dzieje zbiegłego żołnierza);
9. O chrześcijańskim życiu polegającym na modlitwie]

Spotkanie drugie

1. O powrocie do modlitwy (dzieje profesora liceum);
2. Tajemnica zbawienia objawiana dzięki modlitwie nieustannej;
3. O możliwości modlitwy nieustannej;
4. O potędze modlitwy;
5. Pobudzenie do gorliwości w modlitwie;
6. O naturalności modlitwy

Spotkanie trzecie

1. O lękaniu się modlitwy;
2. O konieczności modlitwy po grzesznych upadkach;
3. O pożytkach płynących z życia pustelników;
4. O modlitwie za innych]